RYCERZ
ZŁOTEGO SERDUSZKA

RYCERZ ZŁOTEGO SERDUSZKA

SYNKOWI MEMU

DANUSIOWI

PRACĘ TĘ POŚWIĘCAM.

MARJA BUYNO-ARCTOWA

RYCERZ
ZŁOTEGO SERDUSZKA

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA DLA DZIECI

Z LICZNEMI RYCINAMI I OKŁADKĄ
ANTONIEGO GAWIŃSKIEGO

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO

1922 — DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

I. TAJEMNICZY GOŚĆ.

Danek miał ciężki dzień: wróg za wrogiem następował na ziemię polską, pragnąc ją ograbić, a wszystkich Polaków pozabijać lub zabrać do niewoli. Więc niełada robotę miał nasz wojak, by się ze wszystkimi rozprawić i odpędzić wroga od progów ojczystych.

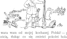

— A wara wam od mojej kochanej Polski! — powtarzał z zaciętością, tłukąc co się zmieści pokolei bolszewików, Prusaków, Czechów i innych napastników.

Wreszcie zwyciężył wszystkich, odzyskał Wilno, Gdańsk i braci Ślązaków z niewoli niemieckiej oswobodził. Natrudził się przytem niemało i ledwie z życiem wyszedł z tych zapasów. W sam czas z pomocą mu przyszedł bury niedźwiedź tatrzański, Misiołatek, który tak nastraszył swym rykiem Prusaków, iż potracili zupełnie głowy i zmiatali przed wojskiem polskiem, złożonem z jednego jedynego żołnierza, aż się za nimi kurzyło!

Nie złą też miał pomoc z Bimbusia-pajacyka, jedynego do różnych fortelí, któremi nieraz wrogom dobrze dokuczył.

Teraz, podczas dobrze zasłużonego odpoczynku, Danek oglądał swą szablę, mocno poszczerbioną, karabinek ze złamaną lufą i pogięty hełm — z niepokojem kiwając głową.

— Mocno wszystko nadwyrężone! — mruczał frasobliwie. — Ani szabla, ani karabin, ani hełm nie wytrzymałyby nowego ataku! Trzeba się wziąć zaraz do roboty, bo nuż nowy jaki wróg napadnie!

Ba! Ale jak tu się wziąć do pracy, kiedy ręce poranione, a nogi ciężkie, jak kłody, po bezustannych marszach i powieki opadają wciąż ze znużenia na rozpalone oczy! Zmęczyło się nasze żołnierzysko ponad miarę, a tu przed nim robota nowa i ciężka!

Westchnął nasz żołnierzyk, otarł uznojone czoło i szepnął z rezygnacją:

— Ha, taka już żołnierska dola!

Poczem zabrał się do naprawiania swego rynsztunku bojowego. Ale wnet ręce mu opadły bezczynnie, a w opartej o poręcz otomany główce zaczęły kołować jakieś myśli, snać nie wesołe, bo rumiana buzia zachmurzyła się, brwi ściągnęły a błękitne oczęta zwilgotniały.

— Cóż z tego, że codzień zwyciężam bolszewików, Prusaków, cóż z tego, że Czechom odbieram naszą polską ziemię, cóż z tego, że w bezustannej walce odpędzam wrogów od granic mojej Polski? Kiedy na drugi dzień ci sami wrogowie znów polską ziemię najeżdżają, znów grożą, znów zabijają i mordują! A tu ciągle to samo wojsko, jedno, jedyne! I amunicji już brak, i broni brak! Tylko ochota do bitwy wciąż nowa a wielka! — rozmyślał, i nagle zrobiło mu się czegoś bardzo smutno.

Danek był rozsądnym chłopczykiem i jakkolwiek z całym zapałem prowadził ciągłe bitwy, rozumiał doskonale, że to jest „na niby" i że właściwie te jego walki nikomu ani pomogą, ani zaszkodzą i to właśnie bywało przyczyną, iż czasami wesoła buzia chmurzyła się a oczy wilgotniały.

— Czy to moja wina, że jestem jeszcze mały, choć wszyscy dowodzą, że jestem bardzo duży. I to jest właściwie najzabawniejsze: kto tylko mnie zobaczył po przyjeździe ze wsi, wołał: ach, jaki on duży! A za chwilę potem każdy pokolei tłumaczył: jesteś jeszcze za mały! No, naturalnie, jestem za mały, żeby iść do prawdziwego wojska, i dlatego nie mogę nic zrobić dla mojej Polski! Bo czyż można służyć ojczyźnie inaczej, jak tylko w wojsku? — myślał.

— Można! Można!

Co to? Ktoś odpowiada jego myślom? A może ostatnie słowa powiedział głośno?

— Można! Można! I trzeba!

— Kto to mówi? — zapytał zdumiony Danek, oglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, starsi bracia bowiem płatali mu czasami różne figle, a potem wyśmiewali się z niego. Lecz mimo najuważniejszego poszukiwania, nie mógł w pokoju odnaleźć nic więcej ponad to, co zwykle w nim się znajdowało. A starsi chłopcy byli przecież w szkole.

— Kto mówi?

Cisza. Nikt nie odpowiada. Widocznie Dankowi zdawało się tylko, że głos jakiś słyszał. Ha, trzeba wziąć się do roboty, — ładownicę napełnić, szablę wyostrzyć.

— Nie tylko na wojnie można ojczyźnie służyć! — zadźwięczał znów głos jakiś, niby dzwonek srebrny, aż Danek zerwał się z miejsca.

— Kto tu jest? Kto mówi?

— To ja... czy mnie nie widzisz?

— Nie, nie widzę nikogo...

— Jestem przy tobie...

— Słyszę głos jakiś, lecz nie widzę... Proszę mi powiedzieć, gdzie jest ten ktoś? — pytał Danek, trochę zaniepokojony, lecz więcej jeszcze zaciekawiony.

W tej chwili poczuł lekkie muśnięcie po twarzy i zapach świeżych, wiosennych kwiatów.

— Jeszcze mnie nie widzisz? — zapytał ten sam głos, dźwięczny i wesoły.

— Nie! Słyszę tylko i czuję zapach kwiatów.

— No, to już dobrze! Nie wiem tylko, co zrobić, żebyś mnie mógł zobaczyć...

— A dlaczego ja cię nie widzę?

— Nie wiem! Widocznie... ale nie! Jeżeli słyszysz mój głos, musisz mieć czyste serce. Inaczej nie słyszałbyś mnie i nie rozumiał.

— A kto ty jesteś?

— Jestem mieszkańcem krainy „Złotego Serduszka".

— Kraina „Złotego Serduszka"? Gdzież to jest?

— Tam, gdzie mieszka „Dobra Pani".

— Dobra Pani? Znów nowa tajemnica?! Nie wiem, kto jest „Dobra Pani"?

— Wszystkiego dowiedziałbyś się zczasem, gdybyś tylko mógł mnie zobaczyć!

— A dlaczego ja cię nie mogę zobaczyć?

— Nie wiem... Coś widocznie przeszkadza... Ale co?

Danek obejrzał się wokoło. Coby tu mogło przeszkadzać? Przetarł oczy raz, drugi, trzeci... nic nie pomaga.

— Ach! już wiem! — zawołał nagle. — Zapytam mamusi, ona na pewno poradzi.

To mówiąc, zerwał się z miejsca, odrzucił szabelkę i karabinek, i pobiegł do drzwi. Oczy śmiały mu się przytem wesoło, a buzia jaśniała radością, jak zawsze, gdy myślał lub mówił o mamusi, którą nad wszystko kochał. W tej chwili jednak zatrzymał się zdumiony: przed nim stał chłopiec mniej więcej tego samego wzrostu, co on; miał takie same złote kędziorki, takie same roześmiane, błękitne oczy i różową, wesołą buzię. Był tylko jakby trochę starszy.

— To ty ze mną rozmawiałeś, ty byłeś niewidzialnym?

— Tak, to ja właśnie.

— I ty jesteś z krainy Złotego Serduszka?

— Tak?

— Ale ty jesteś zupełnie taki sam, jak każdy inny chłopiec! — z pewnem rozczarowaniem zauważył Danuś.

— I taki sam, i nie taki sam! — roześmiał się wesoło nieznajomy chłopiec, a Danuś w tej chwili zauważył, iż od tego uśmiechu dziwnie jakoś wesoło i jasno zrobiło się w całym pokoju. Spostrzegł też na piersiach nieznajomego, z lewej strony błyszczący jakiś punkt, niby order brylantowy, z którego rozchodziły się iskierki na wszystkie strony.

— Co to jest? — zapytał, wskazując na błyszczący punkt.

— To jest właśnie to, co czyni, że nie jestem taki sam, jak każdy inny chłopiec.

— Niebardzo rozumiem... I wogóle wydajesz mi się dziwnym. Chwilami zdaje mi się, że to ja sam przed sobą stoję, taki jesteś jakiś podobny do mnie, a znów chwilami jesteś zupełnie inny — niby królewicz z bajki, taki jasny i promienny... Chciałbym, żeby cię zobaczyła mamusia...

— Mamusia mnie zna na pewno. — Zresztą zrozumiesz wszystko, gdy tylko zechcesz...

— Ależ ja chcę.

— Więc chodź ze mną.

— Dokąd?

— Do krainy Złotego Serduszka!

— Mogę tam pójść? Zaprowadzisz mnie?

— Ależ po to tu właśnie przyszedłem.

— Więc chodźmy! — zawołał Danek, zaciekawiony i ucieszony, iż odbędzie tę tajemniczą wyprawę.

II. W NIEZNANEJ KRAINIE.

Nieznajomy chłopiec zbliżył się i ujął Danka za rękę; w tej samej chwili jakieś dziwy poczęły się dziać w pokoju dziecinnym: szyby okien zagrały tęczowemi barwami, które wesołemi promieniami wdzierały się do pokoju, zalewając wszystkie kąty jasnością, iskrząc się wszystkiemi kolorami tęczy. Przez ściany płynęły przedziwne dźwięki srebrnych dzwoneczków, rzewnych fujarek, śpiewnych skrzypek i delikatnych, słodkich głosików, zlewających się w jasny wesoły chór; poczem odchylać się poczęły tu i ówdzie kawałki tapet, niby drzwiczki delikatne, ostrożnie otwierane, a przez nie wpływały do wnętrza istotki drobne, piękne, jasne, kołyszące się na promieniach barw w łagodnym szumie słodkiej jakiejś pieśni. Zewsząd płynął zapach łąk kwitnących, łanów zbożowych, gajów i borów szumiących.

Powoli rozsuwały się ściany i coraz większa przestrzeń otwierała się przed zdumionemi oczami Danka, który niewiele rozumiał z tego, co się działo, ale uszczęśliwiony był i zachwycony wszystkiem, co widział i słyszał. Paliła go wszakże ciekawość i pragnął jak najprędzej otrzymać jakieś wyjaśnienia. Obejrzał się więc, szukając swego przewodnika, lecz ten zniknął w tłumie świetlanych postaci, krążących w ciągłym ruchu i zapełniających swą jasnością całą przestrzeń.

Chłopiec poczuł się więc osamotnionym i opuszczonym: śliczne, jasne postacie pociągały jego wzrok, zachwycał się niemi, ale nie wiedział, jak się do nich zbliżyć, gdyż były niemal nieuchwytne w bezustannym ruchu, słów zaś nuconych przez nie w pięknych pieśniach nie rozumiał.

Co dalej robić? Do kogo się zwrócić? Kogo zapytać o wyjaśnienie?

W tej chwili usłyszał obok siebie coś jakby mruczenie, któremu natychmiast odpowiedziało ciche: bum, bum, bum! Obydwa te dźwięki przypomniały Dankowi jego towarzyszów różnych wypraw i zabaw: burego niedźwiadka — groźnego dla wrogów Misiołatka i wesołego koleżkę, pajaca-Bimbusia, który porzucił oddawna cyrk, wstąpił do armji ochotniczej, walczył na wszystkich frontach, a i teraz, choć inwalida z bardzo nadwyrężoną szyją, na której chwiała się duża głowa, w każdem niebezpieczeństwie mężnie się wrogowi stawiał.

— Misiołatek? Bimbuś?

Ponure mruknięcie i wesołe brzęknięcie dzwoneczków tuż obok...

— Skąd wyście się tu wzięli?

— Przecież siedziałem w twojej kieszeni! — mruknął Misiołatek.

— A ja, wywróciwszy kozła, uczepiłem się twego paska i w ten sposób odbywam tę nadzwyczajną podróż... — zachichotał Bimbuś.

— Ale was przecież nie zaproszono do krainy „Złotego Serduszka" — zakłopotał się Danek. — Nie wiem, czy wam pozwolą tu zostać?

— I... nie martw się o to! Nikt na nas nie zwraca uwagi... Zresztą nie chcemy przecież zrobić nic złego, chcemy tylko być z tobą!

Danuś szczerze był wdzięczny Bimbusiowi i Misiołatkowi, że się zdecydowali towarzyszyć mu w jego dziwnej wyprawie, gdyż było mu znacznie raźniej z dobrymi znajomymi, z którymi mógł się dzielić wrażeniami wciąż nowemi i niespodziewanemi.

— Nie widzieliście czasami chłopca, który nas tu przyprowadził? — zapytał.

— Trudno go odróżnić od innych. Spójrz! Wszyscy tu jednakowi.

— Niby jednakowi, a jednak ciągle inni. Dziwna to jakaś kraina. Czasami zdaje mi się, że wszystko tu jest mi znane i wszystko rozumiem, a chwilami znów wszystko wydaje mi się niby sen lub jakaś śliczna bajka.

— Czekaj! Dowiemy się wszystkiego od Dobrej Pani! — roztropnie zauważył Bimbuś, który odznaczał się, oprócz wesołości, bardzo dobremi pomysłami.

— Prawda! Dobra Pani! Trzeba przedewszystkiem odnaleźć ją.

Przewodnik zniknął, trzeba więc było radzić sobie jakoś samemu. Więc Danuś, poleciwszy swym towarzyszom, by się zachowywali jak najspokojniej, rozejrzał się bacznie wokoło i dostrzegłszy kilka dróżek, ciągnących się śród kwietnych kobierców, wybrał środkową, przypuszczając, iż Dobra Pani — która zapewne była władczynią krainy Złotego Serduszka, musi mieszkać pośrodku swego państwa.

— Za mną, przyjaciele! — zakomenderował półgłosem i szybkim krokiem posuwać się zaczęli wonną drogą, po miękkiej zielonej murawie.

Wokoło pełno było wesołej wrzawy, śpiewu i śmiechu; jasne rzesze świetlanych istot leciuchno przepływały tuż nad kwietnemi łąkami, jakby w ciągłej rozmowie z kwiatami, mieniącemi się gorącemi barwy.

Danusiowi przypomniały się motyle i pracowite pszczółki, frwające z kwiatka na kwiatek leciuchno, niby dla zabawy, a jednak — pracujące gorliwie i spełniające powierzone im obowiązki.

— Ale przecież w krainie Baśni nie pracują — pomyślał.

— Kto ci powiedział, że jesteś w krainie Baśni? — zabrzmiał koło niego głos, dziwnie miły i słodki.

Chłopiec podniósł oczy i spostrzegł przed sobą smukłą postać niewieścią, z dużym pękiem kwiatów w dłoni. Z jasnej twarzy patrzyła ku niemu para oczu, które pociągały ku sobie z nieprzemożoną siłą, głaszcząc i pieszcząc dobrem, słodkiem spojrzeniem.

— Dobra Pani! — szepnął chłopiec i wyprostował się w żołnierskim ukłonie.

— Kraina, w której przebywasz, nie jest baśnią — mówiła dalej Dobra Pani; — sam się o tem przekonasz, gdy tu pobędziesz dłużej.

— Jednak wszystko tu takie dziwne i niezrozumiałe...... Więc cieszę się bardzo, że cię znalazłem, Dobra Pani, i że dowiem się wreszcie od ciebie wszystkiego.

— Wszystkiego?

— Tak. Więc przedewszystkiem, czem jest kraina „Złotego Serduszka"? Jakim sposobem powstała? Skąd się wzięła? Gdzie leży? Czy jest duża? Kto są te wszystkie śliczne, świetlane istoty? Jakim sposobem tu się dostałem? Dlaczego....

— Hola, hola, mój mały przyjacielu! Przybywasz chyba z krainy pytań.. — zaśmiała się Dobra Pani, a Danuś zatrzymał się, zawstydzony.

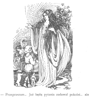

— Przepraszam... Już będę pytania zadawał pokolei... ale taki jestem ciekawy... I ten chłopiec, który mnie tu przyprowadził, obiecał, że od Dobrej Pani dowiem się wszystkiego...

Oczy Dobrej Pani pociemniały nagle, jakby przez nie przeleciał cień jakiś.

— Krainę „Złotego Serduszka" musisz sam zrozumieć, sam poznać, a na pytania sam sobie odpowiedzieć.

— O, — zawołał Danuś, z zawodem w głosie. — To tutaj tak samo, jak tam u nas, na ziemi?

— I tak, i nie! — zagadkowo odparła Dobra Pani.—Wszędzie są Wrota Poznania!

— Jeżeli przez nie przejdę, będę wiedział wszystko?

— Będziesz wiedział — wiele.

— Więc, proszę, zaprowadź mnie do tych wrót, Dobra Pani? — prosił chłopiec.

Dobra Pani potrząsnęła jasną głową.

— Do Wrót Poznania sam musisz trafić...

— Ale jak? Tu, wszystko dla mnie obce, nieznane...

— Przewodników znajdziesz koło siebie, gdy ich poszukasz!

Ostatnie słowa brzmiały, jakby zdala dochodziły: oddalała się też, jakby płynąc w powietrzu, Dobra Pani, niknąc w różowo-złocistym pyle, otulającym ją niby chmurką.

— No! No! Nie frasuj się i nie rób takiej smutnej minki. Tu nikt nie może się smucić...

— Kto to mówi?—zapytał Danuś, rozglądając się wokoło.

— To ja, Dobra Wola — twoja przewodniczka do Wrót Poznania.

— Czemu cię nie widzę?

— Ach, takie już moje nieszczęśliwe przeznaczenie, że mnie rzadko kto widzi, chociaż jestem wszędzie i ciągle. Rzadko też kiedy mnie słyszą...

— A ja cię zobaczę?

— O, zapewne mnie zobaczysz i to niedługo może... tylko wypędź od siebie te psotnice — siostry Wygodnickie... A teraz baczność, bo nadchodzi drugi twój przewodnik, dobry, szczery towarzysz — Rozsądek!

— Czy będę mógł go zobaczyć?

— Zapewne! Zapewne!—Jak się masz, dobry towarzyszu? Zmęczony jesteś? Czy pracowicie dzień spędziłeś?

— Jak zwykle! Wstaję, jak wiesz, ze wschodem słońca, by przed zachodem udać się na spoczynek... Teraz mam jeszcze służyć temu nowemu przybyszowi za przewodnika po naszej krainie.

Danuś wsłuchiwał się bacznie w głos Rozsądku i zdawało mu się, że nie jest mu obcy, że już nieraz dawniej go słyszał, tylko często udawał, że nie rozumie, szczególniej, gdy mu ten głos był nie na rękę. Ciekaw też był bardzo, jak będzie wyglądał właściciel tego głosu i ogarnął go lekki niepokój. Wyobrażał sobie bowiem, że będzie to jakiś duży pan, o bardzo surowym wyrazie twarzy, ściągniętych brwiach i zasępionych oczach.

Zaiste, niebardzo miły towarzysz!

— Chodźmy!

Danuś, poczuwszy lekkie dotknięcie ramienia, odwrócił się i zobaczył miłego chłopca o jasnych, uśmiechniętych oczach i spokojnej, łagodnej twarzy.

— Chodźmy! — powtórzył chłopiec.

— Nie mogę! Muszę czekać na Rozsądek, dany mi przez Dobrą Panią za przewodnika.

— To ja właśnie jestem.

— Ty? — ze zdumieniem zawołał Danuś, ucieszony, iż ten miły chłopiec będzie jego przewodnikiem.

— We własnej osobie! Zdaje mi się zresztą, że nie jestem ci tak bardzo obcy, z czego bardzo się cieszę, bo z takimi, co mnie nigdy ani widzieli, ani słyszeli, trudno sobie radzić. W drogę więc.

— A Dobra Wola?

— Jest! jest! O, bez niej nie dostałbyś się do Wrót Poznania! Ją tam doskonale znają i chętnie zawsze puszczają.

— Czy do Wrót Poznania daleko?

— I daleko, i niedaleko!

— Dziwnie tu rozmawiacie. Na każde pytanie słyszę stale: i tak, i nie!

— To zupełnie słuszne! Pomyśl tylko: ta sama przestrzeń dla żółwia będzie bardzo daleka, a dla zająca — bliska.

— Tak! Ale dla zająca ta sama droga nie będzie i daleka, i bliska.

— Owszem! Dla zająca wypoczętego, zdrowego, sytego droga będzie bliska, a ta sama droga będzie dla niego daleka, gdy będzie znużony, chory i osłabiony głodem... Ale spójrz przed siebie — tam, na górze znajdują się Wrota Poznania.

Danuś spojrzał z wielkiem zaciekawieniem: skąd nagle, śród tych zielonych, ukwieconych pól i łąk znalazła się ta wielka, wyniosła, stroma góra, z usypistemi, kamienistemi drogami?

— O, to bardzo trudne wejście!

— Ach, nie! Podam ci rękę i zobaczysz, jak łatwo dojdziemy! — uspokajała Dobra Wola, a w tej chwili Danuś poczuł, iż dłoń jego ujmuje jakaś delikatna, lecz silna ręka. Jednocześnie spostrzegł przy sobie dziewczynkę, mniejszą od siebie, ruchliwą, energiczną, podobną ze spojrzenia do Dobrej Pani.

Zaczęli wspinać się po uciążliwej drodze, wciąż pod górę, pod górę...

— Prędzej, prędzej! — nagliła Dobra Wola — Wrota Poznania zamykają się z nastaniem ciemności.

— Nie można zbyt szybko iść pod górę — upominał Rozsądek, a Danuś popierał go, bo był już porządnie zmutony.

Wchodzili właśnie na śliczną zieloną polankę, której murawa nęciła i zapraszała do odpoczynku.

— Do Wrót Poznania już niedaleko! Lepiej odpocząć przed samem wejściem — namawiał Rozsądek, lecz głos jego dochodził jakoś niewyraźnie, jakby ktoś napchał do uszu chłopca waty.

III. SIOSTRY WYGODNICKIE.

Nie wata to jednak była, ale pulchne łapki sióstr Wygodnickich, które wybrały się w podróż za Danusiem, twierdząc, że chłopiec bez nich nie da sobie rady i będzie bardzo tęsknił.

Zabawne to były istotki: małe, okrąglutkie, o czerwonych, jak jabłuszka, buziach, obwieszone zawsze pakunkami, poduszeczkami i torebkami, prowadziły wiecznie spór o to, kto będzie te tobołki dźwigał lub o to, kto z nich będzie korzystał. W pierwszym wypadku obie siostry zrzekały się tego zaszczytu jedna na korzyść drugiej — ale w drugim obydwie rościły prawa do miękkich poduszeczek i innych paczuszek. Pełno ich było wszędzie, gdzie można było wygodnie się wyspać, dobrze zjeść, wesoło zabawić, ale znikały jak kamfora, gdy małemi zadartemi noskami poczuły — pracę, wysiłek i zmęczenie, gdy trzeba było rano wstać, lub o odpowiedniej godzinie iść do łóżka. Nie były one mieszkankami krainy „Złotego Serduszka“ i na pewno, gdyby wiedziały, że tu czekać ich będzie taka ciężka podróż, nie ruszyłyby z wygodnego kącika pod różową kołderką, gdzie im tak miło i ciepło czas schodził.

Teraz, wspiąwszy się na ramiona Danka, zasłaniają mu ciepłemi piąstkami uszka, bo nie lubią strasznie, gdy chłopiec słucha Rozsądku! Wówczas one idą w kąt! Ani mowy o zabawach i miłem próżnowaniu!

— Patrz, jaka śliczna murawa! Ach, jak rozkosznie będzie wyciągnąć się na niej! Gdy odpoczniemy, łatwiej nam będzie iść pod górę! — namawiały ślicznemi głosikami, strojąc najmilsze minki.

— Uważaj! Siostry Wygodnickie nie pozwolą ci dojść do Wrót Poznania! — ostrzegła Dobra Wola, ale chłopiec zasłuchany w miłe głosiki siostrzyczek, ledwie półgębkiem odpowiedział:

— Przecież wiem, co robię. Nawet Rozsądek doradzał, by się zbytnio nie męczyć!

— Tak! Ale do Wrót Poznania już niedaleko. Dojdziemy przed zachodem słońca. A tak spóźnić się możemy!

— Co znowu! Chwila odpoczynku nie zaszkodzi! — upierał się chłopiec, a siostry Wygodnickie rozkładały już swoje tobołki, miękkie poduszeczki, pledy, parasolki, zasłaniające od słońca, sadowiły się wygodnie, śmiejąc się i chichocząc bezustannie.

— Ach, jak tu dobrze! Ach, jak tu dobrze! — powtarzały, a w tym ich szczebiocie zniknął zupełnie głos Rozsądku, który próbował jeszcze trafić do uszek Danka.

Rzeczywiście, rozkoszny to był wypoczynek: lekki wietrzyk chłodził umojone czoło, na puszystej murawie leżało się jak w najwygodniejszem łóżku, wokoło słodkie zapachy kwiatów, z dołu dolatują piękne melodyjne śpiewy, wszystko takie jasne, rozradowane... Aż Danuś razem z siostrami Wygodnickiemi powtarzać zaczął:

— Ach, jak dobrze! Ach, jak dobrze!

Do taktu tym słowom kiwał ciężkim łbem Misiołatek, chwiał swoją niepewną, lecz dużą głową Bimbuś, aż rozkołysane powietrze szemrać zaczęło również:

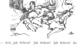

— Ach, jak dobrze! Jak dobrze! Jak dobrze! Ach, Ach, A... a... a...!

Wszystkie głowy kiwały się i chwiały coraz wolniej, wolniej... aż przywarły do miękkiej murawy i ...

No, co tu mówić! Posnęli, jak susły! I spali, chociaż piosenki z dołu brzmiały niespokojnie jakoś, choć wietrzyk raz po raz przelatywał, szemrząc do zaróżowionych uszek:

— Czasu szkoda, czasu szkoda, bo czas płynie niby woda.. gdy raz ujdzie... już nie wraca... Czas ucieka... czeka praca... Czasu szkoda, czasu szkoda!

Danuś opędzał się od wietrzyka, jak od uprzykrzonej muchy i — spał dalej.

A trawki i kwiaty pochylały się, łaskocząc różową buzię, jakby ostrzegały:

— Zachód nadchodzi, w blasków powodzi, Wrota Poznania zamykać skłania. Zachód nadchodzi!

Dopiero, gdy Misiołatek, opędzając się od trawek, z figlów łaskoczących go po nosie, zamachnął się i łapą, zamiast w trawkę, trafił w Danusia, chłopiec ocknął się i napół przytomnie rozglądać się począł wokoło.

Siostry Wygodnickie roztworzyły także po jednem rozespanem oczku i natychmiast namawiać zaczęły:

— Przyłóż głowę do murawy, patrz jaka miła, miękka... Doskonały będzie nocleg...

Ale chłopiec zerwał się zaniepokojony: wielka kula słoneczna opuszczała się ku zachodowi, siejąc wokoło purpurowe blaski, jakby przed ułożeniem się do snu na krótką noc chciało jak najwięcej swych promieni zostawić w oczach ludzkich. Wszystko wokoło szykowało się do spoczynku wieczornego, kończąc dzienne zajęcia...

Danuś wzniósł oczy ku górze: na szczycie widniał wspaniały gmach, oblany purpurą zachodzącego słońca, z szeroko pootwieranemi wrotami, które ukazywały wnętrza, mieniące się przecudnemi blaskami...

— Prędzej, prędzej! Bo będzie za późno! — krzyczał chłopiec, biegnąc ku ścieżce, prowadzącej na górę. — Prędzej! Gdzie jesteście, Dobra Wolo i Rozsądku!

— Zaraz będę koło ciebie! — zabrzmiał z oddali słodki głos Dobrej Woli. — Idź ścieżką pod górę. Zbadałam tę drogę, gdy spałeś: jest najkrótszą i najwygodniejszą.

— A Rozsądek?

— O, ten zapewne nie pójdzie już dziś z nami... Uważa że jest za późno...

— Ach, Dobra Wolo! Musimy się pośpieszyć, musimy zdążyć... prosił chłopiec, biegnąc niemal pod górę, zawstydzony i zrozpaczony, że z jego winy opóźnia się pożądana chwila, gdy znajdzie odpowiedź na tyle ciekawych pytań.

— To wszystko przez te Wygodnickie! — sarkał.

— A cóż one winne?

— Jakto, co winne? Przecież to one namówiły mnie na ten odpoczynek?

— O, nie mów tak! Siostry Wygodnickie, — to psotnice nielada i często dużo kłopotu ludziom robią. Ale mają tę zaletę, że są bardzo ambitne i nigdy się nie zjawiają, gdy ich nie wzywają! — objaśniała Dobra Wola.

— Ależ ja ich nie wołałem!

— Przypomnij sobie, czy nie wzdychałeś z utęsknieniem do wygodnej, miękkiej murawy?

— No tak... Ale to przecież co innego...

— Wystarczyło to siostrom Wygodnickim, by się u ciebie rozgościć...

— No, dobrze, że o tem wiem! Już nigdy, nigdy nie pozwolę tym psotnicom przyjść do siebie! — zarzekał się chłopiec, dążąc bez wytchnienia pod górę i nie spuszczając oczu z otwartych Wrót Poznania.

— Zdążymy, prawda?

— Mam nadzieję, że nam się uda! Daj mi rękę, będzie nam lżej...!

Dochodzili do szczytu, gdy promienie słoneczne zaczęły blednąć coraz bardziej: dół tonął już w mrokach, tylko wzgórza paliły się jeszcze, niby w morzu płomieni skąpane.

— Prędzej! prędzej!

Ostatnim wysiłkiem dotarli do wierzchołka; parę kroków już tylko dzieliło ich od najbliższej bramy, biegną do niej, są tuż — lecz zanim dobiegli, wrota powoli zawarły się.

— Ach! Boże! — jęknął zrozpaczony chłopiec, lecz Dobra Wola, trzymając go silnie za rękę, pociągnęła za sobą.

— Prędzej, prędzej! Patrz, tamte wrota jeszcze otwarte!

— Dajcie pokój! — rozległ się za niemi spokojny głos Rozsądku — nie zdążycie już do żadnych wrót. Wszystkie się przed nami zamkną, gdyż ciemność biegnie szybciej od was.

— Spróbujemy, może się jednak uda! — mówiła Dobra Wola, biegnąc bez wytchnienia i ciągnąc za sobą Danusia. Niestety jednak, nim dopadli wrót, coraz wyżej jedne od drugich leżących, zamykały się one przed niemi, w coraz większej pogrążając się ciemności.

Gdy wreszcie zamknęły się ostatnie, Dobra Wola, zmatoma, z czołem sperlonem kroplami potu, zatrzymała się:

— Trudno! Nie udało nam się! Ale to nic!—pocieszała — Do jutra niedaleko. Poczekamy!

Siedli przed bramą. Danuś czuł się bardzo nieszczęśliwym i zawstydzonym.

— Straciłem cały dzień!

— Nie zupełnie! Dowiedziałeś się bowiem jednej rzeczy: mianowicie, iż należy słuchać dobrych przewodników, a nie doradców, którzy swój własny interes mają na względzie! — spokojnie mówił Rozsądek. — A teraz, zamiast niepotrzebnych wyrzekań, ułóż się, jak można najwygodniej, noc jest do spania, a dzień do pracy!

Danuś przyznać musiał Rozsądkowi słuszność: nie było nic innego do roboty, jak tylko położyć się i spać. Miękka murawa zresztą nie była najgorszem posłaniem, a powietrze, ciepłe i miłe, pozwalało obejść się bez kołdry. Wyciągnął się więc chłopiec i zamknął oczy, by zasnąć jak najprędzej i przespać czas, dzielący go od jutrzejszego ranka. Ale jakoś sen nie przychodził, mimo całodziennych trudów i zmęczenia. Coś mu przeszkadzało usnąć, czegoś brakowało... ach, już wie! Czyżby w krainie Złotego Serduszka dzieci usypiały bez pocałunku swoich mateczek?

W tej chwili lekki wietrzyk musnął mu czółko i najwyraźniej usłyszał słodki głos:

— Śpij spokojnie, synku!

A potem zaraz zaszumiały senną kołysankę trawki i kwiaty, uperlone wieczorną rosą, zawtórowały im niezliczone listeczki na drzewach — i chłopiec zasnął.

IV. PRZYGODA MISIOŁATKA.

Wypoczęty, świeży, wesoły Danuś zerwał się razem z pierwszemi blaskami wschodzącego słońca, zadowolony, iż obudził się przed swoimi przewodnikami.

— Wstawajcie prędzej! — wołał wesoło, pochylając się kolejno nad Dobrą Wolą i Rozsądkiem—patrzcie, słońce już wschodzi!

— Tak, to prawda! Najwyższy na nas czas! Mamy tyle drogi do przebycia dzisiaj! — mówiła Dobra Wola, zrywając się pośpiesznie.

— Jakto? Przecież jesteśmy tuż przed Wrotami Poznania?— zadziwił się chłopiec.

— Spojrzyj! — spokojnie rzekł Rozsądek.

Teraz dopiero zauważył chłopiec, iż znajdują się na pięknej łące u stóp wysokiej góry, na której szczycie wznosiły się tajemnicze Wrota Poznania.

— Przecież wczoraj już odbyliśmy tę drogę?!

— Tak, lecz kto zmarnuje sposobność przejścia przez Wrota Poznania, musi na nowo przebywać drogę do nich!

— Ale to nic nie szkodzi! — pośpiesznie wtrąciła Dobra Wola. — Dzień dziś piękny, niezbyt gorący, drogę znamy... ani się spostrzeżesz, jak będziemy na górze.

— Chodźmy więc jak najprędzej! — rzekł chłopiec, postanawiając sobie w duchu, iż tym razem nie pozwoli, by mu ktokolwiek przeszkodził w dojściu do Wrót Poznania.

Dzień był rzeczywiście prześliczny, jasny, wesoły. Słońce nie przypiekało zbyt gorąco, miły wietrzyk chłodził uznojone czoła, mimo to chłopiec czuł się porządnie znużonym, gdy byli dopiero na połowie drogi.

— Trzeba odpocząć! — radził Rozsądek.

— Nie, nie! *Znów* się spóźnimy!

— Przypominam, iż spóźniliśmy się nie przez odpoczynek, niezbędny zresztą przy tak męczącej drodze, lecz przez to, że zaspałeś — mówił spokojnie Rozsądek, przysiadając na kamieniu i wyjmując z torby podróżnej kawałek chleba.

W tej chwili Bimbuś, który nudził się bardzo, siedząc za paskiem Danusia, wysunął się ze swego więzienia i znalazłszy się na ziemi, począł wywracać przekomiczne kozły, jakby nagle zapomniał o swojej karjerze wojskowej, a powrócił do cyrku.

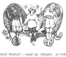

— Bimbuś! Bimbuś! — śmiał się chłopiec, za boki się biorąc na widok pociesznych skoków i figlów pajaca. — Uspokój się; przecież tu nie cyrk!

— To i co? Zabawić się zawsze można! — odpowiedział Bimbuś i wywrócił trzy kozły jeden po drugim; była to sztuka, której napróżno uczył się Danuś. Dwa kozły pod rząd — ujdzie jeszcze, ale trzeci nie udawał się nigdy! Więc też, zachęcony miękką murawą i skokami pajaca, zaczął próbować swych sił.

— Nie męcz się! Zaraz musimy iść dalej! — napominał Rozsądek, a Dobra Wola swemi dobremi oczami niespokojnie wodziła za rozbawionym chłopcem.

Możeby wreszcie Danuś, spotkawszy się z jej wzrokiem, zaprzestał tej zabawy i udał się w dalszą podróż, ale w tej chwili Miotłatek, który przyglądał się z pogardliwą pobłaźliwością harcom swego pana z lekkomyślnym pajacem, zerwał się i pociągając kilkakrotnie nosem, ryknął na cały głos:

— Miód! Miód!

I puścił się cwałem przed siebie.

— Misiołatku! Misiołatku! Zaczekaj! Pójdę z tobą! — wołał chłopiec, biegnąc za niedźwiedziem, ciekaw zobaczyć, jak to Miś będzie się dobierał do pszczół, a trochę także myśląc o smacznym miodzie, którego mu na pewno da pokosztować jego przyjaciel.

Wprawdzie dochodziło go spokojne, lecz natarczywe wołanie Rozsądku, wprawdzie plątał mu się koło uszu słodki głosik Dobrej Woli, ale w miarę jak się oddalał, biegnąc za Misiołatkiem, cichły te głosy i milkły, aż wreszcie słyszał tylko pomrukiwania niedźwiadka, wdrapującego się na drzewo, mimo oblegających go zewsząd pszczół, przeczuwających wroga, który pragnie je obrabować z zapasów, tak skrzętnie przygotowanych na zimę!

— E, skąpiradła jesteście! — dogadywał chłopiec. — Nie zjecie przecież wszystkiego przez zimę. Moglibyście się podzielić z nami.

Tymczasem Misiołatek, dobrawszy się do ula, wygarniał z niego miód, łasując ile się zmieści. Z miny jego widać było, że ani myśli poczęstować przysmakiem chłopca, stojącego pod drzewem, i Bimbusia, przymilającego się najwdzięczniejszemi skokami i minami.

— Hej, ty łakomczu! — wołał zniecierpliwiony Danek. — Daj i nam trochę!

Ale Misiołatek opychał się dalej ulubionym smakołykiem, nie zważając zupełnie na nawoływania swego pana; gdy wtem ryknął przeraźliwie i łamiąc po drodze gałęzie, staczał się ku ziemi.

— Co się stało? Co się stało? — pytał zaniepokojony chłopiec, podbiegając do niedźwiadka.

— Nos! Nos! — ryczał Misiołatek, chwytając co chwila lepkiemi od miodu łapami za nos, który w oczach zwiększał się, rosnąc jak na drożdżach.

— Acha, pszczoła cię ugryzła! Widzisz, jak to niedobrze być łakomym! — perorował Danuś, zresztą szczerze zmartwiony przygodą swego wiernego towarzysza. — Bimbuś, skocz po wodę, tylko prędzej. Przyłożymy Misiołatkowi kompres.

Biedny Miś ryczał, skomlał, wił się po trawie z bólu, aż przykro było na niego patrzeć. Chłopiec ratował przyjaciela, jak umiał. Przykładał mu na nos rozmoczonej ziemi, to znów zmoczoną w zimnej wodzie chusteczkę, pędził ciągle Bimbusia do strumyka po wodę, a jednocześnie miał pouczające przemowy:

— Ach, wstydź się! Jakto? Przecież byłeś na wojnie i nieraz dostałeś szablą albo i kulą. I nic! Mężnie znosiłeś rany! A teraz co? Mała pszczoła cię ukąsiła w nos, a ty robisz takie historje! Fe, wstydź się! Niechby się tak o tem dowiedzieli bolszewicy, zarazby w następnej bitwie wysłali przeciw tobie zamiast bomb i kul — roje pszczół. Wielka rzecz, że ci nos spuchł, jak bania! A gdyby ci tak nogę odjęto?! Albo gdybyś stracił oko?

Powoli Misiołatek uspokajał się, czy to przekonany wymową Danusia, czy też dlatego, że ból przechodził. Postękiwał jeszcze trochę i był bardzo śmieszny ze swoim wielkim nosem, ale oznajmił, iż jest już dość silny, by ruszyć w drogę.

— Śpieszmy się, bo możemy się spóźnić! — rzekł Danuś, lecz nagle, spojrzawszy na słońce, krzyknął rozpaczliwie — Za późno!

Złota kula słoneczna stała tuż nad horyzontem, a chłopiec był dopiero na pół drogi od krainy Poznania!

— Co ja teraz zrobię?! I do tego jestem sam, bez przewodników! Rozumiem doskonale, że pogniewali się na mnie i odeszli na zawsze!

Misiołatek zapomniał o bólu, widząc rozpacz swego pana. Czuł zresztą, i słusznie, że to on głównie przyczynił się do spóźnienia. Był bardzo zmartwiony i zawstydzony, a co najgorsza nie wiedział, jak pocieszyć Danusia.

Również Bimbuś był niezadowolony ze siebie:

— Potrzeba mi było właśnie dzisiaj urządzać cyrkowe przedstawienie! — łajał się w duchu. — Niby to nie można było zaczekać aż przejdziemy przez Wrota Poznania!

Ale najwięcej zgnębiony był Danuś: gdyby nie to, że żołnierzowi nie wypada płakać, trawki byłyby zroszone nie tylko rosą wieczorną, ale i słonemi kropelkami, płynącemi z oczu chłopca.

— Taki to już widać żołnierski los! Na wojnie wszystko mu idzie jak z płatka, a jak przyjdzie do życia — niedołęga! — rozmyślał chłopiec, nie wiedząc, co z sobą robić dalej.

— Spróbujemy jeszcze jutro, może się nam uda! — zabrzmiał smutny głos Dobrej Woli.

— Ach, jesteś więc ze mną! — krzyknął chłopiec ucieszony. — Jakaś ty dobra! Zaraz mi się raźniej zrobiło!

— Trzeba tylko, byś wiedział, że jeżeli jutro nie uda ci się przejść przez Wrota Poznania, już się tam nie dostaniesz wcale!

— I co się stanie?

— Będziesz musiał opuścić krainę Złotego Serduszka...

— Na zawsze?

— Niewiadomo! To będzie zależało od ciebie!

— O, Dobra Wolo! Przyrzekam ci, że jutro na pewno dojdę do celu!

— I dziś przyrzekałeś! — zauważyła Dobra Wola.

— Ach, bo ten Misiołatek ...—zaczął chłopiec, lecz zamilkł zaraz zawstydzony. Bo i jakże? Wczoraj składał winę na siostry Wygodnickie, dziś na Misiołatka, więc jutro znów ktoś mógłby mu stanąć na przeszkodzie. A on co? Nic już nie znaczy, nie potrafi sobą rządzić?

Nie rzekł więc ani słowa więcej, nie śmiał nawet zapytać o drugiego przewodnika i nic nie przyrzekał głośno, ale w duchu zapowiedział sobie jak najmocniej, że tym razem nic go nie zdoła sprowadzić z właściwej drogi.

V. ZA WROTAMI POZNANIA.

I dotrzymał słowa. Wprawdzie znów przy odpoczynku południowym szepty jakieś kuszące dobiegały jego uszek, roiły się wokół przepiękne motyle o najgoretszych barwach, jakby prosząc, by za niemi gonił, pociągały jego ciekawość śliczne ptaszki, nieznane mu z wyglądu, nęciły czerwieniejące zdala drzewa owocowe, przysyłając zaproszenia smakowitemi zapachami, ale Danuś był niewzruszony. Odwracał głowę, przymykał oczy, odpędzał kusicielskie głosy, wreszcie chwycił rękę swej przewodniczki, prosząc gorąco:

— Dobra Wolo! Chodźmy już dalej! Tu wszystko jakby się zmówiło, żeby mnie zatrzymywać.

Dobra Wola uśmiechnęła się życzliwie.

— Zauważyłeś to? Rzeczywiście, może lepiej będzie, gdy pójdziemy dalej, jeżeli nie jesteś zbyt zmęczony.

— Nie! Nie! Zresztą więcej mnie męczy obawa, że znów coś mnie zatrzyma, niż wdzieranie się pod górę.

— Chodźmy więc!

Zaczęło się mozolne wspinanie po kamienistej drodze, pod palącemi promieniami południowego słońca. Nagrzane powietrze było ciche, niezmącone najmniejszym powiewem chłodzącego wietrzyka. Z pod nóg wznosił się białawy pył, drażniąc zaschłe gardło.

Ciężko było iść!

— Nic to! — krzepił się Danuś, nie dając poznać po sobie znużenia — przecież żołnierz jestem. Ojczyźnie usłużę, gdy dojdę do Wrót Poznania. Może tam dowiem się, co robić, by Polska była szczęśliwą?!

Dobra Wola była niezmiernie miłą i dzielną towarzyszką uciążliwej wędrówki. Pogodna i wytrwała, doskonale umiała skracać drogę, wybierać miejsca cieniste, w najtrudniejszych przejściach słodząc trudy serdecznem słowem zachęty. A przytem potrafiła tak zająć rozmową swego towarzysza, iż zapominał o upale, pragnieniu i zmęczeniu.

— Obejrzyj się za siebie! – poradziła w pewnej chwili, a gdy chłopiec usłuchał jej, spostrzegł ze zdziwieniem, iż słoneczna, ukwiecona kraina, którą zostawił poza sobą, była w pewnem miejscu jakby przedzielona dość szerokim pasem, szarym, zapylonym i smutnym.

— Co to jest? — zapytał ze zdziwieniem.

— To jest właśnie ta przestrzeń, w której coś cię zatrzymywało ciągle.

— Jakto? Przecież tam było tak zielono i świeżo, a ten pas wygląda, jakby spalony przez słońce i pokryty grubą warstwą pyłu?

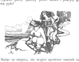

— Będąc na miejscu, nie mogłeś spostrzec szarych tumanów, które się unoszą nad tym nieszczęśliwym skrawkiem naszej krainy. Obserwować to można dopiero zdaleka.

— Ale dlaczego tak jest?

— Tego, jak wiele innych rzeczy, dowiesz się, gdy przejdziesz przez Wrota Poznania.

— Ach, czy tylko dojdę tam nareszcie! — westchnął chłopiec i mimo zmęczenia naglił swą towarzyszkę do pośpiechu.

Tajemniczy gmach był już blisko: szeroko pootwierane złote wrota zapraszały gościnnie, wysyłając naprzeciw idących jasne, wesołe smugi światła. Szmery jakieś, jakby brzęczenie nieskończonych gromad pszczół, docierały coraz wyraźniej do uszu chłopca, jakieś świeże, ożywcze powiewy chłodziły uznojone czoło i przynosiły ze sobą dziwną rzeźwość i ochotę.

Z błyszczącemi radością oczyma wyrywał się Danuś naprzód, nie mogąc się doczekać chwili, gdy wreszcie przekroczy progi upragnionej krainy.

— Spokojniej! spokojniej! — usłyszał koło siebie znany głos.

— Ach, i ty, Rozsądku, jesteś ze mną? — zawołał uradowany.

— Sądziłeś, że bez niego mógłbyś tu dojść? — ze zdziwieniem rzekła Dobra Wola. — Bez tego przewodnika nigdybyś nie trafił tutaj.

— Nawet z tobą?

— Ach, cóż tam ja! Niewiele znaczę i niewiele mogę, tem bardziej, że mało kto mnie słucha! — z pewnym smutkiem mówiła. — Ale teraz, baczność! Dochodzimy.

Danusiowi serce poczęło uderzać szybko, szybko... Chciał lotem ptaka przefrunąć wielkie, wspaniałe wrota, a tu nogi ociężały, jakby z ołowiu były i ledwie, ledwie mógł niemi poruszać. Był bardzo wzruszony i jakiś lęk go ogarniał. Na szczęście u boku jego stała słodka, cierpliwa towarzyszka, która ujęła go serdecznie za rękę.

— Patrz, jak tam jasno, wesoło, pięknie! Idź śmiało! Tylko dobro tam cię czeka!

— Ty ze mną nie pójdziesz?.. z żalem zapytał chłopiec.

— Będę z tobą zawsze, gdy mnie będziesz potrzebował, a teraz — idź... czekają cię...

Głos jej brzmiał coraz słabiej — miła postać bladła, jakby rozpływała się we mgle.

Chłopcu żal było dobrej przewodniczki, lecz nie miał czasu dłużej myśleć o rozstaniu, gdyż znalazł się właśnie na samym progu środkowej bramy i poczuł, że ktoś zlekka popchnął go naprzód.

— Wchodź-że.... nie trać czasu! — z pewną niecierpliwością mówił Rozsądek.

Danuś zrobił parę kroków i zatrzymał się olśniony, zachwycony...

— Witaj nam, Danusiu, w naszej krainie! — zabrzmiał w tej chwili chór wesołych głosików i chłopca otoczył rój dzieci, młodszych i starszych, w barwnych, jak kwiaty polne, ubraniach, o jasnych, rozumnych oczach, o twarzyczkach niby zupełnie obcych, a dziwnie znajomych i bliskich.

— Ale ty jesteś bardzo zmęczony! Chodź do zdroju Świeżości obmyć się z pyłu i znoju! — mówiła gromadka dziewczątek i wziąwszy Danusia za rączki, pociągnęły go w stronę, gdzie z szumem spadała ze skały kaskada srebrzystej wody, wlewając się do dużego basenu. Woda rozpryskiwała się na miljony drobnych kropelek, a w każdej z nich odbijała w przezroczystej wodzie, niby w lustrze, przepiękna tęcza basenu. Widok był tak prześliczny, iż chłopiec zatrzymał się w niemym zachwycie, nie mogąc nasycić oczu.

— Pięknie u nas, co? — pytały otaczające go dzieci z pewną dumą. — Zaczerpnij teraz wody i obmyj twarz i ręce!

Danuś spełnił posłuszenie, co mu radzono. Zaledwie dotknął srebrzystej wody, poczuł się dziwnie świeży i wypoczęty. I natychmiast zbudziła się w nim ciekawość i chęć znalezienia jak najprędzej odpowiedzi na pytania, które mu nie dawały spokoju od chwili wejścia do dziwnej krainy.

Zdawało się, że jej mieszkańcy posiadają dar odgadywania myśli, gdyż jeden z chłopców, ujmując go za rękę, rzekł uprzejmie:

— Teraz możesz zacząć zwiedzać naszą krainę, w której znajdziesz odpowiedź na twoje zapytania, ale przedtem może zechcesz przywitać naszą Panią?

Mówiąc to, pociągnął go w stronę, w której skupiało się najwięcej jasności, rozsyłającej wokoło swe blaski.

— Bądź pozdrowiony — rozległ się koło Danusia głos słodki i dźwięczny, niby muzyka najpiękniejsza.

Chłopiec podniósł oczy i zobaczył śliczną panią, od której biły takie promienie, iż w pierwszej chwili aż musiał przymrużyć oczy. Dopiero, gdy po raz wtóry spojrzał w jej twarz, z pewnem zdziwieniem przekonał się, iż jest mu znaną. Widział ją już, tylko może trochę inną, nie taką jasną i promienną.

— Dobra Pani! — zawołał.

— Drugi raz się spotykamy! – z uśmiechem mówiła Dobra Pani. — I cieszę się bardzo, że cię mogę powitać w krainie, do której nie każdy może się dostać…

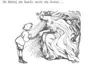

— Ach, gdyby nie Dobra Wola i Rozsądek, nie doszedłbym i ja do tej pięknej krainy! – szczerze przyznał się chłopiec. — Więc bardzo ci dziękuję, o Dobra Pani, za przewodników!

— Sobie zawdzięczasz, żeś był z nimi w zgodzie. A muszę ci powiedzieć, że nie wszyscy ludzie lubią moich przewodników tam u was, na ziemi… A teraz, miły gościu, skoro przeszedłeś Wrota Poznania, otwierają się przed tobą wszystkie tajemnice…

— Więc mogę się zapytać? — nieśmiało zaczął chłopiec, ale Dobra Pani uśmiechnęła się promiennie, mówiąc wesoło:

— Ależ już zapytałeś! Chcesz wiedzieć, skąd się wzięła i z czego powstała kraina Złotego Serduszka!

Danuś otworzył szeroko swe duże, błękitne oczy.

— Jakim sposobem możesz wiedzieć, Dobra Pani, co ja myślę?

— Ależ bardzo zwyczajnie. Spójrz tylko!

To mówiąc, Dobra Pani wyciągnęła małe lustereczko. Chłopiec spojrzał w nie ciekawie i spostrzegł odbite w niem swe własne oczęta, a w nich wyraźne pytanie.

— Czy nigdy nie widziałeś tego? Nigdy nikt nie czytał myśli w twoich oczach?

— Owszem — z pewnem wahaniem odparł Danuś — czasami mamusia...

— Więc widzisz, że nie tylko u nas dzieją się rzeczy nadzwyczajne. A teraz znajdziesz odpowiedź na twoje pytanie.

Przed chłopcem stanęło w tej chwili parę przedziwnych istotek, które w pierwszej chwili zrobiły na nim wrażenie wielkich barwnych motyli i kwiatów, posiadających możność poruszania się i zmieniania miejsca. Lecz po bliższem przyjrzeniu motyle i kwiaty stawały się coraz podobniejsze do dzieci, takich samych, jak te, które znał na ziemi, tylko twarzyczki ich były dziwnie jasne, a z oczu płynęły blaski wesołe i ciepłe, niby z małych słoneczek. Powiewne szatki, białe lub kolorowe, nadawały im podobieństwo do kwiatów, a harmonijne ruchy, lekkie i kołyszące, przypominały motyle, przebiegające z kwiatka na kwiatek.

Wśród tej gromadki dostrzegł ze zdziwieniem, a i pewnem zadowoleniem chłopca, który go wprowadził do krainy Złotego Serduszka.

— Pewnie będziesz moim przewodnikiem? — zapytał, witając go radośnie.

— Tu nie trzeba przewodników. Zajdziesz wszędzie, gdzie zechcesz: wszystko stoi przed tobą szeroko otwarte i wszędzie znajdziesz to, co zechcesz znaleźć. Ale widzę pytanie...

— Znowu w moich oczach? — zaśmiał się Danuś...

Chłopiec również zaśmiał się wesoło.

— Naturalnie! Zresztą, gdy pobędziesz u nas dłużej i ty nauczysz się czytać nie tylko pytania, ale i odpowiedzi. A więc, chcesz wiedzieć, w jaki sposób dostałeś się do krainy Złotego Serduszka? Po moście, łączącym naszą krainę z waszą. Po moście Słonecznych Uśmiechów!

— Most Słonecznych Uśmiechów? — zadziwił się Danuś. — Trudno sobie wyobrazić coś podobnego!

— Ach! Trzeba więc, żebyś jak najprędzej zobaczył Słoneczne Uśmiechy. Wtedy będziesz mógł wyobrazić sobie wiele rzeczy, które teraz wydają ci się dziwne! — mówiła dźwięcznym głosikiem mała ruchliwa osóbka, cała złota, śmiejąca się i połyskliwa, jak promyczek słoneczny.

— A potem Uprzejme Słowa cię zapraszają! — wołała gromadka miłych, różnobarwnie przystrojonych dzieci.

— I Dobre Spojrzenia! I Czyste Myśli! I Jasne Łzy — wołały naprzemian grupki dzieci, wyciągając ręce do Danusia, serdecznie go zapraszając.

— Ależ owszem, wszędzie pójdę, najchętniej... godził się chłopiec, niezmiernie ciekawy, co znaczą te dziwne nazwy.

— Widzisz, nasza kraina Złotego Serduszka powstała właśnie ze Słonecznych Uśmiechów, Uprzejmych Słów, Dobrych Spojrzeń, Czystych Myśli i Jasnych Łez — objaśniał chłopiec, który wprowadził Danusia do tej czarodziejskiej krainy.

Danuś zauważył, iż był on większy od innych, inaczej ubrany i nosił po lewej stronie błyszczące złote serduszko.

— Dlaczego ty jesteś inny, niż reszta? Jakby starszy? — pytał.

— Ach, on jest Złotym Rycerzykiem — zawołało kilka głosików.

— Niełatwo jest zostać Złotym Rycerzykiem! — objaśniała jedna z dziewczynek. — Trzeba dużo, dużo dobrego zrobić, oddać wielkie usługi naszej krainie! Nasz rycerzyk napracował się porządnie na ziemi, zanim zdobył Złote Serduszko!

— Na ziemi? Więc pracując na ziemi, pracował dla waszej krainy? — pytał zdziwiony Danuś.

— Tak! Przecież cała nasza kraina, my wszyscy służymy ziemi…

— Więc i naszej Polsce?

— Naturalnie! Naturalnie! — zagrzmiał zgodny chór.

VI. BIMBUŚ I MISIOŁATEK.

Wiwat! Niech żyje kraina Złotego Serduszka! — rozległ się nagle piskliwy głosik i przed oczami zdziwionej dziatwy jakaś pocieszna figurka o dużej, chwiejącej się głowie wywinęła trzy najzręczniejsze w świecie koziołki.

— Bimbuś! — krzyknął przerażony Danek. — Bimbuś! Co ty wyrabiasz?

Pajacyk, stropiony ciszą, jaka zapadła po jego radosnem wystąpieniu, stanął na boku, zawstydzony.

— Ja chciałem… ja myślałem… — bąkał, patrząc żałośnie na chłopca, nie mogąc znaleźć usprawiedliwienia i poczuwając się do winy. Wyglądał przytem tak nieszczęśliwie, taki był bezradny i smutny, iż Danusiowi żal się zrobiło biedaka i pragnął go jakoś wyratować z przykrej sytuacji.

— To Bimbuś, mój pajacyk! On często zrobi jakieś głupstwo, wyskoczy niepotrzebnie ze swojemi koziołkami albo z jakimś dowcipem nie w porę; ale to bardzo dobry towarzysz i naprawdę nic złego nigdy nie zrobił! A gdy przyszła wojna, to się bił nie gorzej od innych, a może nawet lepiej! A jak go żołnierze lubili! Czasami, gdy było bardzo ciężko, głodno, zimno i smutno, gdybyście wiedzieli, jak on potrafił wszystkich rozweselić! — opowiadał, zapalając się, Danuś, pragnąc zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie zapewne zrobił na wszystkich lekkomyślny Bimbuś. Lecz okazało się, że mieszkańcy krainy Złotego Serduszka wcale nie są zgorszeni zachowaniem się pajacyka, przeciwnie, otoczyli go z wyraźną sympatją, a Złoty Rycerzyk pogłaskał go przyjaźnie po dużej, chwiejącej się głowie.

— Znamy cię, zuchu! Jesteś naszym dzielnym pomocnikiem! Ileż to ślicznych uśmiechów przysporzyłeś naszej krainie!

Bimbuś, widząc przychylne usposobienie dla siebie, rozpromienił się odrazu, nabrał pewności i zwykłego humoru.

— Wiem, co do mnie należy i spełniam moją powinność! A ile razy uda mi się wywołać serdeczny, niefrasobliwy śmiech dzieci, którym mam obowiązek służyć, czuję się bardzo zadowolony! Ale, trzeba przyznać, że i w wojsku wcale nieźle mi się powodziło! Czasami, gdy żołnierzom ręce opadały z utrudzenia, ja do nich i robię im sztuczkę, a oni…

— Bimbuś — ostrzegawczo szepnął Danek, wiedząc, że pajacyk, gdy się rozgada, pleść potrafi niestworzone rzeczy.

— No, niech i tak będzie! Nic więcej nie powiem! — z rezygnacją rzekł Bimbuś. — Ale czy pozwolicie mi zostać z wami?

— Naturalnie! Przecież jesteś towarzyszem naszego miłego gościa! — zgodzili się wszyscy ochoczo.

— Prosiłbym o gościnę jeszcze dla jednego mojego towarzysza! — rzekł wówczas Danuś, przypomniawszy sobie Misiołatka, ukrytego w kieszeni. — Nie jest on taki wesoły, jak Bimbuś i wygląda trochę niezgrabnie i strasznie, ale jest bardzo dzielny i odważny. No, Misiu, zaprezentuj się!

Niechętnie, ociągając się, wyszedł z kieszeni bury niedźwiadek tatrzański, z pewną trwogą rozglądając się po jasnem otoczeniu. Było ono z początku trochę zaskoczone widokiem ponuro spoglądającego Misiołatka, ale wnet przybiegło do niego jedno z najmniejszych dziewcząteк i, gładząc malutkiemi łapkami poczochrane futro niedźwiadka, mówiło pieszczotliwie:

— Ach, to ty, Misiu, ratowałeś nieraz twego przyjaciela w niebezpieczeństwie. Jesteś wiernym towarzyszem i za to cię kochamy!

Misiołatek pomrukiwał radośnie, rad widocznie z pieszczoty i pochwały, ale w tej chwili dotknął nosa, trochę jeszcze opuchniętego, i to widocznie naprowadziło go na niemiłe myśli, gdyż zasępił się znowu.

— Ale ja bardzo lubię miód — ze skruchą mruknął.

— No, to jeszcze niewielkie nieszczęście! — zaśmiał się wesoło Złoty Rycerzyk, a niedźwiadek miał szczery zamiar dalej się oskarżać, lecz w tej chwili powietrze napełniły dźwięki licznych srebrnych dzwoneczków i natychmiast cała gromadka pochyliła główki, nastawiając różowych uszek.

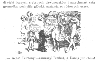

— Acha! Telefony! — zauważył Bimbuś, a Danuś już chciał go ofuknąć, że plecie niewiadomo co, gdy srebrne dźwięki dzwoneczków, wpadając do ucha, zamieniały się w coraz wyraźniejsze wyrazy, aż wreszcie poznał, iż było to wołanie:

— Wracajcie! Nie możemy już dać sobie rady!

W gromadce zapanował ruch.

— Śpieszmy! Śpieszmy! — przynaglali jedni drugich.

Złoty Rycerzyk ujął Danusia za rękę i pobiegli razem z innymi.

Chłopcu zdawało się, iż biegnąc, nie dotykali wcale stopami zielonych kobierców, że raczej płynęli, niby wietrzyk i przebywali dziwnie szybko wielkie, wielkie przestrzenie.

Tak czasami, gdy słuchał czarodziejskich opowiadań lub czytał piękną książkę, przebiegał nieznane sobie krainy...

Dzwoneczki natrętnie wołały:

— Śpieszcie! Śpieszcie!

VII. Słoneczne uśmiechy.

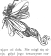

Coraz szybciej mknęła nasza gromadka. Danuś ani się spostrzegł, gdy się znalazł na wielkim złotym tarasie pośród całej chmary złotych istotek, będących w ciągłym ruchu, niby pracowite pszczółki, zbierające miód pyłów kwietnych.

I rzeczywiście, po bliższem przyjrzeniu się, zauważył, iż złote istotki trzymają w rączkach siateczki, któremi łowią coś, przypływające od dołu. Nie mógł się nikogo zapytać, co tu się dzieje, gdyż jego towarzysze rozbiegli się natychmiast i razem z innymi krzątali się zwinnie koło jakiejś niezrozumiałej pracy. Nawet Bimbuś gdzieś się zapodział; naturalnie taki wścibski kręci się zapewne, gdzie największy tłok i ani chybi, jaką psotę wypłata; Misiołatek zaś tak był oszołomiony ciągłym ruchem, krzątaniną, iż usiadłszy na tylnych łapach, znieruchomiał i tylko oczy biegały mu na wszystkie strony w niemym zachwycie.

Więc Danuś, pozostawiony sam sobie, zaczął się uważnie przyglądać i wkrótce zrozumiał, na czem polega robota złotych Dzieci-Pszczółek.

Spojrzawszy z tarasu w dół, dostrzegł jakby deszcz wznoszących się w górę złotych promyczków. Mniejsze i większe, mocne lub wątłe, żwawe, dążąc śmiało w górę lub niepewne, chwiejne, kołujące i błądzące. Dzieci-pszczółki łowiły te promyczki w siatki, starając się, by żaden z nich nie zginął.

Od dołu unosiły się opary szare, mętne i one to właśnie utrudniały złotym promykom dostanie się na taras. Od widocznie zarysowującego się pasa szarych mgieł i oparów co chwila odrywał się obłoczek, który gonił za złotym promyczkiem, oplatał go swojemi splotami, gasząc jego blaski i zakrywając go całkowicie. Gdy tylko spostrzeżono to z tarasu, wylatywała zaraz na złotych skrzydełkach jedna z pszczółek-dzieci i śpieszyła na pomoc uwięzionemu promykowi, najczęściej wydobywając go z szarych uścisków. Lecz biedny promyczek wyglądał wówczas blado, ledwie słabe blaski wydawał i zdawało się, iż lada chwila zagaśnie. Więc złota pszczółka niosła go szybko do zacisznego kącika tarasu, gdzie chwytały go zaraz cieplutkie rączki innych dzieci i póty chuchały nań, tuliły i pieściły, aż promyczek nabierał na nowo sił i blasków.

Lecz wiele, wiele promyczków nie dostawało się na złoty taras! Niedobre mgły kłębiły się groźnie w niektórych miejscach i wysyłały coraz gęstsze zwoje, gdzie tylko zabłysły blaski promieni.

— Jakby wojsko bolszewickie! Ani odwagi nie ma, ani męstwa, tylko takie olbrzymie, olbrzymie masy i niemi zalewa jasnych żołnierzyków! — myślał Danuś i zbudził się w nim żołnierski zapał i gotowość do boju ze złym wrogiem.

Lecz jak się wziąć do walki?

Dzieci-Pszczółki miały złote skrzydełka, na których swobodnie podfruwały do złych obłoków, czasami nawet tak blisko, iż ginęły prawie w mgłach i oparach; tymczasem nasz chłopczyk skazany był na bezczynność. Stojąc na złotym tarasie, mógł najwyżej pomagać promyczkom, podfruwającym bliziutko, lecz to nie pociągało wojowniczej natury chłopca.

Wygonić złe, szare chmurzyska za siódmą górę, za siódmą rzekę! Rozpędzić na wszystkie strony świata! Oto było jego pragnienie.

— Właśnie to jest naszym celem! — rozległ się koło niego głos Złotego Rycerzyka. — Niestety, nasze wysiłki tylko w części się udają. Gdy nam się bowiem powiedzie rozproszyć mgły, zaraz napływają nowe, a czasem jest ich tak dużo, iż ginie w nich większość naszych złotych promyczków.

— A skąd się biorą te śliczne promyczki?

— Jeszcze ich nie poznałeś? Chodź więc za mną — tu i tak nic nie pomożesz.

I pociągnął Danusia za sobą, zręcznie wymijając grupki uwijających się żwawo złotych dzieci, śpieszących w jedną i drugą stronę bądź to z pustemi siateczkami, bądź niosących ostrożnie promyki, wyrwane z szarych uścisków.

Łatwiej im było już poruszać się, gdy się znaleźli wśród szeregów dzieci, zajętych pielęgnowaniem promyczków.

— O, patrz, jak szybko odzyskują blask i siły, gdy je wyrwiemy szarym obłokom! — mówił Złoty Rycerzyk.

— Lecz powiedz mi, kto nasyła ciągle te nieznośne chmurzyska? — zapytał Danuś, ale nie usłyszał odpowiedzi, gdyż uwagę jego zwróciła na siebie maleńka dziewczynka, która siedziała na ziemi z minką bardzo zasmuconą, chuchając na wątłutki promyczek, ledwie, ledwie tlejący. Gdy blask jego ożywiał się nieco, dziewczynka rozpromieniała się radośnie, a gdy przygasał, buzia jej bladła i nabierała wyrazu takiego lęku i rozpaczy, iż żal było na nią patrzeć.

— Dlaczego ten promyczek gaśnie? — ze współczuciem zapytał Danuś.

— Odrazu był słabiutki i bledszy od innych... przytem z największym trudem udało nam się wyciągnąć go z uścisków mgieł...

W tej chwili promyczek tak widocznie osłabł i pobladł, iż nie ulegało prawie wątpliwości, że za chwilę zgaśnie.

Dziewczynka była zrozpaczona, lecz nie traciła jeszcze nadziei, tuląc, pieszcząc i chuchając na gasnące światełko.

— Daj pokój! Nic już nie zrobisz! A tam tyle innych promyczków czeka pomocy — tłumaczył łagodnie Złoty Rycerzyk. — O, widzisz! Ten biedaczek jest bez opieki, a także słaby i wątły.

— Nie! Nie! — upierała się dziewczynka — ja go kocham i on musi żyć! Musi!

— Czy nie mógłbym ci pomóc? — zapytał Danuś, który miał tkliwe serduszko, i bardzo, bardzo pragnął, by dziewczynce udało się uratować gasnący promyczek.

— Ach! Gdyby tu przyszła Dobra Pani! Gdyby spojrzała! — błagalnie szepnęła dziewczynka.

— Dobrze! Zaraz pobiegnę i poszukam jej! — z gotowością zawołał Danuś, lecz nie zdążył ruszyć się z miejsca, gdy spostrzegł Dobrą Panią, pochylającą się serdecznie nad zmartwioną dziewczynką.

Oczy Dobrej Pani patrzyły długo na ginący promyczek... A Danuś w tej chwili we wzroku władczyni krainy Złotego Serduszka spostrzegł to samo, co widział kiedyś w oczach mamusi... Był wtedy bardzo chory, w gorączkowym śnie snuły mu się jakieś straszne widziadła, potwory, grożące mu, goniące za nim... Krzyknął z przerażenia i otworzył oczy: przy łóżeczku stała mateczka, pochylona nad nim troskliwie i patrzyła na niego tak samo, jak Dobra Pani na chory promyczek.

Danuś odrazu uspokoił się, przeszły złe widziadła i zmory, było mu błogo i miło...

I mały, wątły promyczek odżywał — kochający wzrok Dobrej Pani wrócił mu życie!

Uszczęśliwioną dziewczynkę otoczyła gromadka złotych dzieci, które wraz z nią pobiegły żwawo do wielkiej sali, dokąd zmierzał i Złoty Rycerzyk.

— Czy poznajesz swoich znajomych? — spytał Danusia, gdy znaleźli się w sali — dziwnej sali, w której wszystko zdawało się być cudnym, słonecznym uśmiechem!

Chłopiec przyglądał się ze zdumieniem i zachwytem przecudnym promieniom, które odzyskały swój blask; wypełniając sobą całą przestrzeń, zaludniały ją niezwykłemi jakiemiś kształtami, lekkiemi, powiewnemi, to rozpływającemi się w złotym pyle, to znów łączącemi się we wciąż nowe postacie.

— O, tu masz wielu, wielu znajomych! — wesoło zauważył Złoty Rycerzyk — spójrz tylko w swoje lusterko!

Danuś sięgnął po lustereczko, które otrzymał od Dobrej Pani, i spojrzał w nie ciekawie.

Patrzył czas jakiś, nie mogąc nic rozróżnić w pierwszej chwili, tyle było ruchu i blasku w małem lustereczku, aż nagle wysunęła się ku niemu wyraźnie różowa twarzyczka, okolona złotemi lokami — a na niej śliczny, słoneczny uśmieszek..., za nim drugi, trzeci i więcej, coraz więcej. A wszystkie takie jasne, wesołe i dobre, ach! jak dobrze znane!

Jego uśmiechy! O, tym wita mamusię na dzień dobry! Z tym zrywa się z łóżka, śmiejąc się do promieni słonecznych, zaglądających do okna, a z tamtym znów zbiega po schodach, by wprowadzić babcię na wysokie piętro.

I ciągle nowe, a takie liczne, aż się Danuś dziwi, chociaż mu z niemi miło, błogo i swojsko.

— To wy aż tu przywędrowałyście! — śmieje się do nich i dostrzega, iż te uśmiechy tworzą jasną smugę, prowadzącą niby świetlista droga z ziemi do krainy Złotego Serduszka.

— Most Słonecznych Uśmiechów. Więc to wy mnie tu przywiodłyście?!

VIII. Kwiat Danusia.

Nietylko, nietylko one! — zaśpiewały wokoło słodkie głosiki, któremi zapełniło się zaraz całe powietrze, dzwoniąc przepięknemi, delikatnemi tonami, płynącemi ze złocistych harf, poprzewieszanych na różowych wstążkach przez ramiona dzieci różnego wieku i wzrostu, śpiewających i grających naprzemian.

Tak słodkiej i pięknej muzyki Danuś nie słyszał nigdy, a jednak, a jednak... jakieś znajome dochodziły go w niej dźwięki...

— Jak tam idzie robota? — zapytał Złoty Rycerzyk.

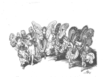

— Nie gorzej, niż wczoraj, lecz i nie lepiej — z pewnym smutkiem w głosie zauważyła największa z harfiarek. — Niestety, nie możemy wyrabiać tyle cudnie dźwięczących strun, ile potrzeba... Więc coraz trudniej ich zagłuszyć... O, słyszysz?

W rozdźwięczone łagodnemi, słodkiemi melodjami powietrze wpadł dźwięk ostry, przykry, drażniący.... aż zadrżały wszystkie harfy, a w jednej z nich pękła struna...

Daruś poczuł dziwny ból w sercu; przypomniało mu się nagle, niewiadomo dlaczego, jak raz krzyknął opryskliwie, sprzeczając się ze Zbyszkiem... I jeszcze jakieś chwile przesunęły mu się przez myśl, a wszystkie podobne do tego ostrego, przykrego dźwięku, od którego zadrżały wszystkie harfy i pękła jedna struna!

A tymczasem zdaleka dochodziły od czasu do czasu wciąż nowe hałasy, silniejsze lub słabsze — krzykliwe, przykre dla ucha, prawie bolesne.

— Zwołaj harfy! — rozporządził Złoty Rycerzyk. — Inaczej przepadną nam wszystkie Uprzejme Słowa, które są w drodze do nas!

— Już to uczyniłam — lecz dużo strun jest popękanych — a nowych mamy niewiele! Ach, gdyby nasz królewicz już wrócił!

— Nie trzeba narzekać i załamywać rąk! Naszym obowiązkiem służyć mu wiernie, chociaż go z nami niema! — mówił poważnie Złoty Rycerzyk. — Niechaj harfy grają wszystkie, i niech wszyscy stawią się do pracy, by nie stracić ani jednego Uprzejmego Słowa.

Harfiarki skłoniły główki i wnet z nową mocą rozdźwięczały struny, rozbrzmiały piękne pieśni, usuwając z powietrza złe, szkodliwe tony.

— I Słonecznych Uśmiechów teraz mniej, niż dawniej! — objaśnił Złoty Rycerzyk, widząc, że Danuś spochmurniał. — Wojna dużo, dużo ich zabiła. Ale zato przysporzyła nam cudnych kamieni, niesłychanej ceny! Takich posiadać nie może Szary Władca…

Szary Władca? Królewicz? Danuś nic o nich nie słyszał i nie wiedział, kim oni są, lecz poznał już zwyczaje krainy Złotego Serduszka, gdzie nie dawano odpowiedzi na pytania, lecz trzeba było samemu wszystko poznać. Więc nie pytał swego towarzysza o nic, bo zresztą i czasu na to nie było, tak ciągle coś nowego pochłaniało uwagę chłopca.

Oddalali się zwolna od harfiarek, które nie przestawały ani na chwilę grać i śpiewać, opanowując zwolna sprzeciwiające im się hałaśliwe odgłosy. Po drodze spotykali gromadki dziewcząt i chłopców, zwijających cieniuteńkie, jak pajęczyny niteczki, dźwięczące i grające nikłemi, słabiutkiemi tonami. Czasami niteczki się rwały lub plątały, a wówczas całe gromadki z wielką cierpliwością, wesoło i ochoczo rozplątywały i spajały, starając się nie uronić ani kawałeczka cennego materjału.

Złotego Rycerzyka witano wszędzie miłemi uśmiechami i wesołemi spojrzeniami, nie przerywając pracy.

Opodal, na zielonej łące biegały znów inne gromadki, jakby w jakiejś ochoczej zabawie pochylając się ku ziemi, to znów prostując i biegnąc dalej. Danuś rad był bardzo dowiedzieć się, co to za zabawa, więc zbliżył się i zobaczył, iż dzieci, które zdawały się bawić, zajęte są wsadzaniem do ziemi małych różnobarwnych ziarenek; inne znów troskliwie wzruszały koło nich ziemię i podlewały je starannie. W niektórych miejscach ziarenka, snać wcześniej posadzone, zaczęły kiełkować, a zdala widział cały łan zielony i ukwiecony.

— Proszę, idź dalej tą ścieżynką! — uprzejmie zapraszał jeden z ogrodniczków — zobaczysz, jak pięknie zakwitają Dobre Myśli, gdy są troskliwie pielęgnowane!

Z prawdziwą przyjemnością zapuścił się Danuś w labirynt ścieżek, które prowadziły wśród grząd najpiękniejszych kwiatów, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. Wielkie kielichy, wszelkich barw i kształtów, wznosiły się ku górze, wprost ku słońcu, pociągając oczy świetnością kolorów i pięknością kształtów, napełniając przecudną wonią powietrze.

Gdy Danuś znalazł się między kwiatami, zakołysały się i zaszemrały zcicha:

— Jest między nami i twój kwiat. Czy go poznasz?

Ach, skądżeby znowu wśród tej powodzi kwiatów mógł Danuś poznać swój kwiat, nie wiedząc, jak wygląda?!

A jednak chłopiec pragnąłby bardzo przekonać się, czy kwiat jego jest tak piękny, jak inne, jakie ma barwy i kształty. Więc przyglądał się uważnie każdemu, zaglądał do kielichów, przysłuchiwał się szeptom, jakie przebiegały między kwiatami, spodziewając się z nich czegoś się dowiedzieć, lecz napróżno!

Wszystkie kwiaty były bardzo piękne, pachnące i patrzyły śmiało w oczy słońcu...

Który z nich był jego kwiatem?

— Szukaj, szukaj! — szemrały, gdy chłopiec zaczął się zniechęcać...

Trochę na uboczu stała grządka kwiatów, mniej wspaniałych od innych, lecz pociągających śnieżną bielą swoich płatków, kołysanych łagodnie przez lekki wietrzyk.

Danuś, który zamierzał już wyjść z ogrodu „Dobrych Myśli", zbliżył się do białych kwiatów i natychmiast jeden z kielichów pochylił się ku niemu, a białe płatki zaszemrały:

— Będę zawsze bronił słabszych...

Jego kwiat!

Kwitnij swobodnie! Wznoś swój śnieżny kielich ku słońcu! Nie zwiędną twe białe płatki. Czyn, z ciebie zrodzony, nadawać ci będzie wciąż nowej piękności!

— Wszystko, co dobre, rozkwita w przepiękne kwiaty! — szemrały kielichy, rozsiewając swe cudne wonie.

— Zbieramy skrzętnie myśl każdą dobrą, słówko uprzejme, jasne uśmiechy, słodkie łezki i budujemy z nich krainę Złotego Serduszka! — brzmiał w powietrzu chór zgodnych, czystych głosów.

— Pracujcie! pracujcie! pracujcie! — dzwoniły srebrne dzwoneczki.

— Trwajcie! trwajcie! trwajcie! — dźwięczały z oddali jasne struny harf.

A wszystkie te głosy razem tworzyły jedną wspólną pieśń, piękną, spokojną i cichą.

Tak czasami śpiewa pogodny dzień letni, kłoniący się ku wieczorowi, oblany złotemi blaskami słońca, udającego się na krótki spoczynek.

IX. POSELSTWO.

Nagle harmonję pieśni zmąciło granie trąb i huk bębnów, chrzęst i szczęk oręża.... jakby jakieś wojsko zbliżało się do granic krainy Złotego Serduszka.

Powstał gwar i ruch wielki, zadźwięczały srebrne dzwonki, lecz jakoś inaczej, jakby na trwogę... wesołe, radosne głosy zamilkły... jakby cień jakiś padł na słoneczny świat...

W tej chwili Danusia dopadli z dwóch stron dwaj jego towarzysze, Misiołek i Bimbuś. Obaj byli zdyszani, obaj bardzo zaaferowani.

— Wojsko idzie! Wojsko bolszewickie! — ryczał Misiołek.

— Et, bajesz! — ofuknął go Bimbuś. — Nie wojsko, tylko poselstwo!

— Jakie poselstwo? od kogo? — pytał zaciekawiony chłopiec.

— Tego nie wiem. Ale wiem, że nic dobrego z sobą nie przynosi. Patrz, jak tam w ich stronie ciemno i chmurno!

Rzeczywiście, wraz z głuchemi dźwiękami trąb i bębnów płynęły ciemne chmury, kłębiąc się groźnie wokoło orszaku, już widocznego z miejsca, na którem stał chłopiec.

Kraina Złotego Serduszka gotowała się do przyjęcia niezbyt widocznie przyjemnych gości. Składano pośpiesznie robotę i zamykano podwoje wielkich sal. Cały ludek powiewnych lekkich istotek ustawiał się w karne szeregi, na których czele stały harfiarki.

Trąby zagrały głośniej, bębny zahuczały, jak grzmoty, poczem umilkły. Na granicy stanął orszak wojowników, zakutych od stóp do głów w szare zbroje, z wielkiemi czarnemi pióropuszami na hełmach.

Wraz z nimi nadciągnęły ciężkie zwoje szarych chmur, kłębiących się groźnie i kotłujących, gotowych lada chwila przewalić swe ponure, ciemne cielska przez słoneczną granicę.

Śpieszył ku temu orszakowi Złoty Rycerzyk, któremu towarzyszyło trzech równych mu wzrostem i tak samo, jak on przystrojonych chłopców; każdy z nich miał zawieszone po lewej stronie piersi błyszczące pięknie złote serduszko.

Danusia przejął dreszcz trwogi: Złoci Rycerze szli ku groźnym, zbrojnym zastępom swobodnie i ufnie, bez żadnej broni…

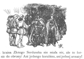

Cała kraina Złotego Serduszka nie miała nic, ale to formalnie nic do obrony! Ani jednego karabinu, ani jednej armaty!

A jej mieszkańcy byli wprawdzie bardzo piękni, bardzo dobrzy, ale nie mieli, nie mogli mieć najmniejszego pojęcia o wojowaniu! Tamci zaś, przybywający w zbrojach i z orężem, na pewno nie mieli pokojowych zamiarów. Co więc stanie się ze ślicznym światem słońca, barw i kwiatów, gdy nań runie twardy oręż i zaleją go ciemne chmury?!

— Poselstwo od Szarego Władcy!—zahuczał w powietrzu głos, brzmiący, jak groźba.

— Dobra Pani gotowa jest was przyjąć! — spokojnie odparł Złoty Rycerzyk. — Złóżcie oręż na granicy i odeślijcie orszak chmur — a wówczas bez przeszkody przeprowadzimy was do naszej Władczyni!

— Pójdziemy z orężem, a nasi wierni sprzymierzeńcy, Chmury, towarzyszyć nam będą, bo tego wymaga Majestat Szarego Władcy!—butnie odpowiedział jeden z szarych wojowników, na którego hełmie powiewał najwspanialszy pióropusz, a na piersiach wisiał wielki czarny diament, rzucający wokoło ponure blaski.

Widocznie był to główny wysłannik Szarego Władcy.

— Nigdy w krainie Złotego Serduszka nie było żadnego śmiercionośnego narzędzia, ani żadna chmura przedostać się nie może do krainy Słońca i barw. To jest prawo, które u nas rządzi. Warunek więc wasz spełniony być nie może — łagodnie tłumaczył Złoty Rycerzyk.

— Więc bez waszej zgody zrobimy to, co uważamy za potrzebne! — hardo odparł Szary Poseł.

— Będziecie wówczas najeźdźcami i gwałcicielami praw, obowiązujących nasze kraje, a nie poselstwem! — spokojnie odparł Złoty Rycerzyk.

— A gdyby tak było?—zapytał arogancko wysłannik Szarego Władcy.

— Przyjmiemy was odpowiednio! — mówił Złoty Rycerzyk, nie wyprowadzony z równowagi grubjańskim tonem wysłannika Szarego Władcy.

— Ha, ha, ha!—zaśmiał się cały szary orszak.—Może walczyć z nami będziecie?—Harfami, kwiatami i słonecznemi promykami skruszycie nasze zbroje? Rozbijecie oręż? Ha, ha, ha! Niechby tylko wola była naszego Władcy, zdepczemy was, jak robaki!—przechwalali się, pobrzękując szablami i potrząsając czarnemi kitami, rzucającemi długie, ciemne cienie, sięgające stóp Złotych Rycerzyków.

— Nie wypada nam trzymać tak długo u wrót naszych posłów, jeżeli nimi jesteście, ani rozmawiać przyjaźnie z najeźdźcami, którzy mają wrogie względem naszej krainy zamiary. Więc powiedzcie wyraźnie, kim jesteście i w jakich celach przybywacie?

— Oznajmiłem już, iż jesteśmy poselstwem Szarego Władcy, a z czem przybywamy, powiemy to waszej Władczyni.

— Dobrze! Więc, jako poselstwo zastosować się winniście do zwyczajów krainy, do której przybywacie! — stanowczo rzekł Złoty Rycerzyk.

Orszak Szarego Władcy począł naradzać się między sobą. Danuś, który podsunął się, wraz ze swoimi towarzyszami, jak tylko mógł najbliżej, przyglądał się pilnie przybyszom. Robili oni wrażenie dziwnie ponure i niemiłe. Aż dreszcz przejmował na ich widok, jakby wiało od nich mrozem i lodem. Czarne pióropusze na żelaznych hełmach powiewały żałobnie; twarze wysuwające się z pod nich były jakby szare, zacięte i chytre, oczy połyskiwały ponuro. Uzbrojeni byli w karabiny nowiusieńkie i szable błyszczące; za pasem rewolwery. Byli przytem rośli, tędzy i silni.

I gdy Danuś przeniósł wzrok na stojących opodal Złotych Rycerzyków, trwogą ścisnęło mu się serce: wydali mu się tak słabi, tak niezdolni do jakiejkolwiek obrony! Pierwsze natarcie szarych rycerzy zmiotłoby ich odrazu, bez śladu!

W tej chwili jeden z Rycerzyków spojrzał na Danusia jasnemi oczami i uśmiechnął się do niego, a od tego spojrzenia i od tego uśmiechu szło tyle ciepła i tyle światła, iż wszystkie trwogi chłopca rozwiały się nagle, jak chmury, gdy zabłyśnie słońce.

— Patrzcie, co te łobuzy wyprawiają! — pisnął nagle Bimbuś przy samem uchu Danusia.

Chłopiec spojrzał zaciekawiony w stronę szarych przybyszów, którzy skończyli właśnie narady, a najstarszy z nich, z największym pióropuszem, zwracał się właśnie do Złotych Rycerzyków, mówiąc:

— Zdecydowani jesteśmy, skoro inaczej nie można, zostawić broń na granicy waszego państwa na opiece naszej straży. Ale żądamy gwarancji, iż nam się nie stanie u was żadna krzywda.

— Nigdy w żadnem uczciwem państwie nikt nie wyrządził krzywdy posłowi! — spokojnie odparł Złoty Rycerzyk. — Złóżcie więc broń, a natychmiast zawiedziemy was do Dobrej Pani. Lecz, powiedz, jak mam cię zwać?

— Jestem Chmurny, zaufany Szarego Władcy. Nawzajem śmiem o twe imię pytać.

— Jasnotek!

— Ach — ulubieniec Królewicza Złote Serduszko! — mruknął Chmurny, a oczy zaiskrzyły mu się niemiłym blaskiem.

— Ten sam! — z uśmiechem rzekł Złoty Rycerzyk.

X. ZDRADLIWE ZAMIARY.

Przez czas tej rozmowy przybysze składali w kozły karabiny, odpasywali szable i zdejmowali pasy z nabojami. Lecz Danuś, kierowany uwagami Bimbusia, mógł dostrzec, iż kryje się tu jakaś zdrada, przybysze bowiem niepostrzeżenie chowali pod płaszcze rewolwery, a nawet torby z granatami ręcznemi.

— Zdrajcy! — syknął przez zęby oburzony chłopiec, zamierzając natychmiast uprzedzić Złotych Rycerzyków o podstępie wysłanników Szarego Władcy, lecz spotkał się właśnie w tej chwili ze wzrokiem rycerza Jasnotka — i zatrzymał się.

W oczach tych tyle było jasności, przenikliwości, rozumu i siły, iż niepodobna było przypuścić, by nie widziały one tego, co widzieć było trzeba.

— Brrr.... Zedrzećby skórę z któregoś z tych łobuzów! — pomrukiwał Misiołatek ze złemi błyskami w ślepiach. — Zarazby im się odechciało zdradę knuć...

— Siedź cicho — i nie mieszaj się do nie swoich spraw, bo popsujesz wszystko! — upominał Danuś, ale niedźwiadek był bardzo poirytowany.

— Pozwól mi tylko jeden taki czarny czub pogłaskać łapą! — prosił.

— Acha! Jakbyś ty swoją łapką taki czubek pogłaskał, pewniebyś razem z nim przyniósł skórę z całej głowy...

— To zdrajcy! — mruczał Misiołatek, ale Danuś ofuknął go gniewnie, nakazał siedzieć cicho i zagroził mu schowaniem do kieszeni. Tego niedźwiadek bardzo nie lubił, więc pohamował swoje zapędy i tylko zgrzytaniem zębów dawał folgę swojej wściekłości.

Tymczasem Bimbuś, jak to Bimbuś! Niby to był bardzo przejęty zdradliwem zachowaniem poselstwa, ale skusiła go widać miękka murawa, gdyż wywinął parę zręcznych kozłów, pokrzykując wesoło.

Ot, prawdziwy pajac!

Że tam jakimś dziwnym wypadkiem te kozły zaprowadziły go aż na samą granicę, i że przed tem Danuś szepnął coś na ucho swojemu pajacykowi, tego nikt nie zauważył. A że taki zabawny pajacyk z trochę głupkowatą miną przyglądał się zbliska przybyszom, temu znów nikt bardzo dziwić się nie mógł, a nie jeden, widząc wesołego jegomościa, uśmiechnął się nawet do niego.

Nikomu do głowy nie przyszło kryć się przed nim. Więc patrzył nasz Bimbuś, patrzył uważnie, wywracając kozły i pokrzykując wesoło. A to, co widział, mogło napełnić trwogą największego zucha. Więc też i pajacykowi, choć pocieszne harce wciąż wyprawiał, drżały łydki, ukryte w pasiastych szarawarach, a serduszko biło niby bęben na trwogę!

Jezus! Marja!! A toć chyba Prusacy nie wymyśliliby bardziej sprytnych sposobów, gdy brakło im sił, by walczyć z prawdziwem męstwem, zapałem i rycerskim duchem!

Wielkie czarne kity, powiewające na hełmach, które wydawały się zdaleka ozdobami tych ponurych wojowników, okazały się zbliska mniej niewinnemi. Bimbuś dostrzegł, iż połączone były cienkiemi, drucianemi sznurkami, okręconemi jedwabiem, z aparacikiem w formie dużego zegarka, spoczywającym w kieszonce każdego szarego przybysza, służąc najwidoczniej do jakiegoś tajemniczego celu. Chełm ów zbliska okazał się zwiniętą kunsztownie maską z cieniutkiej tkaniny, którą każdej chwili można było naciągnąć na twarz. Tajemnicze zwoje sznurów, cienkich lecz widocznie bardzo mocnych, ukryte były pod każdym płaszczem; jakieś nieznane Bimbusiowi ani z wyglądu, ani z opisu przyrządy, jakieś pudełeczka z zasuwkami, zastawkami, zameczkami i zegarkowemi mechanizmami—niby przyrządy wybuchowe, lecz bardziej jeszcze skomplikowane, wreszcie urywane słowa, z których część zaledwie mógł zrozumieć, dowodziły, iż poselstwo Szarego Władcy zamyślało jakąś zdradę.

— O, niedoczekanie! A my tu od czego!? — zamruczał, wywracając z wielkim zapałem znowu parę kozłów, by nie pozwolić wybuchnąć oburzeniu.

A tymczasem świta Chmurnego, odebrawszy ostatnie rozporządzenia swego wodza, ustawiała się w karnych, silnych szeregach, by przestąpić granicę jasnej krainy. Widać było wyraźnie zaciekawienie i pewną niecierpliwość ze spoglądających z pod nawisłych brwi oczu.

Poseł Chmurny z Jasnotkiem szedł na czele, za nimi reszta *Złotych Rycerzyków* wraz ze świtą Szarego Władcy.

Gdy poselstwo znalazło się w granicach krainy Złotego Serduszka, ruszyły za niem górą ciemne ciężkie chmurzyska, rzucając na słoneczne przestrzenie szare, zimne cienie.

Dreszcz przebiegł rzeszę jasnych mieszkańców, twarze pobladły, lecz w tej chwili Jasnotek zatrzymał się i patrząc w oczy Chmurnemu, rzekł spokojnie:

— Wedle umowy, wasi sprzymierzeńcy mieli zostać na granicy... Widocznie zapomniałeś wydać odpowiedni rozkaz... i przez nieporozumienie ruszyły za wami...

— Nie moja to rzecz... mają swoją wolę... — wymijająco mruknął Chmurny, ale Jasnotek potrafił swemi prostemi słowami przyprzeć zawsze do muru przeciwnika:

— Więc nie należą do poselstwa? — zapytał.

— A gdyby nie należeli, to co? — pytaniem na pytanie odpowiedział Chmurny.

— Wówczas traktowalibyśmy waszych sprzymierzeńców, jak najeźdźców, nieprawnie przekraczających nasze granice — i rozprawilibyśmy się z nimi — spokojnie rzekł Jasnotek.

Chmurny był nieco zmieszany, lecz pokrywał to ironją.

— Ha, więc wasze słoneczne państwo i bić się potrafi? Może broń ma jaką specjalną? — podrwiwał.

— O ten w razie potrzeby potrafimy przekonać naszych przeciwników! — Tymczasem zapytuję, czy wojsko chmur należy do poselstwa?

— A więc tak, należy.

— W takim razie wydaj mu rozkaz, by natychmiast się cofnęło! — nakazująco rzekł Jasnotek.

Chmurny, acz z widoczną niechęcią, usłuchał, i wyjąwszy zawieszony na żelaznym sznurku gwizdek, zagwizdał.

Z góry odpowiedział natychmiast szum złowrogi, a potem rozległ się przeciągły gruchot, jakby staczanie olbrzymich głazów z wielkiej wysokości...

— O... grzmi... burza nadchodzi! Boże! Gdzie my się schowamy przed deszczem? — kłopotał się Bimbuś, lecz Misiołatek, ciągle nasrożony i zły, oburknął go mrukliwie:

— Jaka tam burza... To ci poganie prusacy armatki na aeroplanach pochowali...

— E — naprawdę? A to zdrajcy! — oburzył się pajacyk.

— Takiś gimnastyk... Mógłbyś wywinąć do góry porządnego kozła i spenetrować, co oni tam, z temi chmurzyskami za konszachty mają! — mruczał Misiołatek, widocznie bardzo podrażniony, gdyż naderwane ucho, kilkakrotnie operowane, a ciągle chwiejne, kiwało się na wszystkie strony, co oznaczało u niedźwiadka nadzwyczajną gotowość bojową.

Gruchot nie ustawał — w górze chmury kotłowały się i nie myślały ustępować. Niektóre nawet, ciemniejsze i cięższe, zaczęły opuszczać się na dół, jakby grożąc, że zwalą się całym ciężarem na słoneczną krainę.

Chmurny zrobił zakłopotaną minę i rzekł, jakby tłumacząc się:

— Jest to sprzymierzeniec, bardzo luźno z nami związany... Właściwie do posłuszeństwa nie jest obowiązany... Nie chce wycofać swoich zastępów.

— Zatem nie masz nad niemi władzy?... Doskonale! Nic więc nie przeszkadza, byśmy zastosowali do nich nasze środki obrończe! — z niezmiennym spokojem mówił Jasnotek, sięgając po zawieszony na złotym sznurku maleńki dzwoneczek.

— Spróbuję raz jeszcze dać sygnał! — rzekł pośpiesznie Chmurny, rzucając gniewne spojrzenie na Złotego Rycerzyka, i zagwizdał powtórnie, przeciągle i mocno.

Był to widać znak umówiony, na wypadek, gdyby nie udało się przeprowadzić ukrytych zamysłów, gdyż chmury, warknąwszy jeszcze głucho, jakby z protestem, poczęły się cofać planowo i w porządku.

— Karne bestje! — mruczał Misiołatek, zawsze niebardzo wykwintny w języku, a gdy był zły, zgoła już nie przebierający w wyrazach. — Zdrajcy są i galgany, ale wyćwiczone to świetnie, porządek aż miło i mądre szelmy...

— To się wie! Prusacy też mądrzy byli i porządek mieli, i broń, i wyćwiczenie, i co? — pocieszał się Bimbuś, ale było mu wciąż markotniej i coś koło serca go ściskało.

Nie trwoga to była, broń Boże, ani lęk o własną skórę! Bimbuś nie jedno przeszedł i śmierć nieraz mu zaglądała w same oczy — ale czuł, że święci się tu coś niedobrego, że na ufny, dobry, łagodny i słoneczny lud krainy Złotego Serduszka ciągnie podstępnie doskonale przygotowany wróg, by go znienacka napaść i zgnieść.

Pajacyk przylgnął już do tego jasnego świata, a przytem niebezpieczeństwo zagrażało i Danusiowi, któremu losy Bimbusia nakazały służyć aż do ostatniego tchnienia!

Tymczasem Złoci Rycerze nie okazywali najmniejszego zaniepokojenia: jasnym wzrokiem obrzucali tłumy, stojące pozornie zupełnie bezbronnie, z harfami, kwiatami i złotemi promykami w rękach.

Gdy Jasnotek spotkał się ze wzrokiem Danka, skinął na niego znacznie a chłopiec podbiegł do niego natychmiast.

— To nasz gość i przyjaciel! — uprzejmie przedstawił go Rycerzyk Chmurnemu. — Bądź przy mnie i uważaj! — szepnął jednocześnie ledwie dosłyszalnie.

Danuś skinął złotą główką. Był niezmiernie dumny, iż Jasnotek obdarzył go zaufaniem, a jednocześnie nabrał przekonania, że jego spostrzeżenia co do szarego poselstwa były słuszne i że *Złoci Rycerze* również dobrze widzieli podstępne postępowanie przybyszów.

Znalazłszy się w pobliżu Chmurnego, obrzucił go ciekawem spojrzeniem.

Był to silny, duży wojak o ładnych rysach twarzy, która jednak miała w sobie coś odrażającego. Z oczu patrzyła nieustraszona odwaga, ale jednocześnie spojrzenia, rzucane wokoło, były chwilami niepewne, wahające i jakby spłoszone.

Coś niepewnego było w zaciśniętych ustach, a każde słowo, które z nich wybiegało, tchnęło podstępem, chytrością i obłudą.

Ale gdy chłopiec dłużej przyglądał się wysłannikowi Szarego Władcy, ze zdziwieniem dostrzegł, iż chwilami przebiegał przez tę dziwną, ponurą twarz wyraz bólu i żalu — czasami też zdawało się Danusiowi, iż te oczy i te zaciśnięte usta widywał gdzieś, kiedyś, przelotnie, przez króciutką chwilę.

XI. POSŁUCHANIE.

W tej chwili rozległy się przeczyste, piękne dźwięki złotych harf, którym towarzyszyła pieśń srebrnych głosików mieszkańców krainy *Złotego Serduszka*.

Szare poselstwo, zdążające z początku z zuchwałemi minami i pewnemi siebie ruchami, zmieszało się, w szeregach zapanował pewien zamęt.

— Co to za muzyka? Poco te śpiewy? — zapytał, marszcząc brwi, Chmurny.

— Za chwilę staniecie przed obliczem Dobrej Pani. Muzyka i śpiew towarzyszą jej zawsze: tem bardziej więc musi rozlegać się, gdy przyjmujemy tak dostojnych gości! — z pewną ironją odpowiedział Jasnotek.

Chmurny nie mógł powstrzymać niemiłego grymasu, nie rzekł jednak nic, tylko skinieniem ręki uspokoił swoją świtę, która coraz niepewniej posuwała się naprzód, aż wreszcie

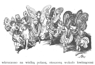

wkroczono na wielką polanę, otoczoną wokoło kwitnącemi drzewami i krzewami, i zalaną potokami światła i słońca.

Wszystko w niej i na niej zdawało się oddychać szczęściem i radością, wszystko grało, śpiewało i rozsiewało wokoło przepiękne wonie. Tylko czarne czuby, chwiejące się na hełmach świty poselstwa, rzucały ciemne, złowrogie cienie i szumiały ponuro za każdem poruszeniem się szarych wojowników. A ci czuli się coraz gorzej: światło i promienie słoneczne, w których z rozkoszą tonęli mieszkańcy krainy Złotego Serduszka, raziły ich oczy, przyzwyczajone do szarzyzny i mroków ich kraju: śpiew i muzyka drażniły uszy, przywykłe tylko do chrzęstu oręża i zgiełkliwych hałasów, zapachy kwitnących kwiatów budziły jakiś niepokój i wspomnienia, pogrzebane dawno w szarym pyle ich szarej ojczyzny.

Chmurny spostrzegł przygnębienie swej świty, więc prostował się dumnie, zadzierał do góry głowę, potrząsał zawadjacko czarną kitą, wytężał oczy, by znieść dokuczliwy blask słońca, i stroił twarz w pogardliwe uśmiechy, by dodać animuszu swoim towarzyszom.

Pośrodku polany, na wzniesieniu, w namiocie, tkanym złotem, na złocistym tronie spoczywała Dobra Pani! Danuś zaledwie ją mógł poznać. Niby ta sama, a jednak zupełnie inna. Te same duże, piękne i dobre oczy, ale w nich siła jakaś i potęga, przed którą mimowoli wzrok się cofał. Na pięknej, łagodnej twarzy malowała się stanowczość i nieugięta wola.

Złoci Rycerze patrzyli z uwielbieniem na swoją panią, a Jasnotek, widząc zdumienie w oczach Danusia, szepnął doń z uśmiechem:

— Nie przypuszczałeś, widzę, żeby Dobroć mogła być silną?

Danuś nie zdążył odpowiedzieć, gdyż posłowie zbliżali się właśnie do namiotu Dobrej Pani. Jasnotek wraz z resztą Złotych Rycerzyków pośpieszyli naprzód, by zameldować przybywających.

Dobra Pani skinęła łaskawie i Chmurny, pusząc się, prostując, z chrzęstem i szumem swego wielkiego pióropusza, zbliżył się, nadrabiając miną, do złocistego tronu. Za nim podążała świta, widocznie źle się czująca w jasnej Krainie.

— Witam was, posłowie Szarego Władcy, na ziemi królewicza Złote Serduszko. Bądźcie pozdrowieni! Przyjmujemy was szczerem i otwartem sercem, i mamy nadzieję, iż z takiem samem wy do nas przychodzicie! — melodyjnym, miłym głosem witała przybyszów Dobra Pani.

Chmurny odzyskał już zupełnie panowanie nad sobą. Skłonił się na powitanie i rzekł, starając się nadać swemu grubemu, chropowatemu głosowi uprzejmy ton:

— Mój pan najmiłościwszy, władca bezmiernych krain, najpotężniejszy i najmożniejszy, zwany Szarym Władcą, śle przez me usta pozdrowienia dla ciebie, Pani! A na dowód swej dobrej woli i chęci zażegnania raz na zawsze wszelkich niesnasek między naszemi krainami, sąsiadującemi z sobą, przesyła przezemnie propozycję.

Słowa posła Szarego Władcy wzbudziły ogólne zaciekawienie: zakołysały się gromady jasnego ludku, zabłysły ciekawością jasne oczy, poszedł szept.

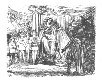

— Szary Władca chce zgody!? Szary Władca śle propozycje?!

Lecz zaraz szmer niedowierzania, nieufności i ostrzeżenia:

— Nic dobrego dla naszej krainy od Szarego Władcy nie przyjdzie! Strzeżmy się, strzeżmy!

— Rada jestem niezmiernie, iż Szary Władca pokojowe śle nam propozycje. I chętnem sercem je wysłucham! — łaskawie odpowiedziała Dobra Pani.

Danusiowi, który przypatrywał i przysłuchiwał się bacznie wszystkiemu, zdawało się, że Dobra Pani wie doskonale, poco przybyli do niej ci wysłannicy Szarego Władcy, że zna ich myśli i zamierzenia.

— Pan mój pragnie zgody wieczystej i dlatego, chcąc połączyć węzłami nierozerwalnej przyjaźni dwie krainy, prosi przez moje usta o rękę twoją, Dobra Pani, z tem, by kraina

Złotego Serduszka, jako twoje wiano, przyłączona została do posiadłości Szarego Władcy — mówił butnie Chmuray, lecz nim przebrzmiały jego słowa, zerwał się ze wszystkich stron okrzyk oburzenia i grozy!

Szary Władca, okrutnik bez serca, siewca zła, drapieżnik, wyciągający swe chciwe ręce po cudze dziedziny, szkodnik, wciskający się wszędzie, by burzyć i niszczyć, despota, w mrokach i cieniach utrzymujący podwładną mu ludność, by nad ciemnymi, blasku słońca nie znającymi tem łatwiej swą władzę mógł rozciągać — śmie sięgać po rękę Dobrej Pani, a z nią po władzę w krainie słońca, jasności i szczęścia! Toć to zuchwalstwo i obelga! To gorsze, niż otwarta walka, którą zdawien dawna toczy z krainą Złotego Serduszka.

— A co? Nie mówiłem: prusaki psubraty!? — burknął Misiołatek na ucho osłupiałemu Bimbusiowi. — Chce mu się, temu Szaremu, być Rytygierem — a Dobra Pani — to niby nasza królewna Wanda! — imponował swemi wiadomościami historycznemi, zaczerpniętemi z lekcji Danusia, ale Bimbuś niewiele go słuchał, tylko wytrzeszczał jeszcze bardziej swe wysadzone na wierzch czarne, okrągłe ślepki.

— Baczność! — szeptał — wytęż słuch i wzrok, bo zda mi się, że niedługo bomba pęknie i będzie nam wszystkim ciepło!

Gwar i zamieszanie zapanowały na polanie, aż Dobra Pani skinęła, dając znak, iż chce odpowiedzieć posłowi Szarego Władcy. Natychmiast zapanowała cisza tak wielka, iż słychać było jeno lekki szmer czarnych kit, poruszanych powiewem wiatru.

— Niezmienne prawo natury głosi, iż po dniu następuje noc, a po nocy dzień — nigdy razem po świecie chodzić nie może światło i ciemność! Wasza kraina mroków i cieni połączyć się nie może ze światem słońca i światła — o tem wasz Szary Władca wie dobrze! Tedy, mówiąc o połączeniu naszych krain, myślał tylko o zawładnięciu jednej przez drugą. Czy mrok i ciemność ma zapanować nad światłem i słońcem? Czy słońce i światło zwyciężą mrok i cienie? O to walka toczyła się, toczy i toczyć będzie długi czas jeszcze... i o tem wie wasz Władca... Wie też dobrze, iż kraina nasza należy do Królewicza Złote Serduszko — ja zaś władam w niej tak, jak władam wszędzie, gdzie mnie wzywają i pragną... państwo moje jest wszędzie, gdzie istnieją istoty i serca ludzkie — niema krainy, gdzie nie czułabym się władczynią i panią... Przyjdzie czas, że i do waszego ciemnego, szarego świata zawitam i władzę w nim obejmę — lecz nie na podstępne wezwanie tego, który przez zło chce swą władzę nad światem utrwalić, lecz na zew stęsknionych do światła i słońca serc i dusz!

Słowa Dobrej Pani płynęły, niby fala, ogarniająca wszystko; dotknęły złotych strun harf, które rozbrzmiały najpiękniejszą muzyką, uderzyły w serca i wydobyły z nich hymn wiary i szczęścia, szły ku słońcu i ściągały najpiękniejsze, najcieplejsze i najjaśniejsze promienie... wiała z nich siła i moc, której nic złamać i pokonać nie było w stanie!..

Zadrżało serce Chmurnego, zahartowane, zda się, i okute pancerzem nieprzeniknionym, poruszyły się niespokojnie wszystkie czarne czuby, rozbiegły na wsze strony płochliwe, błądzące spojrzenia...

Chmurny, najwierniejszy sługa szarego Władcy, zaufany i powiernik, niedarmo jednak był wybrany na posła w tej tak trudnej a ważnej sprawie: znał dobrze Szary Pan jego dzieje, znał nienawiść do światła i słońca, znał porachunki, jakie Chmurny miał z krainą Złotego Serduszka i Złotemi Rycerzykami i wiedział, iż raczej da życie, niżby miał ulec przemożnemu czarowi tej przedziwnej krainy i Dobrej Pani.

I nie zawiódł się. Chmurny, uczuwszy słabnące weń serce, położył szybko rękę na czarnym diamencie, zawieszonym na jego szyi, jakby zeń zaczerpnąć chciał siły — i wnet podniósł zuchwałe oblicze, pociemniałe bardziej jeszcze od tajonej złości.

— Czy to jest twoja ostateczna odpowiedź, o Dobra Pani? — zapytał.

— Zanieś ją swemu panu! On ją zrozumie, jak należy! — spokojnie odparła Dobra Pani.

Chmurny potrząsnął czarną kitą, oczy mu zamigotały, niby u kota, gdy się szykuje do skoku na upatrzoną zdobycz.

— Szary Władca, przemądry mój pan, przewidując możliwość odmowy na propozycję, polecił mi użyć innych środków — mówił zuchwale.

— Jakież to są inne środki, których użyć może poseł, przybywający z poselstwem do sąsiedzkiej krainy? - z uśmiechem zapytała Dobra Pani, a Danuś, który wraz ze swymi towarzyszami zbliżył się nieznacznie do tronu, spojrzał z pewnem zdziwieniem. Chmurny groził widocznie, wśród jego świty panował ruch jakiś podejrzany, acz bardzo ostrożny, lada chwila można się było spodziewać jakiegoś gwałtownego czynu ze strony podstępnych przybyszów, którzy mieli najwidoczniej wydane jakieś tajemne rozkazy swego pana i po to tylko tu przyszli, by je spełnić. A Dobra Pani uśmiecha się pobłażliwie, jakby rozmawiała z niegrzecznem dzieckiem i nic nie robi, aby przeszkodzić niecnym zamiarom wysłanników Szarego Władcy!

— Pan mój ma władzę wszechpotężną!—mówił tymczasem Chmurny.—Z jego to woli uwięziony został Królewicz Złote Serduszko...

Gwałtowny okrzyk przerwał mu.

— Przez zdradę! Hańba zdrajcy!—wyrwało się ze wszystkich piersi. — Imię zdrajców niechaj będzie pohańbione na wieki! —wołały wszystkie usta, lecz Dobra Pani skinęła ręką i wnet wszystko się uciszyło, a Chmurny mówił dalej, kryjąc pobladłą twarz w cień zsuniętego na czoło hełmu.

— Odtąd kraina Złotego Serduszka stała się bezpańską.. Równe prawo może mieć do niej mój pan, Szary Władca, jak ty, Dobra Pani!

Znów zerwał się, niby poszum nadciągającej zawieruchy, chór oburzonych głosów, lecz Dobra Pani uspokoiła raz jeszcze swój lud.

— Posłem jest, — dajcie mu mówić spokojnie!

— Jednak pan mój nie zrobił tego, gdyż dość ma swoich rozległych posiadłości. Ale gdy na rozkaz Dobrej Pani szkodzić nam zacząć, gdy wasze promienie niszczycielskie wpadać poczęły poza nasze granice, a mdłe dźwięki waszej muzyki mąciły nam naszą atmosferę, gwałtem się do nas przedzierając, — Szary Władca musiał odpowiedzieć na te zaczepki. Więc opasaliśmy was szarym pierścieniem, przez który z trudem wielkim przedostają się do was słoneczne uśmiechy, dające wam ciepło i światło, i który broni wam swobodnego dostępu do ziemi, którą pragniecie zasypywać waszemi promieniami... Pierścień ten wzmacnia się codzień, rozszerza i niedaleką jest chwila, gdy zostaniecie odcięci zupełnie od ziemi, z której czerpiecie siły i dla której pracujecie... wówczas — zginiecie!

— A nasi Złoci Rycerze?! — zawołał tłum, lecz Chmurny uśmiechnął się drwiąco.

— Jest ich garstka. A nowych nie przybędzie, gdyż tylko z rąk Królewicza mogą otrzymać złote serduszko!

Danusia serce ścisnęło się nagle niewysłowionym żalem: śliczna, słoneczna kraina, słońcem i światłem żyjąca i dobro siejąca, w szarym pierścieniu wroga chytrego, przewrotnego i silnego, — czyż to nie dzieje jego ukochanej ojczyzny, — Polski!? Polska też nikomu nic złego nie robiła, wszystkim szeroko gościnne swe wrota otwierała i śpieszyła z pomocą, gdy tylko na którego sąsiada przyszły złe chwile... I opasała ją szarym pierścieniem przemocy chciwość sąsiadów i omal życia z niej nie wydarła!

Lecz oto jego Polska ukochana pierścień rozerwała, do życia powróciła i pełną piersią oddycha — wolna i niepodległa!

Zła potęga zawsze rozpaść się musi! Ale w tej chwili krainie Złotego Serduszka groziło wielkie niebezpieczeństwo...

XII. NAPAD.

Baczność! Te gałgany gotują się do ataku! — szeptem ostrzegał Bimbuś, z trudnością powstrzymując się od swoich kozłów, które zwykł był wywijać zarówno w radosnych, jak i w ciężkich chwilach.

— Pan mój nie ma jednak czasu, by się z wami dłużej bawić. Potrzebny jest na ziemi — tam krew się toczy, niegodziwość wydziera żywe serca, podłość zbiera obfite żniwo... Mroków tam trzeba, groźnego chrzęstu oręża, silnej pięści i kamiennego serca... Nic tam po waszych promykach i słodkich dźwiękach... Więc chce przyłączyć waszą krainę do swego potężniejszego państwa — a w jaki sposób to zrobi — pokojowo czy siłą — od was to zależy! Dacie Dobrą Panią sami — dobrze. Nie dacie...

— Wówczas co będzie? — spokojnie zapytała Dobra Pani.

— Zabierzemy siłą! — rzekł ponuro Chmurny, dając jednocześnie znak swojej świcie, która natychmiast, z chrzęstem i hałasem wielkim naprzód ruszyła.

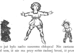

Tego już było nadto naszemu chłopcu! Nie zastanawiając się nad tem, iż nie ma przy sobie żadnej broni, iż przeciwko czarnemu zastępowi uzbrojonych wojowników wystawi tylko swą odwagę i zapał, rzucił się przed tron i, rozkrzyżowawszy ręce, stanął przed Dobrą Panią. Obok niego, z dwóch stron, stanęli wierni jego towarzysze, Misiołatek i Bimbuś.

A ciemna ściana wysłanników Szarego Władcy, szumiąc pióropuszami, posuwała się naprzód.

Danusiowi serce biło, jakby jakiś wielki młot w piersiach mu kołatał.

— Nie dam Dobrej Pani! Nie dam! — powtarzał z zaciętością, obmyślając jednocześnie sposoby, któreby mu pozwoliły podejść przeciwnika i dostać broń! Alboż to raz bywał w takim wypadku, gdy samotrzeć na setki bolszewików szedł i zwyciężał! Ci byli wprawdzie lepiej uzbrojeni i mądrzejsi, ale i on miał głowę nie od parady, szczególniej w sprawach wojennych, a i Bimbuś też był mistrzem niełada, gdy chodziło o obmyślenie jakiegoś fortelu.

— Pokoziołkuję mu się pod nogi — i przewrócę — ty nań skocz, wyrwij broń i pal prosto w to podłe prusacze serce... Misiołak niech przez ten czas ryczy, jak może najstraszniej, żeby resztę na chwilę zatrzymać... gdy ten główny prusak padnie, a ty dostaniesz broni, reszta pójdzie, jak po maśle! — szeptał Bimbuś, nie spuszczając przytem oka z nieprzyjaciela.

A ten szedł naprzód, rozwijając szyk w półkole... Chmurny na czele, straszny, zacięty, dyszący złością i nienawiścią, z roziskrzonemi oczami...

— Panno Najświętsza — pomóż! — pobielałemi ustami szeptał chłopiec, i już miał dać znać Bimbusiowi, by wykonał swój manewr, gdy nagle... stało się coś nadzwyczajnego.

Chmurny wypuścił miecz z ręki i z okrzykiem bólu cofać się począł, zakrywając oczy połą płaszcza.

Cofała się też cała świta, odwracając głowy lub kryjąc je w fałdach płaszczy.

Co się stało?

Chłopiec obejrzał się na Dobrą Panią i znieruchomiał...

Z tronu podnosiła się postać znana mu dobrze, lecz jakże inna, zupełnie inna! Zdawało mu się, iż z każdą chwilą postać ta rośnie, olbrzymieje, sięga niemal błękitu nieba, a ręce, które wyciągnęła przed siebie, wydały mu się jakiemiś niebywale wielkiemi skrzydłami, które opasują wszystko naokół, wraz ze zbitą w trwożliwą gromadkę grupką przybyszów, kryjących się jeden za drugiego!

Jakiś blask potężny bił od całej tej postaci, rażąc oczy, nie przywykłe do światła i rozpalając żelazo, którego utrzymać nie mogli zdradzieccy posłowie!

Jakże małym, maleńkim wydawał się sobie w tej chwili Danuś! Więc zawstydził się, że swemi wątłemi ramionkami chciał bronić takiej potęgi, przed którą cofa się oto upokorzony zdradliwy wróg!

Bimbuś otworzył w podziwie szerokie usta, a Miaułatek przysiadł na tylnych łapach, a przednią skrobał się za uchem co u niego oznaczało szczyt zdumienia.

— Niema takiej potęgi, którąby zniszczyć mnie potrafiła — rozległ się głos Dobrej Pani, a zabrzmiał tak silnie, iż zdawało się, że na wszystkich krańcach świata go słychać — choćby wszyscy moi wrogowie sprzysięgli się przeciw mnie, choćby wszystkie siły swe połączyli, by mnie pokonać, zwycięstwo ich chwilę trwać tylko może! Ponad ich złość, przebiegłość, okrucieństwo i siłę wzniesie się zawsze moja moc nad duszami ludzkiemi i da światu szczęście i radość! Spójrzcie, wy dumni wysłannicy mroków i cieni! Jakże nikłe i słabe jest oręże zła, skoro bezsilnie upada w zetknięciu z moim wzrokiem! Zdradliwe serca wasze drżą, — oślepłe nienawiścią oczy znieść nie mogą blasku słońca! Jak spłoszone stado kuropatw pojmaćby was teraz można i zniszczyć!

— Mnie niechby ich dała w łapy Dobra Pani! — mruknął Miaułatek, zgrzytając zębami i patrząc nabiegłemi krwią ślepiami w stronę szarych posłów, bezradnie stojących w zbitej gromadzie. — Już jabym wiedział, co z nimi zrobić!

— Cichobyś siedział — oburknął go Bimbuś. — Dobra Pani bez twoich zębów i pazurów ukarze ich, jak należy!

Gniewne spojrzenie Danusia uciszyło obydwóch. Chłopiec wpatrzony był z zachwytem w twarz Dobrej Pani, w której ciągle coś nowego spostrzegał. Gdy przed chwilą zdumiewała go moc i potęga z niej bijąca, teraz, ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, widział w niej znów tylko wielką słodycz i jakby smutek.

— Nie mojem zadaniem jest zemsta i kara — mówiła Dobra Pani, a głos jej był znów, jak dawniej, miły i śpiewny. — Nie znaczy to jednak, by zbrodnia i występek uchodziły bezkarnie! Z mej ręki nie doznacie kary, lecz dosięgnie was ona z was samych! Wasze sumienia, zbudzone przeze mnie, niechaj wam będą sędziami! — A teraz wracajcie do waszego pana! Opowiedzcie mu, coście zobaczyli i usłyszeli w krainie Złotego Serduszka! Mimo że złamaliście prawa, obowiązujące posłów, pozwalam wam odejść w spokoju. A jeżeli który z was zapragnie zacząć nowe życie, niechaj zostanie z nami! Otoczą go braterskie serca, a dobre, kojące ręce wyleczą rany, zadane przez długą ciemnotę i mroki!

XIII. ODWRÓT SZARYCH RYCERZY.

Gdy przebrzmiał słodki głos, szare poselstwo w milczeniu zbierać się zaczęło do odwrotu. Wprawdzie kilku wojaków, widocznie poruszonych słowami Dobrej Pani, ociągało się, okazując chęć odłączenia się od świty, lecz Chmurny, zasępiony, jak noc, dławiący się upokorzeniem i drżący z bezsilnej wściekłości, trzymając ciągle rękę na swoim diamencie — groźnym wzrokiem i rozkazującym ruchem wezwał ich do siebie, wydając krótki rozkaz. Natychmiast, bez słowa protestu, ulegając jakiejś przemożnej sile, ustawili się ci właśnie, którzy okazywali chęć pozostania w krainie Złotego Serduszka, w karne szeregi i ruszyli naprzód. Chmurny z najbliższymi powiernikami zamykał ponury pochód.

— Co to znaczy? — mruczał niechętnie Misiołatek. — Takich zdrajców należało zabić, a przynajmniej zamknąć w więzieniu..!

— Mówi się — „internować“ — poprawił Bimbuś, nadrabiający humorem, choć także najwidoczniej niezadowolony był z takiego obrotu rzeczy.

Danuś też niebardzo rozumiał tego, co się stało: przecież Chmurny popełnił zdradę, porwał się na Dobrą Panią, przygotował zamach na państwo... I odchodzi tak bezkarnie?! I nic mu za to nie będzie?! Nie śmiał krytykować zarządzenia Dobrej Pani, ale powtarzał w myśli:

— Nie rozumiem! Nie rozumiem!

— Gdy pobędziesz z nami dłużej, zrozumiesz! — z uśmiechem rzekł Jasnotek, który szedł za Chmurnym, a w tej chwili połączył się z chłopcem. — Ci, którzy wrócą od nas do swego Szarego państwa, więcej nam przyniosą pożytku, niż gdybyśmy ich u nas przemocą zatrzymali! Zaniosą oni w wieczne mroki — blaski słońca, które przepełniły ich oczy. W uszach ich brzmieć będzie poprzez zgiełk i hałasy wojenne nasza piękna muzyka. A w zatwardziałych sumieniach i sercach noszą już słowa, które pracować w nich nie przestaną. Gdy przestępca ma na zawsze zamkniętą drogę powrotu do życia cnotliwego, tonie coraz bardziej w złem, bo mu ono już więcej zaszkodzić nie może, a chce niem zabić tęsknotę za słońcem! Lecz niech mu ukażą małą, maleńką furteczkę nadziei, że jeszcze można coś naprawić, że nie wszystko stracone, a w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto tęsknota za dobrem zacznie zwyciężać — zło!

— Chmurny jest tym setnym wypadkiem! — zauważył chłopiec.

Jasnotek smutnie potrząsnął głową, lecz nie zdążył już odpowiedzieć, gdyż właśnie doszli do granicy.

Chmurny odwrócił się; twarz jego była wykrzywiona strasznym grymasem, oczy błyszczały nienawistnie.

— Tu musimy się pożegnać! Nie na długo, jak sądzę! A gdy drugi raz tu przybędziemy, inaczej mówić będziemy!

— Zrobicie, jak zechcecie! — spokojnie odpowiedział Jasnotek — wolimy jawnych wrogów, niż...

— Podłych zdrajców — ryknął niespodziewanie Misiołek, aż przerażony Danuś chwycił go mocno za zdrowe ucho.

— Cicho bądź! Nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy! Ty tu nie masz głosu! — strofował go szeptem.

— Kiedy bo nie mogę wytrzymać, tak mnie łapy świerzbią!

— I zęby! — dorzucił Bimbuś. — Ale uspokój się! Na takim szarym prusaku mógłbyś je połamać! I nie jest on na pewno taki smaczny, jak jagnię, posmarowane miodem!

Misiołatek wyszczerzył zęby na pajaca, który mu nieraz porządnie swym języczkiem dokuczył, lecz Danuś uspokoił obydwóch rozkazującym ruchem ręki.

— Nie wiedzieliście, z kim mieliście do czynienia! Każdy inny może dałby się otumanić waszemi czarodziejskiemi sztuczkami, ale nie ja! O, wiem ja, coście warci! — z nienawistną zaciętością mówił Chmurny. — Ale nie znacie mnie jeszcze! Za moje upokorzenie zemszczę się srodze!..

— Mścić się chcesz na nas za to, żeś stracił z własnej woli szczęście, jakie posiadałeś? Znamy cię dobrze, mimo twoich zmienionych szat i wyglądu! Jesteś Słoneczny! Przyjaciel i powiernik Królewicza Złote Serduszko, którego zdradziłeś!

W powietrzu rozległ się okrzyk grozy i oburzenia. Towarzyszący poselstwu tłum zakołysał się groźnie, jakby rzucić się chciał na zdrajcę. Lecz wystarczyło skinienie Jasnotka, by powrócił spokój, tylko Misiołatek, snać nie dość wyćwiczony w karności, wyrywał się naprzód, rycząc zdławionym głosem:

— Zastrzelę! Zamorduję! Poszarpię na kawałki!

Z trudem mógł go uspokoić Danuś. Zagłębił obydwie ręce w burych kudłach, trzymając z całych sił.

— Pomóż mi, Bimbek! — nawoływał.

Ale pajacyk odwrócił chwiejną głowę w drugą stronę, jakby nic nie widział ani słyszał, mrucząc pod nosem:

— Niechby go trochę pomacał po żebrach — niczby temu nieponiowi nie zaszkodziło!

— Tak, byłem Słonecznym! Oddałem waszego królewicza Szaremu Władcy. I teraz zależy on ode mnie, bo ja nad nim straż sprawuję. I on odpowie mi za przyjęcie, jakiego od was doznałem!

Tu już i Bimbuś nie mógł wytrzymać, lecz wywinąwszy potężnego kozła, doskoczył do Chmurnego i zadarłszy jak najwyżej głowę, piskliwym głosem wykrzykiwał, nie hamując oburzenia:

— A ty prusaczy zdrajco! Wisieć oddawna powinieneś za twoje sztuczki i podejścia! A ciebie puszczają wolno i ty jeszcze odgrażasz się i zemstę poprzysięgasz! Niechnobyś ty w nasze dostał się ręce — ani kosteczki-by z ciebie nie zostało!

— Brrr... brrr... — ryczał Misiołatek, wyrywając się z rąk trzymającego go z całej siły Danusia — dajcie mi go w łapy, dajcie mi go!...

Wśród tłumów mieszkańców krainy *Złotego Serduszka*, stojących nieco na uboczu, panowało również wielkie wzburzenie. Pamiętano doskonale chwilę, gdy ukochany królewicz Złote Serduszko, zdradzony przez swego ulubieńca i powiernika, rycerza Słonecznego, dostał się do niewoli Szarego Władcy. I oto zdrajca, zaciągnąwszy się na służbę do największego wroga słonecznej krainy, przybył tu z podstępem i nową zdradą w duszy, a zdemaskowany, obezwładniony, cynicznie przyznaje się do zbrodni i ośmiela się grozić!

Królewicz Złote Serduszko jest pod jego władzą! Może się nad nim znęcać!

— Śmierć zdrajcy! Hańba mu wieczna! Odebrać naszego królewicza! Zniszczyć Szare Państwo!

Niby nawałnica rozbrzmiały okrzyki, a Danuś zdumionemi oczami dostrzegał, jak złociste tłumy drobnych, jasnych istot olbrzymieją, u ramion wyrastają im husarskie skrzydła, w rękach błyszczą miecze — a ze złotych strun harf, dźwięczących jeszcze niedawno słodkiemi tonami, płynie znana każdemu polskiemu sercu i ukochana, jako świętość narodowa, pieśń, z którą szły w bój hufce polskie:

Boga Rodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!

I poznał wówczas chłopiec, że słoneczny kraj, gdzie rządzi Złote Serduszko i Dobra Pani, pełen miłości, słodyczy i dobroci, pozornie bezbronny i słaby — jest hufcem rycerzy bez trwogi, wiernych i mężnych, gotowych każdej chwili oddać życie w obronie tego, co nad wszystko ukochał, w obronie tych, którym wierność przysiągł!

Tak, jak dawni rycerze polscy, ginący w obronie wolności własnej i cudzej, śpieszący z pomocą wszędzie, gdzie trzeba było pokonać gwałt i wymierzyć sprawiedliwość — broniący zawsze słusznej sprawy!

Jak te dzieci lwowskie, co za oręż chwyciły i pokonały zuchwałego, podstępnego wroga, obficie zlewając swą dziecięcą krwią kamienie ukochanego miasta.

Jak te hufce dzieci-młodzieży, co zerwały się niby młode orlęta, i z krwi swej i ofiary życia wyczarowały **CUD WISŁY**.

Jak ten wierny, twardy, mocny lud Śląski, krwią i męczeństwem pieczętujący swe prawa do ziemi Górno-Śląskiej!

* * *

Po twarzy Chmurnego przebiegały ognie jakieś, błyski, zapalające się i gasnące natychmiast; drgały mu usta, płonęły policzki... Czy wściekłość to była tłumiona, czy gniew bezgraniczny, czy — żal i męka duszy?

Była chwila, gdy Danusiowi zdawało się, iż pękną okowy, trzymające w więzach serce Chmurnego, że dusza jego wyrwie się złej mocy i padnie wzruszona, drżąca nadzieją, oczyszczona, skąpana jasnemi promieniami przebaczenia, u stóp tej mocy, co gromadkę rozśpiewanych dzieci w hufy rycerskie przemienia.

Lecz jak oko kwiożerczego smoka, spoczywał na piersi Chmurnego czarny diament, rzucający wokoło ponure, palące blaski. Chwiał się, kołysał i drżał, gwałtem przypominając o swej obecności i upominając się o swoje prawa.

Chmurny, jakby wbrew swej woli, podniósł rękę i dotknął nią klejnotu — i w tej chwili zgasły na twarzy jego wszystkie blaski. Stała się ona znów szarą, zaciętą i złą.

Skinieniem zwołał swoją świtę i błyszcząc złym, czarnym diamentem, bez słowa pozdrowienia, ni pożegnania zawrócił

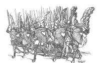

i niby czarna, groźna chmura odchodził wraz ze swą świtą, tonąc w szarych mgłach.

— Idź na złamanie karku!—dogadywał Bimbuś.—A niech cię po drodze wszystkie niemieckie djabły wezmą w swoje łapy!

— Jeszcze ja cię kiedy dostanę! — pomrukiwał z zaciętością Misiołatek.

XIV. NAWRÓCONY.

Danuś, który w zadumie spoglądał na oddalające się zdradliwe poselstwo, niebardzo zważał na swoich towarzyszów: do gadatliwości jednego i zaciętej złości drugiego był przyzwyczajony, i byle mu nie psuły jego zamysłów, nic sobie z tych przywar Bimbusia i Misiołatka nie robił. W tej chwili myśl jego pochłaniało pytanie, co to za czarodziejski klejnot spoczywał na piersiach Chmurnego i skąd miał tak wielką władzę nad duszami ludzkiemi?

— Oh! Oh! Ratuj mnie, pomóż! — dobiegł go nagle głos cichy, a jednocześnie poczuł jakieś ręce, chwytające go za ubranie.

Obejrzał się i ze zdziwieniem spostrzegł skuloną, drżącą postać jednego z szarych rycerzy.

— Zasłoń mnie! Ich czary mają moc i na odległość. Gdy zauważą moją nieobecność, zwrócą w moją stronę czarny diament i będę musiał wrócić do nich, a wówczas biada mi! Szary Władca nie zna przebaczenia ni miłosierdzia! Nie zobaczyłbym nigdy więcej słońca ni światła. Zginąłbym marnie i bezpowrotnie. O, proszę, osłoń mnie!

— Najchętniej! — rzekł chłopiec, zasłaniając sobą drżącego mieszkańca szarej krainy — lecz sądzę, iż lepiejby było, gdybyś się zwrócił do naszych Złotych Rycerzyków. Pod ich opieką napewno nie groziłoby ci żadne niebezpieczeństwo.

— Ah, nie! nie! Nigdy nie ośmieliłbym się do nich przemówić! Ja wiem, że oni są dobrzy, bardzo dobrzy, ale przecież ja razem ze Słonecznym... opuściłem krainę Złotego Serduszka i służyłem mu przeciwko naszemu Królewiczowi...

— He, a cóż to mości zdrajca chce teraz od nas? — wtrącił nagle Misiołatek, lecz uspokoił go natychmiast Danuś.

— Cicho bądź! Nie znasz się na takich sprawach! — szepnął gniewnie a zwracając się do strwożonego, drżącego ciągle chłopca, okrytego szarym płaszczem, mówił łagodnie:

— Nie bój się! Jesteś już pod władzą Dobrej Pani, i nikt ci nic złego nie zrobi! W krainie Złotego Serduszka nie dostrzegłem ani odrobiny nienawiści i zaciętości. Jestem pewny, iż przebaczą ci twe błędy, gdy wyznasz, iż szczerze ich żałujesz. I znów wszystko dobrze będzie... Pójdź do Dobrej Pani!

— Nie mogę! Nie ośmielę się nigdy stanąć przed jej obliczem... O, patrz, drżę cały z trwogi, wstydu, żalu.

— Pójdziemy razem! Zaprowadzę cię, podtrzymam... — serdecznie przemawiał Danuś, szczerze współczując biedakowi. — Zdejm ten hełm z pióropuszem i ten szary płaszcz, by ci nie ciążyły i nie raziły ciemną plamą w słonecznej krainie... Zaraz lżej ci będzie...

Gdy szary przybysz posłusznie zdjął z siebie płaszcz i hełm, oczom Danusia ukazał się chłopczyna wątły, blady, o dużych zapadniętych oczach i bolesnym wyrazie ust... Podobnych chłopców widywał Danuś często, gdy z mamusią odbywał spacery w oddalone dzielnice Warszawy: takich małych, zręcznych łobuzów, których wszyscy łajali, oskarżając o różne przewinienia, a którzy byli zawsze więcej „nieszczęśliwi, niż źli", jak mówiła mamusia.

— Chodź! Dobra Pani cię pocieszy! — mówił z mocnem przekonaniem, pewny, że gdyby na ziemi takiego zbłąkanego biedaka przyprowadził do mamusi, ta znalazłaby dla niego słowa otuchy i pociechy.

Objąwszy serdecznie chłopca, ruszył z nim naprzód, gdy wtem rozległ się huk okrutny, a w powietrze wzbił się słup szarego pyłu i dymu.

— Co się stało? — spytał Danuś przerażony, ale spojrzawszy na Misiolatka i Bimbusia, poznał odrazu, że to ich sprawka. — Coście zbroili? Gadajcie mi tu zaraz! — zawołał gniewnie.

— E, nic! Tylko ten Misiolatek.... zobaczył leżący hełm... i nie mógł wytrzymać!.. porwał skądciś kamień i jak nie trzaśnie w sam środek czarnej kity... A tu zaraz — buch, a właściwie wy — buch!

— We wszystkich hełmach mieliśmy ukryte specjalne przyrządy, które za pociągnięciem sznureczka powodowały wybuch, bardzo głośny i wyrzucający z siebie dużo szarego pyłu. Miało to służyć do wywołania zamieszania, z którego mieliśmy skorzystać, by porwać Dobrą Panią! — objaśniał chłopiec. — Nie obawiajcie się jednak! Pył ten nie jest szkodliwy i ginie szybko.

— Ach, ten Misiolatek i Bimbuś! Zawsze kłopotu narobią. Co sobie o nas pomyślą w krainie Złotego Serduszka!? — kłopotał się Danuś, lecz i Bimbuś, trochę niespokojny również, aczkolwiek nadrabiał miną, tłumaczył się pokornie i obiecywał solennie naprawić mimowolną psotę.

— Pójdziemy sami do Złotych Rycerzyków i objaśnimy wszystko. Tylko ty, Misiołu, nic nie gadaj, żebyś głupstwa nie palnął, ale rób smutną minę...

Danuś, rad z takiego obrotu rzeczy, choć nieco niespokojny, czy pajacyk przez zbytnią gorliwość znów jakiegoś zamieszania nie narobi, zwrócił się do swego towarzysza, zachęcając:

— A teraz nie traćmy czasu. Im prędzej staniesz przed Dobrą Panią, tem prędzej skończą się twoje męki.

Przybywszy na wielką polanę, Danuś ze zdziwieniem zauważył, iż wspaniały namiot i tron, na którym siedziała Dobra Pani, przyjmując poselstwo, zniknęły bez śladu: za to pełno na niej było ruchu i szczebiotu jasnych istotek, zebranych w oddzielne gromadki, które kolejno podchodziły do Dobrej Pani.

— Tak, jak dawniej!—szeptał wzruszonym głosem przybysz.—Mieszkańcy każdej krainy przynoszą plony swej całodziennej pracy... Dobra Pani przyjmuje je, daje rady i rozporządzenia na dzień następny... Czasem upomina, ale tak łagodnie, tak serdecznie, że się ją za to jeszcze bardziej pragnęłoby kochać. A gdy z kogo bardzo zadowolona, położy swą małą rączkę na jego głowie i uśmiechnie się słodko... O, wtedy tak błogo, tak miło się robi...

— Jak wtedy, gdy mateczka pochwali i pocałuje! — wyrwało się Danusiowi bezwiednie.

— Tylko dawniej stał obok niej Królewicz Złote Serduszko—ciągnął dalej drżącym głosem chłopiec — i miał dla każdego serdeczne słowa, uśmiech, pocałunek... O, jak myśmy go kochali...

— Zbliżmy się, żeby nas Dobra Pani zobaczyła! — rzekł Danuś, chcąc przerwać udrękę chłopca-przybysza.

— Nie, nie! Nie ośmieliłbym się nigdy przy tamtych... Niech wpierw przejdą... Drżę na myśl, że mogą za chwilę spocząć na mnie oczy Dobrej Pani...

— Ależ ona patrzy tak słodko... Zdaje mi się, że jej wzrok może wyleczyć najcięższą ranę...

— Ja to wszystko wiem... ale pamiętaj, że to ja przyczyniłem się wraz z innymi przez mą zdradę do tego, że Szary Władca porwał Królewicza Złote Serduszko, jej ukochane dziecko... Czy sądzisz, że może mi to przebaczyć?

Mimo całą wiarę w wielką dobroć Dobrej Pani, Danuś zawahał się. Czy mamusia przebaczyłaby temu, ktoby jej odebrał jej synka złotowłosego?

W tej chwili ostatnia grupka dzieci oddaliła się od Dobrej Pani. Na polanie zrobiło się cicho, tylko kwiaty pachniały przedziwnie i szemrały listki drzew...

— Nie, nie ośmielę się! — szepnął chłopiec, wyrywając się z rąk Danusia — puść mnie... Raczej wolę zginąć w wiecznych mrokach Szarego państwa; puść!

— Nie! — rzekł stanowczo Danuś — Nie puszczę. Dobra Pani ocali cię.

— Otóż i mój miły gość! — rozległ się tuż obok chłopców słodki głos. — A kogoż mi tu przyprowadzasz?

— O, Dobra Pani! przebacz mu! — szepnął błagalnie Danuś, podnosząc ku jasnej postaci swe błękitne oczęta.

A Dobra Pani, położywszy rękę na głowie drżącego chłopca, rzekła łagodnie:

— To ty, Migotku!? Byłam pewna, że wrócisz do nas.

— Ach, Dobra Pani! przecież ja zdradziłem naszego Królewicza! — jęknął chłopiec, — chcę ponieść zato najcięższą karę, chcę odpokutować mój czyn, — tylko pozwól mi tu zostać, — nie odpędzaj mnie, Dobra Pani!

— Ależ, Migotku! My wszyscy cieszymy się z twego powrotu. A kara? Czyż jej nie miałeś, gdy byłeś u Szarego Władcy? Czy ci tam było dobrze u niego?

— O, — męki tam przechodziłem, — katusze! Tęskniłem tak strasznie za słońcem, za kwiatami, za pracą, za twoją dobrocią! I oni, tamci, wszyscy, nawet on — Chmurny — cierpią i tęsknią, i gdyby nie Czarny Diament, — powróciliby i błagali o przebaczenie.

— Widzisz więc, że karę za to, iż uległeś silniejszym od siebie, już odcierpiałeś. Teraz trzeba wyleczyć twoją chorą, zbolałą duszę. Idź do twych braci,— w ich otoczeniu, w pracy i spokoju przyjdziesz do siebie...

W tej chwili otoczyła Migotka gromadka rówieśników, starając się serdecznemi słowami i miłemi uśmiechami ośmielić chłopca, który stał z oczyma łez pełnemi, jakby nie mogąc zrozumieć tego, co się wokoło niego działo.

— Jakto? przebaczają mi? przyjmują do swego grona? Mnie, zdrajcę? — szeptał z niedowierzaniem.

— Chodź z nami. Twoje suknie czekają na ciebie. Gdy się wykąpiesz w Zdroju Świętości i wdziejesz je, staniesz się znowu naszym miłym, dobrym Migotkiem! — mówili jaśni mieszkańcy krainy Złotego Serduszka, uprowadzając go ze sobą.

Danuś był także trochę zdziwiony; jakto? taka wielka zbrodnia zostaje tak odrazu zmazana? przekreślona? A przecież to Królewicz Złote Serduszko został zdradzony! Ukochane dziecko Dobrej Pani!

— A tobie, dzielny chłopcze, należy się ode mnie podzięka! — mówiła tymczasem Dobra Pani. — Bez namysłu rzuciłeś się na mą obronę, choć siły przeciwnika były znacznie większe...

— Ach, moja obrona była niepotrzebna... Tyś jest taka potężna — zawstydzony jakby szepnął chłopiec.

— Moja potęga składa się właśnie z takich czynów, jak twój... Żaden z nich nie przepada, żaden nie jest zbyteczny... Więc dziękuję ci serdecznie...

— Dobra Pani! To nie tylko ja, — ale i oni razem ze mną... Bimbuś i Misiołatek...

— Wiem! wiem! — uśmiechnęła się ślicznie Dobra Pani — Twoi towarzysze dzielnie się spisali. Ale to nie zmniejsza twojej zasługi!

Danuś był trochę zmieszany pochwałą, ale było mu bardzo przyjemnie. Więc jego odwaga podobała się Dobrej Pani, pochwala ją i mówi, że jest potrzebną. Ach, więc zawsze, zawsze taki będzie!

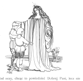

Podniósł oczy, chcąc to powiedzieć Dobrej Pani, lecz nie było jej już koło niego.

— Nic nam nie powiedzieli, jeszcze pochwalili! — zapiszczał koło niego znany mu dobrze cienki głos pajacyka. — Mówili, że jesteśmy dzielni i odważni!

— I najadłem się miodu! — odsapnął z wielkiem zadowoleniem Misiołatek.

— Ah, ten łakomczuch! Wiecznie tylko o przysmakach myśli! — oburzył się pajacyk, nie przyznając się, że sam miał pełne kieszenie różnych smakołyków. — A o poleceniu zapomniałeś, prawda? Oto Jasnotek przysłał nas po ciebie.

— Więc chodźmy! — rzekł wesoło Danuś. — A wiedzcie, że Dobra Pani pochwaliła was także za to, że chcieliście ją bronić!

— Co? Naprawdę? — krzyknął Bimbuś i z wielkiego zachwytu stanął na głowie. — Wiesz, Misiołatek, jak tak dalej pójdzie, gotowi jesteśmy zostać Złotymi Rycerzami. Ty szczególniej wyglądałbyś doskonale!

— E, nie zawracaj głowy!—odburknął niedźwiadek.—Gdyby tu chodziło tylko o odwagę i turbowanie różnych opryszków, możebym się jeszcze o tę godność pokusił. Ale do tego trzeba mieć tyle różnych zalet i przymiotów...

— Żebyś ich na wszystkich palcach wszystkich twoich czterech łap nie zliczył—przerwał pajacyk—musiałbyś sobie dopożyczyć co najmniej jednej mojej nogi.

XV. OPOWIADANIE JASNOTKA.

Zostać Rycerzem Złotego Serduszka? Myśl ta niewyraźnie, nieśmiało lecz uporczywie i bezustannie kołatała do jasnej główki chłopca.

Chwile, spędzone w tej dziwnej krainie, gdzie blaski słońca, kwiaty i śpiew szły w parze z ciągłą pracą, męstwem, ładem i siłą, gdzie przebywała tak nieskończenie potężna, a tak słodka Dobra Pani, sprawując rządy miękką, pieszczotliwą dłonią, która jednak potrafiła uginać przed sobą najsilniejszego wroga — w krainie, niby z bajki a pełnej prawdziwego życia — otworzyły chłopcu oczy na wiele rzeczy, o których słyszał może dawniej, ale których nie mógł zrozumieć. I jakkolwiek i teraz jeszcze niektóre rzeczy nie były wyjaśnione, a niektóre obejmował więcej sercem, niż rozumem, Danuś czuł, że mocno przylgnął do tego świata, gdzie wszystko dobru służyło, że świat ten pokochał... i służyć mu pragnął także.

Zostać Rycerzem Złotego Serduszka! Ale jak? Czy to możliwe? Czy podoła obowiązkom?

— Czekam na ciebie!—rozległ się tuż koło niego wesoły głos Jasnotka. — Jestem teraz swobodny, więc możemy pogawędzić.

I nie czekając na pytania chłopca, zaczął mówić, odpowiadając na to właśnie, co w tej chwili najwięcej zaciekawiało Danusia.

— Szary Władca, nasz zły sąsiad, oddawna walczy z naszą Krainą. Walka to na śmierć i życie. Gdyby zwyciężył, musielibyśmy zginąć, gdyż Szary Władca nie znosi światła i słońca, bez których my znowu żyć nie możemy! Więc zawziął się, by nas zniszczyć! Gdyby bowiem zapanowały wszędzie mroki i cienie, cały świat musiałby ulec jego potędze. Jednak na nic były wszelkie wysiłki: kraina Światła i Słońca, nazwana krainą Złotego Serduszka na cześć ukochanego syna Dobrej Pani, naszego drogiego Królewicza, nie tylko nic nie traciła ze swej świetności, lecz światło i słońce przenikały coraz dalej i coraz się rozszerzały wpływy Dobrej Pani. Wszystkie Słoneczne Uśmiechy z ziemi, wszystkie Dobre Myśli, Uprzejme Słowa, Czyste Łzy bez przeszkody przychodziły do nas, tworząc wciąż nowe zapasy światła i ciepła—któremi zalewaliśmy ziemię, niosąc jej radość i szczęście. I gdyby tak poszło dalej, może doprowadzilibyśmy do tego, iż nie byłoby już na ziemi zakątka, do którego nie dotarłyby nasze promienie, blaski, nie byłoby ani jednego serca, przez nas nieogrzanego, ani jednego umysłu, promieniami dobroczynnemi nie oświeconego.

Lecz Szary Władca, nie mogąc zmóc nas przemocą, gdyż wojska jego traciły siłę w zetknięciu z naszemi promieniami—użył innej broni—broni, jakiej używają zawsze ciemne, złe siły: podstępu i zdrady!

Najmilszym towarzyszem Królewicza był Rycerz Słoneczny. Był on bardzo piękny, rozumny i miły. Niektórzy dowodzili, iż był podobny do naszego Królewicza; Królewicz sam często o tem podobieństwie mówił i cieszył się z niego, a Słoneczny czuł się z tego bardzo dumnym.

Rycerze Złotego Serduszka są głównym łącznikiem z ziemią. Oni to rozsiewają po niej promienie i blaski, oni wskazują drogę Słonecznym Uśmiechom, Dobrym Myślom, Uprzejmym Słowom i Czystym Łzom do naszej krainy, oni przynoszą do skarbca naszego co najcenniejsze klejnoty uczuć ludzkich, oni wreszcie jedynie mają możność jednania nowych rycerzyków. Bez nich nie moglibyśmy obsługiwać ziemi i ustałby wszelki ruch po mostach Słonecznych Uśmiechów, przez które tylko Rycerz Złotego Serduszka może sprowadzić gościa z ziemi.

Słoneczny był jednym z najczynniejszych Rycerzyków na ziemi. Wszędzie, gdzie się zjawiał, rozsiewał tyle blasków, tyle ciepła i szczęścia, iż witano go zawsze otwartemi ramionami, oczekiwano i kochano niezmiernie. Czasem brano go za samego Królewicza... Słoneczny zaprzeczał, wyznawał, że jest tylko Rycerzykiem Królewicza, że z Jego to rąk otrzymał Złote Serduszko, które daje mu moc rozsiewania na ziemi światła, ciepła i szczęścia! Lecz zczasem, gdy powtarzały się hołdy, oddawane ślicznemu Rycerzykowi, pochwalne kadzidła zaćmiły jasną myśl w głowie Słonecznego: nie zaprzeczał już, gdy go równano z Królewiczem, przyjmował kadzidła pochwalne, jako coś, należnego mu, rozmiłował się w pochlebstwach i czynił dobrze już nie dla samego dobra, lecz dla hołdów, pochwał i zaszczytów!

Skorzystał z tego Szary Władca, który, jak my, ma swoich wysłańców na ziemi, którzy z ukrycia, w mrokach i ciemnych zakamarkach działając, gaszą wszelką radość i światło, zabijają miłość i dobro, obficie rozsiewając zawiść, waśnie, nieuctwo i próżniactwo.

Są oni wszędzie, gdzie zachwieje się choć na moment jasny promień dobra, starając się skorzystać z tego, by zawładnąć duszą i sercem, odsuniętemi bodaj na chwilę od słońca i światła.

Wprawdzie Złote Serduszko, otrzymane z rąk Królewicza, nie pozwalało szarym wysłannikom zbliżyć się do Słonecznego, lecz złe uczucia, jakie coraz silniej opanowywały duszę Rycerzyka, torowały drogę Szaremu Władcy do spełnienia swych zamiarów.

Zdarzyło się, iż Słoneczny, powróciwszy z ziemi, upojony pochwałami i hołdami, pyszny i dumny, pewny swej władzy i ufny w swą piękność, stanął przed Królewiczem, który zasilał właśnie swym uśmiechem Źródło Świeżości — i ujrzał

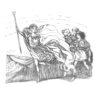

w wodzie swe odbicie obok Królewicza. I wydało mu się ono, wobec nadzwyczajnej jasności i piękności syna Dobrej Pani, tak blade, nikłe, nędzne, jak światełko maleńkiej świeczki przy promiennym blasku słońca.

Okrutny ból targnął jego zatrutem sercem, myśl zapiekła, jakby kto przyłożył do mózgu rozpalone żelazo.

Złe, szalone, wściekłe urodziło się—uczucie zazdrości!

Zadźwięczało żałośnie Złote Serduszko, spoczywające na piersiach Rycerzyka i jakby niewidzialną ręką szarpnięte, padło u stóp Słonecznego. A on, nie zważając na serdeczny głos Królewicza, wzywający go do siebie, szybko oddalił się, ginąc w nadciągającym mrocznym obłoku.

Od tej chwili był już w mocy Szarego Władcy!

Łatwo było oszalałemu z zazdrości i głuchej nienawiści wytłumaczyć, iż póki będzie istniał Królewicz, rozum i piękność jego, Słonecznego, nic znaczyć nie będą. Lecz niechaj nie stanie Królewicza, Słoneczny, stanie się pierwszą osobą w Krainie Światła i Słońca.

W pierwszej chwili Słoneczny, opanowany przez złe uczucia, godził się na wszystko, co mu podszeptywali wysłańcy Szarego Władcy, i stanął przed nim, gotów na wszystko.

Bardzo prędko jednak obudziło się w nim sumienie — tęsknota za Słoneczną Krainą, żal za straconem szczęściem, wreszcie miłość dla Królewicza walczyły z zazdrością i nienawiścią... I zapewne zwyciężyłyby, lecz z tamtej strony czuwano: w chwili, gdy Słoneczny zdecydowany był wrócić do naszej Krainy i błagać Królewicza o przebaczenie—Szary Władca zawiesił mu na piersi jeden z najpiękniejszych czarnych diamentów, które stanowią główne bogactwo skarbca Szarej Krainy.

Wraz z diamentem otrzymał Słoneczny godność Zaufanego Szarego Władcy i obietnicę opanowania Krainy Złotego Serduszka.

Niewiadomo co więcej przykuło duszę Słonecznego — czy ta godność i obietnica, czy — Czarny Diament, dość, że od tej chwili zmienił swe imię, odrzucił wszystko, co go jeszcze wiązało z nami i stał się najzaciętszym, najzajadlejszym wrogiem Krainy Złotego Serduszka.

— Co to za Czarny Diament? I skąd jego władza? — zapytał Danuś, przejęty opowiadaniem Jasnotka. — Widziałem, jak Chmurny kilka razy kładł rękę na nim, gdy siły jego zdawały się słabnąć;—mówił mi też Migotek, że Czarny Diament ma jakąś czarodziejską siłę...

— Niestety, nie mogę nic powiedzieć o tym zagadkowym kamieniu. Jest to tajemnica Szarej Krainy.

— A w jaki sposób został porwany Królewicz?

— Jest to dziełem Chmurnego. Niewiadomo, jakiemi sposobami zdołał przeciągnąć na swoją stronę gromadkę mieszkańców naszej Krainy i z ich pomocą urządził zasadzkę na naszego Królewicza.

Mówiłem ci, iż Królewicz śpieszył czasami na ratunek sercom, omotanym chytremi sieciami wysłanników Szarego Władcy.

Kiedyś, gromadka naszych mieszkańców, z Migotkiem na czele, przybiegła z wieścią, że udręczone przez Szarego Władcę istoty wzywają ratunku, a nie ma żadnego Rycerzyka, by im pośpieszył na pomoc. Więc Królewicz, zawsze współczujący, ochotnie pośpieszył na wezwanie. Lecz gdy wstąpił na Most Słonecznych Uśmiechów — nagle zniknął, a z nim Migotek i inni.

— I nikt nie pośpieszył mu na pomoc! Nikt nie starał się go wyzwolić? — pytał Danuś, którego wojownicze serduszko drżało z oburzenia na myśl, iż tak łatwo, bez boju oddano Królewicza.

— Ach! Wszyscy Rycerze Złotego Serduszka porwali się, by ratować Królewicza. Gotowość była tak wielka, iż los musiał rozstrzygać, kto pójdzie pierwszy. I szedł jeden za drugim, lecz nie wrócił żaden... Aż wreszcie zostało nas tylko czterech. Właśnie o to chodziło Szaremu Władcy: gdyby bowiem nie stało Rycerzyków, opustoszałaby droga na Moście Słonecznych Uśmiechów; kraina Złotego Serduszka byłaby odcięta od ziemi, a ziemia od nas, i Szary Władca mógłby tam rozpościerać swoją władzę.

Więc zostaliśmy we czterech i we czterech spełniać usiłujemy pracę, którą wykonywały całe zastępy...

— Dlaczego nie wysłano wojska na odbicie Królewicza? — oburzał się Danuś.

— Szarego Władcy nie zwalczy się jego bronią. Cała jego kraina jest jednem wielkiem obozowiskiem: cały rozum jego pracuje nad wymyśleniem nowych i coraz doskonalszych narzędzi morderczych. Gdybyśmy chcieli mierzyć się z nim na siły bojowe, bylibyśmy pokonani.

— Lecz Dobra Pani jest tak potężna; czyż nie może użyć swej władzy, by wyswobodzić Królewicza?

— Dobra Pani zwalcza oręż, lecz go nie używa. Zaś w Szarej Krainie jej władza nie działa.

— Więc Królewicz ma zginąć?

— Nie! Póki na świecie istnieć będzie choć jedno czyste serduszko dziecięce — Królewicza żadna moc zgładzić nie będzie w stanie. Wedle przepowiedni zaś, niewola Królewicza skończy się, gdy Krainie naszej przybędzie nowy Rycerzyk.

— Jakże to? Przecież tylko Królewicz może rozdawać Złote Serduszka, nieodzowne do mianowania nowego Rycerzyka?

— Taka jest przepowiednia!

Danuś, przejęty tem, co usłyszał, chciał jeszcze o wiele rzeczy zapytać Jasnotka, gdy głośne ziewnięcie przerwało zajmującą rozmowę.

— Aa... a... a! — ziewał Bimbuś, roztwierając tak szeroko usta, iż mogłaby w nie wjechać fura siana. — Czy w tej miłej Krainie wcale się nie sypia?

— Chrrrr... — odpowiadało mu potężne chrapanie Misiołatka.

— Twój pajacyk często miewa słuszność! Zmęczyliśmy się i należy nam się spoczynek! Pójdźmy za przykładem Misiołatka! — z uśmiechem zauważył Jasnotek, wyciągając się na miękkiej murawie. — Odłóż do jutra dalsze pytania.

Danuś posłusznie ułożył się koło Rycerzyka, lecz długo sen nie zamykał znużonych powiek.

Więc to dopiero dzień jeden upłynął, gdy przeszedł przez Bramę Poznania? W jeden dzień tyle przeżył? Tyle zobaczył? Tyle się dowiedział?

Ale nadewszystko spać mu nie dawała myśl o przepowiedni. Gdy przybędzie nowy Rycerz Złotego Serduszka — Królewicz będzie ocalony!?

A gdyby...?

CZĘŚĆ DRUGA.

I. POSTANOWIENIE.

Gdy nazajutrz Bimbuś i Misiołatek spojrzeli w jasne oczy swego pana, mrugnęli na siebie znacząco: takie błyski, jakie w nich spostrzegli, zapowiadały zawsze jakąś wielką i ciężką wyprawę.

— Wiesz? — szeptał tajemniczo Bimbuś do naderwanego ucha Misiołatka. — Zdaje mi się, że my tu długo nie popaszemy.

— Ano, jak nie, to nie! — spokojnie zauważył niedźwiadek. — Ale, jak myślisz! Kogo będziemy bili: bolszewików, Prusaków, czy innych gałganów?

— Durny bo durny jesteś, mój Misiołatku! Skądby znów tutaj bolszewicy albo Prusacy?

— Nie taki znowu durny, jak myślisz! — odciął się niedźwiadek. — Niby to ci szarzy zdrajcy nie z tego samego gatunku, co bolszewicy albo Prusacy?!

— Czasem i twoja niedźwiedzia głowa coś mądrego wymyśli! — pochwalił Bimbuś. — Prawda, że jednakże to licho... Chyba z nimi bić się będziemy niedługo!

— Dałby Bóg! Dałby Bóg! Tak mnie już świerzbią łapy! I choć mi tu dobrze, jak w raju, radbym trochę tym niecponiom potarmosić skórę!

— Byleby oni nam jej nie wygarbowali! — z pewnym niepokojem zauważył pajacyk, który dobrze zaobserwował chytrość, spryt i przygotowanie wojenne szarych wojaków.

— Niedoczekanie! — mruknął ponuro Misiołatek, odsłaniając groźnie rząd ostrych zębów.

A w oczach Danusia paliło się silne postanowienie. Szedł krokiem żołnierskim, twardym i niktby się nie domyślił, patrząc na zdecydowaną postawę chłopca, że pod bluzką niespokojnie kołatało małe serduszko!

— Pewnie do Dobrej Pani idziemy! — szeptał Bimbuś do niedźwiadka, wiedząc z doświadczenia, że w chwilach, gdy Danuś idzie z takim marsem na białem czółku, niedobrze jest zaczepiać go pytaniami.

Rzeczywiście szli na wielką polanę, na której zdaleka widniała biała szata, a wokoło niej roje jasnych istotek zwijały się w planowym, pracowitym trudzie.

Dobra Pani zdawała się oczekiwać Danusia. Przywitawszy go serdecznie, popatrzyła pytająco w błękitne oczy.

Zdecydowany, skupiony wyraz nie ustępował z twarzy chłopca, lecz usta drżały mu zlekka, gdy zapytał:

— Dobra Pani! Kto może zostać Rycerzem Złotego Serduszka?

— Ten, kto ma czyste serce!

— A co trzeba robić, żeby zostać Rycerzem Złotego Serduszka?

— Ukochać i służyć: Dobru, Prawdzie, Sprawiedliwości.

— A ja — ja... czy mógłbym zostać Rycerzem Złotego Serduszka? — drżącym głosem zapytał znów chłopiec.

— Mógłbyś, bo masz czyste serce.

— A czy wtedy... mógłbym służyć mojej Polsce?

— Służyłbyś jej wówczas najskuteczniej, dając jej to, czego jej tak potrzeba: dobro, prawdę, sprawiedliwość.

— A czy mógłbym walczyć orężem z jej wrogami?

— To jest obowiązkiem największym każdego obywatela kraju!

— Więc, Dobra Pani! Pozwól mi starać się o Złote Serduszko! — z zapałem wykrzyknął chłopiec, a jego towarzysze, uszczęśliwieni z pomysłu pana, wykrzyknęli radośnie:

— Wiwat! Niech żyje nasz Rycerzyk!

Bimbuś nieomieszkał przytem wywinąć kilku kozłów, aż Danuś musiał go poskramiać groźnem spojrzeniem.

— Niestety, mój chłopcze! Dziś, póki nam brak Królewicza, jest to rzecz trudna, niemal niewykonalna! — rzekła poważnie Dobra Pani.

— Wiem, wiem o wszystkiem! I właśnie to mnie skłoniło głównie do powzięcia tego postanowienia! Wyswobodzę Królewicza i tem zdobędę sobie Złote Serduszko!

— Zuch! Zuch nasz Danuś! — zapiszczał z uniesieniem pajacyk, a Misiołatek zaryczał triumfalnie:

— Niech żyje Danuś!

I naraz obaj, pajacyk i niedźwiadek, runęli do nóg Dobrej Pani i jeden przez drugiego mówić zaczęli:

— Pozwól nam pójść! Już my tych łapserdaków nauczymy... Królewicz wróci wolny... o... inaczej być nie może... A ty, Dobra Pani — pomożesz naszemu Danusiowi... jesteś potężna i wszystko możesz... Otocz go swoją opieką, a ta Szara Bestja nie zmoże go ani chytrością, ani podłością..

Danuś był zgorszony zachowaniem się swoich towarzyszy, ale Dobra Pani nie wzięła snać za złe ich wystąpienia, gdyż odpowiedziała z miłym uśmiechem:

— Cenię wasze dobre chęci i wasze przywiązanie do Danusia. Niestety, pomóc w tym wypadku nie będę mogła, gdyż tylko własny wysiłek prowadzi do zdobycia Złotego Serduszka.

— Czy wystarczy ci sił? — zapytała, zwracając się do chłopca.

— Tak! — odparł spokojnie i twardo. — Chciałem tylko otrzymać twoje zezwolenie, o Dobra Pani.

— Masz je! I należy ci się ode mnie upominek. Chodź, sam go sobie wybierzesz.

II. PEREŁKA ALUSI.

Ująwszy Danusia za rękę, Dobra Pani poprowadziła go cudną aleją kwitnących przepięknych krzewów, niby nasze bzy, rozkwitłe w maju, aż do wrót złotych, które same się uchyliły przed nadchodzącymi.

— To nasz skarbiec! — objaśniła Dobra Pani. — Wybierz sobie z niego, co ci się najwięcej będzie podobało.

W pierwszej chwili chłopiec nie mógł nic rozróżnić, tak wszystko lśniło, łamało się w nieskończonych blaskach, kolorach i błyskach. Olśnione oczy nie rozróżniały pojedyńczych przedmiotów, nie mogły zatrzymać się dłużej na żadnym. — Dopiero po pewnym czasie chłopiec zaczął sobie zdawać sprawę, iż znajduje się w wielkiej sklepionej sali, zawieszonej różnej wielkości i piękności drogiemi kamieniami. Nie były to jednak zwykłe klejnoty, gdyż te choćby najcenniejsze, nigdy posiadać nie mogą takiej piękności i blasku. Ich niewysłowiony czar polegał na tem, że każdy kamień był ożywiony jakiemś uczuciem, każdy przemawiał i budził do życia jakieś obrazy…

— O! Jakież to nieskończenie piękne! — wyszeptał z zachwytem chłopiec.

— Wybierz! — zachęcała Dobra Pani.

Wybrać! Rzecz to niełatwa! Zaledwie oko spocznie na krwawym rubinie, w którego blaskach majaczy piękna, młoda głowa bohatera i dźwięczą unoszące się z ostatniem tchnieniem słowa:

— Dla Ciebie, Polsko!

już ciągną ku sobie łagodne, miłe blaski szafirów, odzwierciedlające piękne uczucia serdecznej przyjaźni — zatrzymują wzrok triumfalnie zwycięskie promienie brylantów, w których mienią się różnorodne obrazy, a w nich zawsze niezmienne hasło:

— Wszystko dla Ojczyzny!

I dalej przemiłe, skromne a tyle serdecznego ciepła rozsiewające perły, mniejsze i większe, leciuchno zapłonione mienią się i migocą, przesuwając tyle ślicznych, kochanych obrazów.

Ot, tu! Migoce, jakby znajoma. Danuś wpatrzył się w nią ciekawie...

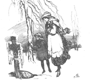

I oto widzi jak cichą, białą aleją idzie Alusia... prowadzi swą ciocię, przybyłą z Warszawy, cmentarzem Łyczakowskim do miejsca, gdzie spoczywają „Obrońcy Lwowa".

Brną w śniegu po kostki i wyżej...

Zatrzymują się: wiatr zmiótł śnieg z tabliczek na krzyżach, więc Alusia odczytuje imiona i nazwiska, a potem lata bohaterów, co swe ukochane miasto obronili: lat 17, — potem 16, i dalej: czternaście, trzynaście, dziesięć...

Coraz cichszym staje się głos Alusi, coś ściska ją za gardło, nie pozwala mówić.

— Staś.. lat.. dziewięć — odczytała z trudem i zamilkła.. a na długich rzęsach zawisła duża, jasna łza.

W tej chwili wyjrzało słonko i zaśniło w niej siubarwną tęczą.. Powiał wietrzyk i zakołysał leciuchnemi tumanami białych, lśniących gwiazdeczek... niby duchy tych bohaterów — spoczywających w ukochanej ziemi polskiej, za którą życie dali — wznosiły się ku niebu!

Promień słoneczny porwał perełkę z rzęs Alusi..

— Mogę wybrać tę perełkę? — szepnął wzruszonym głosem Danuś.

— Dobry wybór zrobiłeś! — rzekła Dobra Pani, zawieszając perełkę na piersiach chłopca i ogarniając go serdecznem spojrzeniem.

— Dziękuję! I już pójdę. Tylko... jeszcze chciałem prosić...

Chłopiec zamilkł, nie śmiąc skończyć. Ale wzniesione ufnie chabry jego oczu mówiły za niego.

Dobra Pani zrozumiała: białemi, wonnemi, jak płatki lilji rękami ujęła głowę chłopca i złożyła długi pocałunek na jego czole.

A w uszach Danusia zabrzmiał w tej chwili dobrze znany, kochany, najmilszy głos:

— Idź, mój dzielny synku!

III. PORWANIE.

Dziwnie rześki, pełen siły i wiary dążył śpiesznie Danuś w stronę, skąd przybyło niedawno Szare poselstwo. Ponury krajobraz, jaki się tam roztaczał, nie zostawiał żadnej wątpliwości, iż za temi kłębami szarych, ciężkich chmur, poprzedzanych mglistemi, brudnemi oparami — kryły się posiadłości Szarego Władcy.

A właśnie tam szedł Danuś, by oswobodzić Królewicza i zdobyć Złote Serduszko! Za nim podążali dwaj wierni towarzysze, Bimbuś i Misiołatek, obaj nieco zachmurzeni i pomrukujący z niezadowoleniem:

— Jakże to tak?! Na wroga bez broni? Bez ekwipunku? Jedynie z małą, drżącą perełką na piersiach? Ładna bo ładna ta perełka, cała różowiutka i jakby żywa — ale co ona znaczy wobec jednego chociażby Czarnego Diamentu posła Chmurnego?

— Mnie tam moje zęby i pazury wystarczą! — mruczał Misiołatek. — Ale ty, Bimbek, chyba własnym, chwiejnym łbem bić będziesz tych szarych smoków.

— I... o mnie się nie troszcz! — pisnął pajacyk, dotknięty przymówką do swej chwiejącej się głowy. — Zawsze prędzej ja na czyim karku pojadę, niż ktoś się na moim usadowi! A na twoje zęby i pazury za bardzo nie licz: nie obroniły jednego ucha, mogą nie obronić i drugiego!

Nie słuchając sprzeczki współtowarzyszów, którzy w czasach pokojowych nigdy w zgodzie ze sobą nie żyli, śpieszył Danuś wciąż naprzód, coraz dalej za sobą zostawiając gwarny, rozśpiewany, a jednocześnie w mozolnej, bezustannej pracy pogrążony Słoneczny Kraj...

Czas jakiś jeszcze dochodziły uszu chłopca miłe, harmonijne dźwięki Uprzejmych Słów, goniły błyski Słonecznych Uśmiechów, dolatywały orzeźwiające wonie z ogrodu Dobrych Myśli, — lecz stawały się coraz słabsze, niklejsze, wątlejsze — aż wreszcie tylko daleki poszum i niknący blask wskazywały, iż za Danusiem została kraina, pełna melodji, dźwięków, światła i woni!

Zato coraz wyraźniej dochodziły głuche odgłosy hałasów i pomruki jakby odległego grzmotu; coraz częściej podpełzały pod nogi wędrowników brudno-szare mgiełki, a nad głowami coraz niżej przewaływały się chmurki zrazu małe, lekkie i rozwiewne, potem coraz większe, ciemniejsze, cięższe i groźniejsze.

Powiało przejmującym chłodem!

— Uu... zaczyna się robić mniej przyjemnie! — dogadywał Bimbuś, zasuwając ręce w bufiaste rękawy. — Jeżeli oni zawsze tak miło gości przyjmują, nie dziw, że oprócz nas żywego ducha na tej drodze nie spotykamy! Mogą sobie bezpiecznie spać, nie rozstawiając straży: nikt się do nich kwapić nie będzie!

Myślił się jednak pajacyk, przebiegły zwykle i przewidujący, przypuszczając, iż droga do Szarej Krainy nie jest strzeżona: nad głowami naszej trójki bowiem zwisła już od pewnej chwili ciemna, niemal czarna chmura, posuwająca się równomiernie z wędrowcami i opuszczająca nieznacznie coraz niżej.

Gdyby oko pajacyka przeniknąć ją mogło, zadrżałoby wierne jego serce, a do nadwyrężonej, lecz pomysłowej głowy napłynąłby może jakiś fortel zbawczy.

Niestety, nie było czasu przyglądać się chmurze, gdyż na drodze zaczynały się piętrzyć coraz nowe trudności.

Dawno już znikły miękkie, puszyste kobierce zielonej murawy, brakło już nawet zeschłej, zapylonej trawy, którą czas jakiś deptali nasi podróżnicy; teraz droga zasłana była drobnemi, ostremi kamieniami, raniącemi boleśnie nogi, i coraz częściej zagradzały ją duże oślizgłe głazy, po których trzeba było skakać, ryzykując niezbyt bezpieczny upadek.

Danuś był niezłym turystą: odbył przecież wycieczkę na Giewont, a nawet na Zawrat, Misiołatek zaś, jako mieszkaniec Tatr, kpił sobie wogóle z takich głazów, a Bimuś był wyśmienitym gimnastykiem i potrafił również dobrze chodzić na rękach, jak na nogach, a jednak droga ta wszystkim trzem dawała się coraz więcej we znaki.

Głazy były ruchome, usuwały się z pod nóg najniespodziewaniej, czasami zdawały się palić stopy, to znów ziębiły, jakby były z lodu, droga przytem gwałtownie opuszczała się w dół; po dwóch stronach czyhały czarne czeluście przepaści, a nad głowami gromadziły się coraz ciemniejsze chmury, przesłaniając sobą prawie zupełnie światło dzienne.

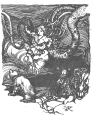

— Cóż to znowu za zwyczaje!? — irytował się Bimbuś. — Za dnia ze świecą mamy chodzić, czy co?

— Bimbek! Spójrz-no na chmury. Tam się coś niedobrego święci! — mruknął niedźwiadek, zatrzymując się mimowoli.

Zatrzymał się i pajacyk, a choć dzielne w piersiach miał serce i mało kto na świecie mógł się pochwalić, że Bimbusia nastraszył, ścierpła na nim skóra, a rzadkie włosy stanęły na głowie dęba.

Szczękał zębami i Misiołatek, niewiadomo czy z dojmującego chłodu, który powiał ze wszystkich stron lodowatem tchnieniem, czy też przeraził go widok, zaiste niezwykły.

W ciemnych chmurzyskach, zwisających tuż niemal nad ziemią, zakotłowało się, zawirowało i wnet wysuwać się z nich poczęły niby długie ramiona, powykręcane, zwijające się i rozciągające, jak trąba słonia.

Było ich coraz więcej i stawały się coraz ruchliwsze. Chwilami zbliżały się tuż do naszych podróżnych, uderzając ich lepkim, zimnym dotykiem.

— Jezus Marja! — jęczał pajacyk, mimowoli przesłaniając oczy, ale Misiołatek gwałtownem uderzeniem oderwał obie ręce od twarzy pajaca.

— Uważaj! Te potwory chcą nas porwać! — krzyknął.

Bimbuś poczuł jednocześnie dotknięcie zimnego cielska, opasującego go wpół, a przed oczami zawirowała mu nieskończona ilość ruchomych ramion, tworzących jakąś straszną wężową zasłonę.

— Na Boga! Danuś! Odcięli nas od Danusia! — krzyknął przerażony i obaj rzucili się w stronę, gdzie słabiutkim płomykiem migotała drobna perełka na piersiach Danusia.

Lecz łatwiej było chcieć, niż wykonać! Wężowe ramiona wiły się koło nich, tańczyły, plątały pod nogami, wyraźnie starając się zagrodzić drogę.

— Bimbuś! Misiołatek!

Stłumiony głos chłopca, wzywający ich pomocy, dodał im męstwa i siły: rzucili się, tłukąc z wściekłością śliskie ramiona, rozrywając je, rozpędzając i zdołali w ten sposób zmniejszyć przestrzeń między sobą i Danusiem. Zobaczyli chłopca, broniącego się od całego wojska czyhającego nań wężowych ramion — kilka kroków tylko dzieliło od niego... Gdy nagle z czarnej chmury opuścił się z błyskawiczną szybkością nowy wąż, oplątał niespodziewającego się napaści chłopca i uniósł go w górę!...

IV. W POSZUKIWANIU.

Danuś! Danuś — krzyknęli obaj, pędząc, jak opętani, nie zważając na głazy i chłostanie lodowatego wichru, który zawył przeraźliwym głosem, kotłując wszystko w jedną szarą masę. — Danuś! Odezwij się!

Świst, szum, huk... i nic więcej!

Kłęby chmur czarnych zrzedły, odpłynęły powoli, wokoło uspokajało się wszystko, tylko leniwo włóczyły się tu i owdzie szare zwoje i od czasu do czasu ociężale i niechętnie opuszczał się i kołysał wielki polip, jakby czyniąc przegląd szarych obszarów. Wszystko, po niedawnym ruchu, szumie i hałasie zdawało się zapadać w leniwą drzemkę — gdy nagle powietrze rozdarł ryk, pełen bólu, żalu i wściekłości: to Misiołatek, siadłszy na wielkim głazie, ryczał, targając swe bure kudły i rozbijając duży łeb o zimne skały.

Wtórowały mu piskliwe, przenikliwe jęki Bimbusia, wymachującego rozpaczliwie swemi długiemi łapami i chwiejącego we wszystkie strony wielką, niepewnie na karku osadzoną głową.

— A, łotry! Bandyci! Prusacy! Bolszewiki! — ryczał Misiołatek, miotając się wściekle. — Oddajcie nam naszego chłopca! Naszego dowódcę ukochanego! Naszego Danusia! Zdrajcy! Okrutnicy! Coście z nim zrobili?

Kraina głazów, chmur, wichrów, mroków rozbrzmiała cała zawodzeniami i groźnym rykiem, niecąc wokoło grozę i zaniepokojenie. Głazy zdawały się poruszać, chmury zakotłowały się znów niespokojnie, wichry się odezwały, lecz ich poświsty brzmiały cicho i nędznie wobec pełnego rozpaczy i wściekłości głosu niedźwiadka. Wpadający od czasu do czasu przenikliwy jęk Bimbusia potęgował zamieszanie i grozę.

— Misiołat! Misiołat! Uspokój się wreszcie! — szeptał jednocześnie sprytny pajacyk do ucha rozżalonego srodze niedźwiadka. Dobrze, żeś trochę zamieszania zrobił i swoim rykiem zastraszył tych pogan. Ależ przecież krzykiem Dansia nie ocalimy. Trzeba coś obmyśleć! Coś robić!

Po jakimś czasie Misiołatek, nieco uspokoiwszy pierwszą rozpacz, począł rozróżniać i rozumieć słowa przyjaciela i snać uznał ich słuszność, gdyż ryk jego stawał się słabszy i wreszcie zamilkł.

— Ty, Misiołat! Rycz dalej, bo to ich zupełnie ogłupia i zbija z tropu. Ale jednocześnie myśl i słuchaj! — szepnął pośpiesznie pajacyk.

Lecz to była za ciężka praca dla niedźwiadka: albo rozpaczać i ryczeć, albo obmyślać sposoby ratunku i milczeć. Ale razem jedno i drugie, tego poczciwa lecz niezbyt lotna niedźwiedzia głowa nie była w stanie dokazać; więc Bimbuś, który naprędce obmyślał już plan jakiś, próbował znów wzruszyć Misiołatka.

— Słuchaj! Ci zdrajcy porwali naszego chłopca i może go dręczą, mordują... A on jest tam sam zupełnie, przez nasze niedołęstwo pozbawiony wszelkiej pomocy...

— U... u... u... — zaryczał niedźwiadek, porwany nową falą żalu.

I ryczał już bezustannie, miotając coraz jakimś głazem, jakby chciał nim ugodzić niewidzialnego wroga.

Bimbuś, który bardzo pilnie obserwował wszystko, dostrzegł wyraźnie, iż zachowanie jego przyjaciela było nie na rękę niewidzialnym strażom, broniącym granic państwa Szarego Władcy, gdyż wciąż napływały nowe chmury, niby oddziałki wojska wysyłanego na wywiady czy też z poleceniem usunięcia niedogodnych przybyszów.

— Acha! Chcieliby nas oddalić od naszego chłopca, by tem łatwiej go zgnębić. Ale niedoczekanie ich. Od czego jestem tu ja, Bimbuś, z głową nie od parady.

Misiołat! Rycz ciągle, jakby nigdy nic, ale słuchaj! — Te chmurzyska uniosły ze sobą Danka i tylko z ich pomocą możemy się do niego dostać. Uważaj więc, jak taki polip z chmury opuści się koło ciebie, uczep/go się mocno, a on musi cię zabrać ze sobą. Na mnie się nie oglądaj: już ja sobie dam radę i dostanę się także na które chmurzysko. Uważaj więc dobrze i jak krzyknę: baczność, rób, co ci powiedziałem.

Koło ryczącego niedźwiadka gromadziło się coraz więcej chmur, z których opuszczały się wciąż nowe węże-polipy, atakując zawzięcie Misiołatka; ten, niby ustępując ich natarczywości, usuwał się powoli, aż nagle zabrzmiał głos: baczność!

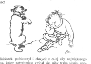

Misiołatek podskoczył i chwycił z całej siły największego polipa, który natychmiast zwinął się, niby trąba słonia, unosząc w górę Misia. W tej chwili Bimbuś, widząc przyjaciela, znikającego w chmurach, wywinął kozła i wsiadł, niby na konia, na węża z chmur, który podrzucił pajacyka w górę, umieszczając go na chmurze.

— Acha! To są windy do podnoszenia w górę i chwytania w pułapkę nieproszonych gości! — mruczał pajacyk, niezastraszony bynajmniej tą dziwną jazdą w górę. — Ale co dalej? Jakim wehikułem mnie powiozą? Jak dotąd wcale mi wygodnie, bylebym tylko nie zleciał na dół, na łeb na szyję.

Ale o to nie było obawy: na szarej chmurze, niby w miękkim puchu spoczywając, mknął Bimbuś szybko, zaledwie rozróżniając mijające go takie same samoloty, krążące bezustannie na wszystkie strony.

— Ale to sprytni poganie! Wymyślili sobie samoloty, które ich nic nie kosztują, a lecą, jak szalone. Ciekawa historja, kiedy się ta moja podróż skończy, — rozmyślał pajacyk, chwytając w lot wszystko, co się wokoło niego działo.

Z początku, wobec szalonej szybkości jazdy, niewiele mógł dostrzec, lecz powoli oswoił się z szybkością lotu i począł rozróżniać różne kształty i wielkości chmur, które w Szarem Państwie odgrywały widocznie rolę pospiesznej i dogodnej komunikacji.

Po pewnym czasie Bimbuś wywnioskował, iż zbliża się do kresu swej podróży, gdyż szybkość lotu zmniejszyła się znacznie a od dołu dochodziły coraz wyraźniejsze odgłosy, zwiastujące, iż podróż odbywała się już ponad siedzibami ludzkiemi. W pewnej chwili chmura zatrzymała się i poczęła się rozpraszać ku wielkiemu przerażeniu pajacyka.

— Dziękuję za przyjemność! W taki sposób najniezawodniej skręcę kark — mruczał, szukając wokoło siebie czegoś, za co mógłby się uchwycić i wtedy dopiero spostrzegł, iż siedzi na aparaciku, przypominającym siodełko, zaopatrzone w parę składanych skrzydełek. Skrzydełka zaczęły się właśnie powoli rozwijać i z ich pomocą aparacik opuszczał się łagodnie w dół, aż zatrzymał się na dużym placu, na który ze wszystkich stron opadały podobne przyrządy.

Bimbuś, znalazłszy się na ziemi, przycupnął za jakimś słupkiem, oznaczonym numerem, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagi, a jednocześnie bacznie wszystko obserwując. Z początku trudno mu było zorjentować się w tem, co się tu dzieje, gdyż ruch był ogromny i ciągle napływały nowe aparaciki samolotowe, przywożące nowych pasażerów, ci zaś szli w różnych kierunkach bardzo szybko, ustępując miejsca innym. A wszystko spowite było szarym pyłem, w którym całe otoczenie przedstawiało się dziwnie sztywnie, surowo, smutnie i zupełnie jednakowo, tak że chwilami zdawało się pajacykowi, iż ci sami ludzie przybywają na tych samych samolotach, ci sami odchodzą i znów c sami przybywają. Ale po jakimś czasie bystry, sprytny Bimbuś, przyzwyczaiwszy się do szarej barwy, która tu panowała wszechwładnie, zdołał zauważyć, iż mimo szalonego ruchu, na wielkim placu wszystko szło nadzwyczaj składnie: każdy samolot przystawał przy oznaczonym słupku, każdy pasażer szedł pewnym krokiem w oznaczonym kierunku. Samoloty opuszczały się jednocześnie co pewien czas i jednocześnie unosiły się, odpływając wszystkie w tę samą stronę.

— Acha! To jest przystań samolotowa Szarego Państwa. Niby nasz dworzec kolejowy! A wymusztrowane to wszystko, aż miło! Jak wojsko! — myślał pajacyk i dziwił się w duchu, jakim sposobem udało się tak łatwo dostać się tutaj obcemu stworzeniu i dlaczego dotąd nikt go nie zauważył.

Gdyby jednak Bimbuś miał przed sobą zwierciadło, zrozumiałby, dlaczego nie był dostrzeżony! Wszystko na nim: bufiaste szarawary, barwny kaftan, nawet konopiasta czupryna i twarz pokryte było grubą warstwą szarego pyłu, który czynił z niego pocieszną szarą grudkę, przylepioną do szarego słupka, niemal zupełnie niewidoczną.

— Ciekaw jestem, co się dzieje z Misiołatkiem? Czy przywędrował tu także i jak sobie radzi w tem państwie szarych smoków? — medytował dalej, wychylając się nieco ze swej kryjówki.

V. FORTEL BIMBUSIA.

W tej chwili uwagę jego zwrócił ruch jakiś niezwykły, naruszający surowy dotąd porządek i ład.

— O! Więc i tu bywają wypadki, pomimo że wszystko idzie, niby maszyna — z pewnem zadowoleniem pomyślał Bimbuś i korzystając z zamieszania, niepostrzeżenie podbiegł do jednego z dalszych słupków, przy którym skupiał się największy ruch.

— Pewno który z tych szarych smoków kark skręcił! — myślał, przesuwając się ostrożnie między tłumem postaci w szarych płaszczach i szarych hełmach z czarnemi pióropuszami.

Wyciągał przytem, jak mógł, swą długą, nieco nadwerężoną szyję, by coś dojrzeć, ale ściana poowijanych w szare owijacze nóg zasłaniała mu całkowicie widok.

— Czego ci się tak tłoczą, jak zwyczajni gapie warszawscy? Człowiekowi spojrzeć nie pozwolą! — irytował się Bimbuś, był bowiem z natury bardzo ciekawy i w każdem zbiegowisku brał udział, starając się wszystko zobaczyć i wszystkiego się dowiedzieć.

Tu jednak ani sposób było wcisnąć się w zwarte szeregi szarych postaci a w dodatku groziło mu niebezpieczeństwo zgniecenia przez ciężkie, okute buty.

Więc sięgnął do głowy po fortel i wnet oczy zaświeciły mu wesoło. Nie namyślając się długo ani bacząc, co go czeka, wiedziony niepokonaną ciekawością, uchwycił się za płaszcz, zwisający nisko z ramienia jednego z szarych mieszkańców, wdrapał się po nim zwinnie w górę i zręcznym skokiem skrył się w czarnym pióropuszu.

Szary wojownik, wyższy od innych wzrostem i zapewne rangą, gdyż pióropusz miał większy od innych, poczuł snać pewien ciężar na głowie, gdyż dotknął hełmu, naciągnął go mocniej na oczy, lecz zajęty widać bardzo przyglądaniem się czemuś, nie zwracał więcej uwagi na to, co się dzieje na jego głowie.

Więc Bimbuś, usadowiwszy się mocno, zakryty chwiejącym się na wietrze pióropuszem, wyciągnął ciekawie głowę, by dojrzeć, co było przyczyną zbiegowiska i... omal nie wrzasnął na całe gardło trochę ze zdziwienia, trochę z przerażenia, a trochę — z radości.

Bo oto, pod słupkiem stał we własnej osobie — Misiołatek!

A wyglądał strasznie: brunatne kudły, pokryte szarą warstwą pyłu, zwichrzone, unosiły się groźnie w górę, oczy nabiegłe krwią, ciskały błyskawice, wyszczerzone, ostre zęby szczękały, połyskując swą bielą wśród krwawych dziąseł.

Jakiś chrapliwy, przytłumiony pomruk wydzierał mu się od czasu do czasu z gardzieli i wnet po nim toczyła się z pyska piana.

— Brrr... Nie chciałbym się teraz dostać w jego uściski! — myślał Bimbuś, który, mimo długoletniej znajomości z niedźwiadkiem, rzadko kiedy widział go tak podrażnionym.

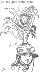

Ciasnem kołem otaczał Misiołatka szary tłum, patrząc na rozwścieczonego niedźwiadka ze zdumieniem i ciekawością. Przedewszystkiem, skąd się tu wziął? Kto go przyprowadził? I co z nim zrobić?

Trwogi nie znać było w szarym tłumie; jednak widocznem było, iż ktokolwiekby chciał zbliżyć się do przybysza, narazi się na jego wściekłe zęby. Można było wprawdzie z wielką łatwością zabić otoczonego zewsząd niedźwiadka, lecz wówczas nie dowiedzianoby się, skąd się tu wziął i poco przyszedł?

Więc stali zakłopotani i niepewni, przyglądając się z pewnego oddalenia pieniącemu się ze złości nieznanemu gościowi.

I niewiadomo, jak długoby to trwało, gdyby nie Bimbuś, który chcąc dodać swemu towarzyszowi otuchy, krzyknął nagle z wysokości głowy szarego wojownika.

— Misiołat! Uspokój się! Te szare smoki nic ci nie zrobią! Grunt, że jesteśmy znów razem!

Piskliwy głos, rozlegający się niespodziewanie ponad głowami szarego tłumu, wywołał zamieszanie: podnoszono ciekawie głowy, badając, skądby się ten głos mógł wziąć, a najbardziej zadzierał w górę głowy właściciel pióropusza, w którym siedział sobie bezpiecznie Bimbuś.

Misiołatek nie dostrzegł wprawdzie swego przyjaciela, lecz znając jego przeróżne fortele, nie troszczył się o jego kryjówkę; poznał głos i był bardzo rad, że w tem wrogiem otoczeniu, do którego czuł nienawiść, znalazła się bratnia dusza.

— Zrób co, żeby te szare małpy (Misiołatek używał często niezbyt wykwintnych wyrazów) odeszły ode mnie, bo się wściekne ze złości! — zawołał, cokolwiek uspokojony.

— Nie bój się, już ja ich rozpędzę! — krzyknął pajacyk i zapiszczał przytem tak przeraźliwie, jak tylko on to potrafił robić.

W szarej gromadzie zapanowało jeszcze większe zamieszanie i pewien lęk: skąd się brał ten tajemniczy głos, rozbrzmiewający ponad ich głowami zbliska, gdy nikogo nie było widać?

Bimbuś, który natychmiast zrozumiał powód zaniepokojenia, kryjąc się starannie w wielkim pióropuszu, nie szczędził sobie wybuchów radości ze swego wyśmienitego pomysłu i dusząc się ze śmiechu, pokrzykiwał piskliwym głosem:

— Ha! Biada wam! Biada! Nie wiecie z kim macie do czynienia! Drżyjcie, zdrajcy! Ha!

Snać niebardzo czyste sumienia mieli szarzy wojownicy, jeżeli niewidzialny głos mógł ich przejąć takim strachem. Poszarzały bardziej jeszcze szare twarze, oczy biegać poczęły niespokojnie na wszystkie strony, a gdy ktoś z boku krzyknął niespodziane:

— To duch jakiś! To czary!

Nieustraszona w boju gromada, wyćwiczona i karna, rzuciła się wobec tego niewidzialnego wroga gwałtownie do ucieczki. Uciekał, kto, jak i gdzie mógł, nie oglądając się za siebie. Największa gromada biegła za wysokim rycerzem, który, nie zważając na swą rangę, umykał nie gorzej, niż inni, a dzięki swym długim nogom, wysunął się znacznie naprzód, chcąc być jak najdalej od tajemniczego głosu. O, bo niejedną sprawkę miał na sumieniu „Siłacz", jeden z przybocznych Szarego Władcy, znany ze swej siły i okrucieństwa. Nic też dziwnego, iż bardziej, niż innych, przestraszał go głos, huczący mu nad głową, niemal w głowie.

Ale właśnie, gdy zdawało się, iż uciekł już od prześladującego go ducha i gdy nieco zwolnił kroku, rozległ się tuż nad jego uchem okrzyk:

— Hej! Ty zdrajco! Dokąd tak zmykasz?

Siłacz zdrętwiał. W głowie mu zaszumiało, nogi ociężały nagle, jak kłody, serce walić poczęło, jak młotem. Duch najwidoczniej uwziął się na niego i za nim goni. Nie ujdzie już przed jego czarodziejską siłą; darmo szukać ratunku w ucieczce: nie znajdzie nigdzie schronienia, bo któż oprze się „Duchowi"!

Kto? A toż jest przecież władca, który drwi sobie z największych potęg świata i na wszystko i wszystkich zna sposoby. To jego pan—Szary Władca! I rozumiejąc, iż On tylko wybawić go może od prześladującego ducha, Siłacz pomknął, odzyskawszy nagle władzę w nogach, do pałacu swego pana.

Widok pędzącego co sił rycerza, z wyrazem przerażenia w oczach, zaniepokoił i zdziwił straże przyboczne Szarego Władcy, ale że Siłacz miał prawo zjawiać się w pałacu o każdej porze, więc nikt go nie zatrzymywał, lecz przez ciekawość niejeden sunął za nim, by dowiedzieć się, co się stało tak ważnego, iż poważny, dumny rycerz, jak spłoszony zając mknął przez ulicę i wpadł, jak zawierucha, do wielkiego przedsionka pałacowego.

Bimbuś trzymał ze wszystkich sił pióropusz nie tylko rękami, lecz nogami, a nawet zębami, gdyż co chwila groziło mu spadnięcie, tak gwałtowne skoki robił jego nadzwyczajny wierzchowiec.

— A to galopuje! Niechże go! — myślał, napróżno wytrzeszczając oczy, by rozejrzeć się po miejscowości, którą przebywał w tak niezwykły sposób.

Nie mógł jednak zauważyć nic ponad migające mu szybko przed oczami szare kontury ludzi i jakichś dziwacznych budowli. Dopiero w przedsionku odetchnął nieco, gdy Siłacz, zziajany, zdyszany opadł ciężko na wielką dębową ławę, i starał się nieco przyjść do siebie.

Wokoło niego zgromadziło się natychmiast kilku dworaków, ze zdziwieniem przyglądając się towarzyszowi, który imponował im zawsze odwagą i okrucieństwem, a obecnie ogarnięty jakąś trwogą niebywałą, drżał, siedząc na ławie i ocierając czoło, zroszone zimnym potem.

— Hej! Siłacz! A tobie co się stało? Co za bies nastraszył tak dumnego rycerza? — mówił jeden z dworaków, z widocznemi drwinami.

Siłacz oprzytomniał nieco: zrobiło mu się bardzo niemiło, iż dał się opanować strachowi i naraził się na drwiny. Więc nachmurzył brwi, rzucił groźne wejrzenie wokoło i chcąc ratować swą opinję, rzekł sucho:

— Gdy sprawa pilna, sługa Szarego Władcy, choćby i najwyżej postawiony, nie może szczędzić nóg i sił, by zdążyć na czas. Dziwno mi tylko, że zmęczenie za zestrachanie bierzecie.

— Kłamie, powiadam wam, kłamie! Zmykał przede mną, jak zając! — zapiszczał znów Bimbuś.

Siłacz, usłyszawszy prześladujący go głos, zerwał się, jak oparzony i bez namysłu rzucił się do drzwi, wiodących do komnat Szarego Władcy. Za nim ruszyli, zdziwieni i również nieco zestraszeni, inni dworacy.

VI. SZARY WŁADCA.

Widać niewiele zważano na ceremonje w Szarem Państwie, gdyż cała gromada, z Siłaczem na czele, wpadła do wielkiej, ponurej sali. Bimbuś wytrzeszczył teraz swe i tak wyłupiaste oczy, rozglądając się z niezmierną ciekawością wokoło.

Jeżeli ktoś mógł mieć jakieś wątpliwości, iż Szary Władca panuje nad Krainą Zła — to wygląd sali w siedzibie tego potężnego przeciwnika Królewicza „Złote Serduszko" i Dobrej Pani przekonałby go aż nadto, iż pod temi wielkiemi sklepieniami, urządzonemi z ponurym przepychem, gościć może tylko: złość, pycha, i—krzywda. Cała sala, mimo swej olbrzymiej objętości, wyłożona była szarym dywanem w czarny deseń, bardzo grubym, tak że tłumił zupełnie wszelkie odgłosy; natomiast w górze przeprowadzone były liczne rury, różnej objętości i barwy, które zdawały się służyć do chwytania z zewnątrz wszelakich odgłosów i sprowadzania ich w jedno miejsce. To też, gdy na dole panowała zupełna cisza, w górze przechodziły coraz to nowe hałasy i szumy, wytwarzające chwilami wrzawę nie do zniesienia.

— Jakby tam siedziały niezliczone tuziny niegrzecznych dzieci!—zauważył w duchu Bimbuś, wodząc jednocześnie oczami po ścianach, pokrytych również dywanami o ponurych deseniach, które, ku najwyższemu zdumieniu pajacyka, bezustannie zmieniały linje, tworząc wciąż nowe wzory.

Wokoło ścian ustawione były ciężkie fotele, pokryte połyskliwą materją, z bogato rzeźbionemi poręczami, przyczem w każdej z nich tkwił kamień drogocenny, rozsyłający wokoło blaski, niemile rażące oko.

Od sufitu spływał olbrzymi żyrandol, złożony z wielkiej ilości czarnych lampek — oświetlonych wewnątrz jakiemiś dziwnemi ognikami, ruchliwemi i zmieniającemi co chwila swój kształt, tak że cały żyrandol, mimo że wisiał nieruchomo, zdawał się wirować bezustannie, zwiększając lub zmniejszając swą objętość.

Takie same lampki tkwiły w kandelabrach, umieszczonych gęsto przy ścianach, oraz w wielkich bronzowych lampach, otaczających, niby warta honorowa, wielki tron, wznoszący się w samym środku.

Tron skupiał koło siebie całe życie sali: ku niemu spływały wijące się po suficie rury, zakończone metalowemi słuchawkami, ku niemu pochylały się płomyki wszystkich lamp, w jego stronę wreszcie wiły się, niby kręte ścieżki, desenie wielkiego kobierca, który w miarę zbliżania się do tronu, stawał się coraz bogatszym, aż wznosząc się na stopnie, zdobny był w haft z drogich kamieni, wśród których świeciły czerwono-brunatnemi plamami jakieś nieznane Bimbusiowi, migotliwe kamyki.

— Jakby krew zastygła! — przebiegło przez głowę pajacyka, który wzdrygnął się mimowoli i z bezwiednym lękiem wzniósł oczy ku tronowi...

Siłacz dobiegł do pierwszych stopni, za nim cała gromada... W miarę, jak się zbliżali do tronu, wszystkie postacie wyprostowywały się coraz więcej, sztywniały i jakby nieruchomiały: oczy wpatrywały się, jak zahipnotyzowane, w jeden punkt, nieruchome i pełne grozy, a zarazem uwielbienia.

Zdecydował się wreszcie i nasz pajacyk spojrzeć i... wbrew swej woli i chęci wyprostował się, zesztywniał, przyjmując postawę taką samą, jak wszyscy szarzy wojownicy. Ale, że na hełmie Siłacza miejsca było niewiele, więc ta postawa żołnierska groziła mu spadnięciem, tem bardziej, że Siłacz zgiął się nagle w niskim ukłonie. Całe szczęście, że nie było zwyczaju w Szarem Państwie zdejmowania hełmów, gdyż na pewno biedny Bimbuś byłby się znalazł na ziemi.

Niebezpieczeństwo wróciło mu przytomność.

— Tfu, do licha! — zaklął w duchu niezbyt wykwintnie.— Przecież nie dam się oczarować przez tego szarego czarodzieja! Nie potom tu przecież przyszedł!

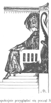

I już odważnie i spokojnie przyglądać się począł Szaremu Władcy, siedzącemu na wysokim tronie, pod baldachimem usianym czarnemi diamentami, śród których przewijały się te same czerwono-brunatne kamyki, zawieszone niby kropelki krwi.

Niezwykła to była zaiste postać: piękna i odrażająca, promieniejąca siłą i rozumem, a przyćmiona jakby szarym obłokiem niepokonanej pychy i złości! Szare oczy, głęboko osadzone, wiały chłodem, od którego zamierała krew w żyłach, a zarazem pałały, jakby rozpalone żelazo. Regularne rysy zespecone były wyrazem dzikiego okrucieństwa i bezlitosnego szyderstwa. Cała twarz drżała ciągłym niepokojem i męką, a jednocześnie każdem drgnieniem, każdem ściągnięciem muskułów nakazywała bezwzględne posłuszeństwo.

— Brrr... — wstrząsnął się Bimbuś. — Być z nim dłużej nie bardzo przyjemnie i — bezpiecznie. Potrzeba nam też było leźć w łapy takiego potwora!

— Co się dzieje? — zagrzmiał nagle głos tak potężny, iż pajacyk, przerażony, zasłonił swe duże uszy, obawiając się, że mu bębenki popękają.

— Jeżeli on tak zawsze mówi, to chyba w swojem państwie ma samych głuchych—próbował żartować dla dodania sobie otuchy, ale było mu bardzo nieswojo i raz po raz ocierał kroplisty pot z czoła.

— Co to za niepokój? — powtórnie zapytał Władca, marszcząc groźnie brwi.

— Panie! Do państwa naszego wkradł się duch jakiś niewidzialny, któremu nie możemy dać rady. Więc do Ciebie o ratunek przybiegliśmy! — mówił Siłacz, gnąc swą wielką postać w bezustannych ukłonach.

— Gdzie ten znowu uczył się takich dygów? — urągał Bimbuś, z trudem zachowując równowagę przy ruchach swego dziwnego rumaka.

— Duch? Jaki? — zapytał Władca, a twarz jego ściągnęła się na moment tak, że wyglądał, jak stuletni starzec.

Przybyli zaczęli opowiadać całe zdarzenie, a im dłużej mówili, tem bardziej utwierdzali się w przekonaniu o prawdzie wszystkich szczegółów, które jeden przez drugiego opowiadali, tak iż ze słów ich można było wnioskować, że Szare Państwo zostało nawiedzone przez jakąś potężną istotę niewidzialną, której siłe jedynie sam wielki Władca oprzeć się będzie w stanie.

Tak to bywa często, iż niespokojne sumienie zaćmi rozum i dziwadła jakieś stworzy z niczego!

VII. ŚMIECH BIMBUSIA.

Bimbuś, słuchając tego wszystkiego, otrzeźwiał zupełnie z wrażenia, jakie zrobił na nim Szary Władca i powoli odzyskiwał swój zwykły humor.

— A to kwadratowe bałwany! — urągał po żołniersku. — Znają się na duchach, jak ja na cygańskich marcypanach. Wielki Duch — to niby — ja!

I to porównanie wydało mu się tak śmieszne, iż nie mógł wytrzymać i roześmiał się na cały głos.

— Hi, hi hi! Hi, hi, hi! — śmiał się niepohamowanym, piskliwym śmiechem aż rozbrzmiała cała wielka, sklepiona sala tym chichotem, brzmiącym jak jakieś dziwowisko w szarem otoczeniu.

Siłacz pobladł i padł, nieprzytomny niemal ze strachu na stopnie tronu: inni za jego przykładem przycupnęli na ziemi. Nawet płomyki w czarnych lampkach przyćmiły swoje blaski, jakby zbladłe z trwogi.

Szary Władca podniósł się na tronie: wyprostowana jego postać była groźna i ponura. Z pogardą spojrzał na leżące u stóp jego postacie szarych rycerzy, poczem bystrym, badawczym wzrokiem powiódł po sali, widocznie starając się odkryć, skąd pochodzi ów tajemniczy głos.

— Ten nie uwierzył w ducha! — mruknął Bimbuś, śledzący z zaniepokojeniem każdy ruch groźnego Władcy.

Odechciało mu się nagle śmiać, gdyż przeczuwał, że lada chwila kryjówka jego zostanie wykrytą, a wówczas... brrr... Co się wówczas stanie? Ale Bimbuś przecież nie od parady nosił na karku swą chwiejną, dużą głowę! Od czegóż dobre pomysły i szybka decyzja!

Gdy Szary Władca przeszywał przenikliwym wzrokiem kolejno wszystkich obecnych na sali i zbliżał się właśnie do wielkiej postaci Siłacza, Bimbuś wyskoczył nagle z czarnego piórpusza i, wywinąwszy ślicznego kozła, stanął we wdzięcznej postawie przed tronem, a skłoniwszy się zamaszyście, lecz z godnością, zawołał swym piskliwym głosikiem:

— Cześć i powitanie potężnemu i sławnemu po wsze ziemie Władcy!

Niespodziewane zjawienie się pociesznej, drobnej postaci, przemawiającej głosem „ducha", który napędził tyle trwogi mieszkańcom Szarego Państwa, wywołało takie zaciekawienie, iż kto żyw porwał się na nogi, tłocząc się, by zbliska obejrzeć to dziwowisko.

Nawet Siłacz uniósł się nieco i jednem okiem spojrzał ostrożnie w stronę Bimbusia, ten zaś, choć mu lekkie ciarki po plecach chodziły, udawał wielkiego zucha i patrzył śmiało w oczy Władcy, którego twarz zdradzała gniew, lecz zarazem ogromne zdziwienie.

— Coś ty za jeden i skąd się tu wziąłeś?—spytał, a głos jego nie brzmiał zbyt groźnie.

— Jestem tym, którego ci szanowni panowie, których nazwałbym tchórzami, gdybym się nie obawiał obrazić Waszej Świetności — wzięli za ducha! Hi, hi, hi! Daruj, Wielki Władco! Ja duchem? Hi, hi, hi! To paradne! A przyniósł mnie ten oto zacny rycerz na swojej własnej głowie! Uciekał przede mną, jak zając, niosąc mnie jednocześnie, jak szybkonogi rumak. Hi, hi hi! Cóż to za jazda była! Hi, hi, hi!

Bimbuś chichotał, trzymając się za boki i przysiadając na ziemię z wielkiej pozornie uciechy. Śmiał się, gdyż rzeczywiście historja cała była bardzo śmieszną—śmiał się też i dlatego, że wykombinował, iż śmiechem łatwiej sobie poradzi tutaj, niż innemi sposobami. Nie przestawał się śmiać, choć twarz Szarego Władcy chmurną była wciąż i groźną, a wpatrzeni w nią rycerze próżno starali się z niej wyczytać, jak się ta niezwykła historja skończy; śmiał się nawet i wtedy, gdy Siłacz, który wreszcie zrozumiał wszystko i pojął, iż stał się pośmiewiskiem, ze stłumionym okrzykiem rzucił się ku niemu, chcąc pochwycić pajacyka w swe potężne pięści.

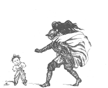

Lecz Bimbuś, wciąż zanosząc się od śmiechu, zręcznie uskoczył w bok, a potem, skorzystawszy z chwili, gdy Siłacz odwrócił się, próbując znów go pochwycić, podskoczył, uchwycił się za płaszcz i ze zwinnością małpeczki wdrapał się na czub pióropusza.

— Oto w jaki sposób odbyłem tę podróż, Najświetniejszy z władców! — darł się piskliwie, nie zważając na rozpaczliwe wysiłki Siłacza, który chciał go zrzucić. Kręcił się przytem wkółko, jak szalony, trząsł głową, machał rękami i podskakiwał tak komicznie, iż — stała się rzecz niesłychana! Twarz Szarego Władcy wykrzywiać się poczęła dziwacznie, kurczyć się i zmieniać, jakby nagle ogarnęły go jakieś gwałtowne bóle — usta drżały i wyłamywały się pociesznie, aż wreszcie z gardła wydobył się jakiś chrapliwy dźwięk, ni to zgrzytnięcie zamka, od wieków nie otwieranego, ni to rechotanie żaby, ni to zawodzenie wichru w kominie.

Po nim, jakby na komendę, rozległy się podobne dźwięki w całej sali, napełniając ją hałasem tak dziwnym i przykrym, aż Bimbusiowi skóra ścierpła z przerażenia i odrazy.

— A to się ślicznie śmieją! Niech ich!

Od niezwykłych tych dźwięków zachwiały się silniej płomyki we wszystkich lampach, przybladły krwawe kamienie, zwisające z baldachimu, znieruchomiały desenie na ścianach, sklepienie, spowite tak szczelnie szaremi oponami, iż przez nie nigdy żaden błysk światła ni słońca nie dostawał się do wewnątrz, wstrząsane temi dźwiękami, zajęczało a szara opona pękła w jednem miejscu, tworząc szczelinę, przez którą wdarł się nagle jasny, miły, ciepły promień słońca!

W tej chwili wszystkie płomyki w lampach pogasły, zgasły też promienie czarnych diamentów, tak obficie zdobiących wielką salę, krwawe kamienie z cichym jękiem padły na ziemię, ginąc w puszystym dywanie, a wszyscy ludzie w sali zaniemieli, znieruchomieli i, jak oczarowani, wpatrywali się w jasny promień.

I niewiadomo, czy blask drobnego promienia zbyt silnie raził ich oczy, czy dla innej przyczyny zaszkliły się źrenice mgłą wilgotną i wytoczyły się z nich kuleczki srebrzyste a czyste...

Bystre, drapieżne oczy Szarego Władcy spotkały się również z jasnym promieniem i patrzyły weń długo, jakby oderwać się nie mogły! Aż, gdy promyczek, przedarłszy się maleńką szczelinką, róść począł w siłę i wciąż nowej jasności przysparzał, porwał się nagle Władca, zatoczył groźnie źrenicami i gwałtownym ruchem dotknął jeden po drugim rząd czarnych diamentów, osadzonych w poręczach tronu.

W tej chwili rozległy się ze wszystkich stron, niby sygnały, chrapliwe odgłosy trąb, które wywołały w wielkiej sali ruch i wrzawę. Poprzez metalowe rury pobiegły wzmożone szmery, desenie na ścianach poruszyły się gwałtownie, tworząc otwory, mniejsze i większe, przez które wleciały na salę dziwaczne stworzenia o odrażającym wyglądzie. Więc wypełzły olbrzymie pająki o głowach ludzkich i szybko posuwając się po ścianach, pełzły na sufit wprost ku otworowi, przez który coraz swobodniej wpadały jeden za drugim złote promienie.

Bimbuś patrzył ze zdziwieniem i odrazą na te obrzydliwe wielkie potwory, całe szare, jakby przysypane popiołem, dziwaczne przez swe głowy ludzkie o wypukłych oczach, bijących bezustannie powiekami, by uchronić się od złotych blasków.

— Takiego szkaradzieństwa jeszcze nie widziałem. I co te maszkary będą teraz robiły? — zapytywał w duchu.

Wnet znalazł odpowiedź na swe pytanie, gdyż właśnie w tej chwili pająki poczęły snuć szare nici, któremi starały się zakryć otwór. Lecz widocznie, nieprzyzwyczajone do światła, nie mogły go zmieść, gdyż co chwila nici rwały się i raz po raz któryś z pająków, tracąc równowagę, spadał na ziemię.

— Niedoczekanie wasze, obrzydłe szaraki! — cieszył się Bimbuś. — Nie dacie sobie rady!

Ale właśnie pająki otrzymały pomoc, przez otwory bowiem w deseniach wleciały całe chmary nietoperzy, również o ludzkich twarzach, które bezszelestnie popłynęły ku otworowi i swemi szeroko rozpostartemi, wielkiemi skrzydłami przesłoniły go, zagradzając drogę jasności.

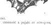

W sali zapanowała znów ciemność a pająki ze zdwojoną gorliwością snuły swe nici.

— Mądre bestje i dobrze zorganizowane! — mruczał Bimbuś, widząc pracę starej służby Szarego Władcy.

Ten usiadł znów na tronie i lekkiemi poruszeniami rąk i skinieniem głowy wydawał rozkazy niewidzialnym wykonawcom, spokojny, groźny i silny.

Po jakimś czasie nie było już ani śladu otworu w suficie,

szarzy pracownicy zniknęli bezszelestnie, w sali wszystko powróciło do dawnego porządku, tylko na twarzach zebranych rycerzy przebiegały jakieś cienie, coś jakby żal, jakby smutek.

— Słuchaj, błaźnie! — rzekł Szary Władca, zwracając się do Bimbusia, który zdążył zeskoczyć z głowy Siłacza i stanął przezornie w porządnej od niego odległości. — Jakiem prawem wdarłeś się do mego państwa i robisz w niem zamieszanie?

— Władco potężny! — krzyknął Siłacz, wysuwając się naprzód. — To szpieg i zdrajca! Swą przebiegłością wyprowadził w pole mnie, twego najsilniejszego rycerza i okrył śmiesznością! O Władco! Daj mi go, bym mógł go ukarać, jak na to zasługuje!

— Wydaj go Siłaczowi, wydaj! Zasłużył na karę! — ryknęli zgodnym chórem inni rycerze.

Bimbusiowi ciarki chodzić poczęły po plecach, rzadkie włosy podnosiły się na głowie i czuł, iż oblewa go zimny pot. Trochę też uginać się pod nim poczęły łydki, choć krzepił się w duchu, jak mógł.

— I... nic się ich nie boję! Ten jeden ich Władca groźny, bo mądry. A reszta — to bolszewicka hołota! Fortelem i rozumem ich zażyję!

I stanąwszy w dwornej postawie, krygując swą małą postać, mówił śmiało, spoglądając szyderczo w stronę Siłacza:

— Nie wiem, kto więcej zasługuje na karę: czy rycerz, który pajacowi dobrowolnie za konia posłużył, czy pajac, który z tej usłużności skorzystał. Błaznem zaś nazwałbym raczej tego, kto mając siłę, którą się chełpi i służąc tak wielkiemu panu (tu Bimbuś skłonił się Szaremu Władcy), ucieka, jak zając przed tak nędzną, jak moja, osobą!

Siłacz pobladł z gniewu i gotów był rzucić się na pajacyka, lecz wstrzymał go groźny wzrok Szarego Władcy, a Bimbuś mówił dalej, nie tracąc miny, choć czuł, że wszystko na kartę stawia.

— Jednak ty, panie, swym wielkim rozumem, oceniłeś to doskonale, iż wielka siła nie zawsze idzie w parze z wielkim rozumem, więc nie będziesz karał tego dzielnego rycerza za to, że ma większą siłę, niż rozum! Mnie zaś za to, żem przyniósł tu chwilę wesołości, udzielisz posłuchania!

Szary Władca patrzył bystro w oczy Bimbusia, snać coś ważąc, a po krótkim namyśle rzekł.

— Choć mi twoja wesołość na nic, żeś mądry, wysłucham twej prośby! Więc mów, błaźnie, czego chcesz i pocoś tu przyszedł? Tylko nie zmyślaj i nie kłam, bo ja i tak wiedzieć będę wszystko.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, iż mogę rozmawiać z tak potężnym panem. Ale ze smutkiem muszę Waszej Świetności powiedzieć, iż nie jestem tym, kim mnie mianujesz, panie. Nie jestem błaznem, tylko skromnym, małym pajacykiem, stworzonym po to, by w najpiękniejszym świecie, świecie dziecięcym, wywoływać radość i wesele!

— Głupia rola! Ale to mnie nic nie obchodzi. Po coś tu przyszedł?

— Ty wiesz, panie! Przyszedłem za moim panem, któremu wiernie służę!

— Skąd wiesz, że twój pan tu jest?

— Widziałem, jak tu jechał najnowszym sposobem komunikacyjnym — na zero - chmurze!

— Jeżeli tylko po to tu przyszedłeś, to możesz wracać z powrotem! Nikt bez mego zezwolenia nie wkracza do mego państwa. A na śmiałków, którzyby próbowali zakaz naruszyć, mam sposoby... Ale że podobałeś mi się, bo jesteś śmiały i głowę, choć ci się chwieje, masz tęgą, więc gotów jestem zatrzymać cię u siebie!

— Bardzo wdzięczny jestem za tak pochlebną propozycję. Lecz, niestety, przyjąć jej nie mogę, gdyż służby mojemu panu nie wymówiłem...

— To głupstwo. Twego pana tak, jakby nie było.

Tu Szary Władca błysnął oczami tak strasznie, iż Bimbuś mimowoli wstrząsnął się a wierne serce zabiło boleśnie: co się dzieje z jego Danusiem? jakie męki wymyślił nań ten okrutnik? A ten, widząc wrażenie, jakie słowa jego zrobiły na Bimbusiu, mówił dalej ze złym uśmiechem.

— Służyć człowiekowi, który już jakby nie żył... który może światła dziennego nie zobaczy, pomyśl, czy to nie głupstwo?

— Może to jest głupstwo w twojem państwie, dostojny panie — mówił pajacyk, opanowawszy lęk i żal — alem ja z innej krainy. Tam wszyscy, mężczyźni, kobiety, dzieci służyli swej pani, swej ukochanej, choć ją źli wrogowie poćwiartowali na kawały i za życia do grobu położyli... Służyli jej, kochali ją całą duszą, gorącemi sercami ogrzewali, serdecznemi łzami poili — aż z grobu powstała, ożyła!

Szary Władca słuchał słów tych ze złą zmarszczką na bladem czole; usta zaciął, oczy spuścił.

— Czy tam, w tej twojej krainie i pajace także tej wielkiej pani służą? — zapytał wreszcie ironicznie.

— Wszyscy... i wszystko! W tej krainie każdy twór kocha swoją matkę-ojczyznę, każda roślina ją chwali i rada jej służy, i wierność poprzysięgło jej wszystko, aż do ostatniej kropli krwi, aż do zgonu...— z zapałem mówił Bimbuś, a Szary Władca strzepnął rękami, jakby się od złych much opędzał.

— Eh, bajesz... Zresztą znam ja tę twoją krainę. Mam tam swoich ludzi i wcale dobrze im się powodzi. Nie wszyscy znowu tak wiernie tej wielkiej pani służą, nie wszyscy ją tak bardzo kochają... O, w tych czasach ona właśnie najwięcej zasila moje państwo i najwięcej mi daje środków do zwalczania tej śmiesznej krainy Złotego Serduszka.

Tu się zdrygnął, jakby połknął pigułkę z piołunu; twarz jego cała ściągnęła się, pomarszczyła, że wyglądał, ja stary, zły karzeł.

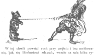

W tej chwili powstał ruch przy wejściu i bez meldowania, jak się Bimbusiowi zdawało, weszło na salę kilku rycerzy, mając między sobą jakąś postać, którą ciągnęli przed tron, mimo wielkiego z jej strony oporu.

Bimbuś z przerażeniem poznał w jednym z szarych wojowników Chmurnego, który na łańcuszku prowadził — Misiołatka we własnej osobie!

— Niedobrze jest! Ten Chmurny, to nasz najzaciętszy wróg i, zdaje się, mądry! Już on nas tak łatwo ze swoich łap nie wypuści!

Misiołatek, zdyszany, zziajany, wytarmoszony, spętany łańcuchami, zgrzytał wściekle zębami, porykiwał ochrypłym ze znużenia głosem i opierał się ciągnącemu go Chmurnemu.

Ten jednak, nie zważając na wysiłki niedźwiadka, zaciągnął go przed tron Szarego Władcy.

— A to drugi pasażer. Tylko że nie taki sprytny ale zły, jak djable! — meldował swojemu Władcy. — Co z nim robić? Obaj przywędrowali tu za swoim panem, który wybrał się na wyprawę przeciw Tobie! Zamierza wyzwolić Królewicza Złote Serduszko! Ha, ha, ha! Dostojny Władco! Nigdy chyba wróg groźniejszy nie naszedł naszej krainy! Dzielny rycerz, bez żadnej broni, z wojskiem, złożonem z nadwyrężonego pajaca i tego oto ryczącego niedźwiadka! Ha, ha, ha! Zaiste, niebezpieczeństwo jest groźne! — wydrwiwał Chmurny, śmiejąc się śmiechem, który robił wrażenie jakiegoś przykrego rechotania.

Śmiech ten drażnił niezmiernie Bimbusia, który wreszcie zniecierpliwiony drwinami Chmurnego, zawołał:

— Dziwię się też bardzo, że takie potężne państwo boi się małego chłopca i więzi go, a jego nic nie znaczących przyjaciół zakuwa w łańcuchy!

— Cicho, zuchwalcze! — ofuknął go Chmurny, lecz Szary Władca skinął lekko ręką, co uciszyło natychmiast wszystkich, i patrząc złym wzrokiem w oczy pajacyka, odezwał się:

— Zwykle nie bawimy się takiemi muchami uprzykrzonemi. Lecz abyś nie myślał, że coś dla nas znaczysz — daję ci do wyboru: możesz opuścić swobodnie moją krainę wraz z tym — idjotą,

Tu wskazał na Misiołatka, który aż się zatrząsł ze złości na ten epitet i groźnie zgrzytnął zębami.

— Obdarzę was nawet sowicie, byście pamiętali, iż Szary Władca jest panem Diamento - Góry! — Lub też pozwolę ci zostać tu i szukać swego pana, pod warunkiem jednak, iż jeżeli w przeciągu trzech dni nie odnajdziesz go, stajesz się, zarówno jak ten pocieszny mruk, moją własnością i będziesz mi służył wiernie! Wybieraj!

Duża głowa Bimbusia pracowała z natężeniem, ważąc każde słowo Szarego Władcy. Rozumiał doskonale całe niebezpieczeństwo drugiej propozycji.

— Przecież te szare potwory nie dopuszczą, bym znalazł Danusia, to jasne! Dają mi te trzy dni, by się zabawić moim kosztem... Ale innego wyjścia nie ma. Jedyna to sposobność, by ratować naszego chłopca! Niema mowy o tem, byśmy go opuścili! — myślał i gdy ucichły ostatnie słowa tyrana, odparł już bez namysłu:

— Któżby się oparł pokusie pozostania przez trzy dni w tak pięknej krainie?! Ani marzyć nie mogłem o takiem szczęściu i zaszczycie! — mówił, kłaniając się dwornie, choć oczy i usta drwiły wyraźnie. — Wybieram drugą propozycję w imieniu swojem i mojego druha!

— Pamiętasz o warunku?

— Ależ naturalnie! Przecież i on jest zaszczytny! Służyć tak wielkiemu panu! Toć to honor dla takich chudopachołków, jak my! — Tylko przez te trzy dni prosimy o zupełną swobodę i o zabezpieczenie nas od różnych niepożądanych spotkań.

Tu zerknął wymownie w stronę Siłacza, który ciągle nienawistnie nań spoglądał.

— Przez trzy dni jesteście moimi gośćmi i wszystko stoi przed wami otworem! — rzekł z naciskiem Szary Władca, i jednocześnie lekko skinął ręką.

Na ten znak w wielkiej sali zrobił się ruch, wszyscy zdążać zaczęli pośpiesznie do wyjścia, pociągając za sobą Bimbusia i Misiołatka, którzy nie wiedzieli nawet, w jaki sposób znaleźli się za drzwiami.

VIII. SZTUKI BIMBUSIA.

Wydostawszy się z pałacu Szarego Władcy, Bimbuś i Misiołatek, prowadzeni przez wskazanego im za przewodnika i towarzysza szarego rycerza, przesuwali się ulicami szarego miasta z bardzo niewesołemi minami. Bimbuś, który nadrabiał fantazją i udawał wielką odwagę na sali, teraz opuścił swoją chwiejną głowę, napróżno szukając w niej ratunku w ciężkiej sytuacji.

dok tego orszaku wszystko pierzchło szybko, a ich przewodnik naglił wymownemi ruchami, by się stąd oddalili; gdy go nie usłuchali, połą płaszcza zakrył oczy, gdy koło niego przechodził rycerz bez pióropusza.

Był bardzo blady; twarz jego wyrażała udrękę i przebytą męczarnię. Szedł z trudem i niechętnie. Zrównawszy się z naszą gromadką, zatrzymał się, jakby odmawiając posłuszeństwa straży.

— Nie pójdę! Dość mam już tego życia! — wołał — Oszukaliście mnie! Złudziliście obietnicami! Zrobiliście swoim niewolnikiem! Nie, nie włożę więcej waszego szpiegowskiego hełmu, który kradnie każdą myśl, szpieguje każdy ruch... Chcę wrócić na ziemię — odpokutować moje winy...

Bimbuś nadstawił oba uszy, słuchając skarg prowadzonego więźnia; słowa jego wyjaśniały mu wiele rzeczy i mogły doskonale pomóc do jego poszukiwań. Niestety, straż zarzuciła więźniowi na głowę jakąś płachtę, która stłumiła dalsze słowa, i uprowadziła szybko szamocącego się i wyrywającego rycerza.

— Hm. Więc i u nich są bunty! Nie wszystko się dzieje tak, jakby chciał kochany Szary Władca! — pomrukiwał pajacyk, wielce zadowolony, iż nieco mu się w głowie rozjaśniło, a zwracając się do przewodnika, zawołał — Hej ty, niewolniku! Prowadź nas, byśmy mogli spocząć nieco i pożywić się, bośmy setnie znużeni.

Szary przewodnik kiwnął głową i skręcił w bok, wiodąc ich do wielkiego budynku, do którego prowadziło z zewnątrz mnóstwo oddzielnych drzwi. Jedne z nich otworzył kluczem, który tkwił mu za pasem i wprowadził naszą parkę do niewielkiego pokoiku, w którym stały dwa tapczany, stół i dwa stołki.

— No, nie można powiedzieć, byście przyjmowali wykwintnie tak znakomitych gości! — krytykował Bimbuś, rozglądając się ciekawie po „gościnnym" pokoju. — Ale to głupstwo! Czło-

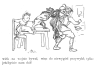

wiek na wojnie bywał, więc do niewygód przywykł; tylko jeśćbyście nam dali!

Milcząc ciągle, szary opiekun wyjął z szafki, ukrytej w murze, dwie miseczki, wypał w nie jakiegoś proszku z maleńkiej torebki i zalał wodą gorącą z kranu, mieszczącego się nad dużą miską.

— Acha! Wojenne „erzace" niemieckie! I temi wasserzupkami karmicie dostojnych gości waszego Władcy! A hoboto mizerna! Nic się nie znacie na obyczajach dworskich! — urągał Bimbuś, śledząc przytem z zajęciem każdy ruch narzuconego im towarzysza.

Gdy ten zajęty był szykowaniem tej nadzwyczajnej wieczerzy, pajacyk szepnął do ucha niedźwiadkowi:

— Słuchaj! Gdy zawołam: baczność, skoczysz na tego draba i zedrzesz mu z głowy hełm razem z pióropuszem!

Misiołotek kiwnął ciężkim łbem na znak zgody i od tej chwili ślepia jego nie opuszczały szarej postaci, krzątającej się po izdebce.

Gdy towarzysz naszych przyjaciół postawił przed nimi dymiące miseczki i odwrócił się, by wyjąć z szafki łyżki, Bimbuś zakomenderował:

— Baczność!

W tej chwili Misiołatek z głośnym rykiem skoczył na stół, a ze stołu wprost na szary łeb, zdzierając z niego hełm wraz z pióropuszem.

Rozległ się brzęk, jakby pękających strun, świst i chrzęst...

Wówczas doskoczył Bimbuś.

— Ciągnij, ciągnij! — wołał na niedźwiadka. — Nie pozwól, by ten smok wdział z powrotem swoją skorupę na łeb!

Sam zaś rwał liczne nici i struny, któremi hełm przytwierdzony był do głowy, szyi i ramion szarego rycerza. Ten, oszołomiony niespodziewaną napaścią, nie bronił się ani protestował; przeciwnie, zdawał się być zadowolony, iż oswobodzono go z tego ciężaru.

— A co, szary smoku! Urządziliśmy cię ładnie! — wołał triumfalnie Bimbuś, rzucając na ziemię hełm. — Jesteś teraz w naszych rękach!

— Dzięki wam niech będą za to! — zawołał szary rycerz z rozjaśnioną twarzą. — Stargaliście pęta, któremi przykuł mnie do swego świata ten najokrutniejszy z tyranów! Wprawdzie czeka mnie straszna kara za zdjęcie hełmu, co uważane jest w tej przeklętej krainie za największą zbrodnię — ale na chwil kilka stałem się znów wolnym, mogę mówić, czuć, myśleć... jak chcę! Ach, wy, którym nie odbierano nigdy waszych myśli, waszych uczuć, którzy rozporządzacie swobodnie waszemi czynami, pojąć nie możecie rozkoszy, jaką w tej chwili przeżywam...

Wiem, że niezadługo zginę, bo Szary Władca niszczy niemiłosiernie tych, którzy raz oddawszy się pod jego władzę, wyłamać się z niej pragną... Zginę, lecz przedtem mogę zrobić coś dobrego, naprawić choć w części zło, jakie wyrządziłem kiedyś, zaprzedając się złej potędze... Czasu mam niewiele — może jednak zdążę odkryć wam trochę tajemnic tej krainy mroków i cieni. Słuchajcie!

IX. PRZEPOWIEDNIA

Wszyscy, którzy zaciągną się w służbę u Szarego Władcy, oddają mu nie tylko swe czyny, lecz myśli i uczucia. Z niesłychanym sprytem przyrządzone hełmy zawierają aparaty, nadzwyczaj subtelne, które fotografują jakby każdą myśl i każde uczucie, i komunikują je centralnym stacjom.

Widzieliście w wielkiej sali przyjęć Szarego Tyrana ściany, pokryte wzorzystemi dywanami o ruchomych deseniach? Otóż tamtędy przebiegają bezustannie depesze nie tylko o wszystkiem, co się dzieje, lecz o każdej myśli, każdem uczuciu..

Dopóki hełm taki spoczywa na głowie, człowiek jest zupełnym niewolnikiem, gdyż może tylko to myśleć, czuć i mówić, co się podoba Szaremu Władcy!

Każda myśl buntownicza, każda tęsknota za światem porzuconym, światem światła i słońca, każde uczucie współczucia, chęć okazania pomocy cierpiącemu — natychmiast sygnalizowana jest do odpowiedniej stacji i przestępca — bo to uważane jest za przestępstwo — zostaje zdegradowany do najniższego rzędu stworzeń tej strasznej krainy. Odbierają mu świadomość i zamieniają w bezmyślne twory o odrażającym wyglądzie, skazane na bezustanną pracę, bez chwili wypoczynku.

— Więc dla czego nie zrzucacie tych potwornych hełmów? — zawołał Bimbuś. — Wówczas nie mogliby kontrolować waszych myśli.

— Tak, lecz wtedy przerywa się komunikacja ze stacją centralną, która natychmiast alarmuje odpowiednich strażników, a ci chwytają przestępcę i oddają pod sąd..

— Można się ukryć!

— Nie! Bez hełmu nikt nie może się pokazać, gdyż natychmiast będzie pojmany. — A stacja ma dokładną wiadomość, gdzie kto z nas się znajduje..

— Więc i ciebie mogą pojmać?

— Naturalnie! Nie zadługo tu będą moi prześladowcy. Opóźnią się nieco może dla tego, iż w dniu dzisiejszym w szarej krainie panuje zamieszanie i popłoch — z jakiej przyczyny — to chciałbym właśnie wam opowiedzieć...

— Gadaj więc, tylko prędko! Bo jak ciebie zabiorą, trudno będzie znaleźć drugiego takiego szczęśliwego szaraka, któryby nam dopomógł — zawołał Bimbuś, drżąc z niecierpliwości.

Misiołatek aż przysiadł na tylnych łapach i kręcąc kudłatą głową, pomrukiwał:

— Dziwy! Dziwy!

A mieszkaniec szarej krainy, wyswobodzony z władzy despotycznej, jął opowiadać, mówiąc śpiesznie, jakby obawiając się, iż mu czasu nie stanie.

Gdy Szary Władca pojmał Królewicza „Złote Serduszko“ wzmógł się w pychę i dumę tak wielką, jakby już cały świat do niego należał.

I rzeczywiście od tej chwili potęga jego z dniem każdym wzmagać się zaczęła; mroki i cienie, i rodzące się w nich wszelkie zło coraz silniej krzewić się zaczęły a bogactwa Szarej Krainy wzrastały, ciągnąc ku sobie wciąż nowe gromady szaleńców, którzy, goniąc za władzą, potęgą i złotem, wpadali w pułapkę mądrego tyrana i stawali się jego niewolnikami.

Ale mimo że wszystko szło pozornie tak dobrze, mnożyły się oznaki pewnego niepokoju i zaczęły przedostawać się głuche wieści o przepowiedni, wypisanej niewiadomo przez kogo na jednym z prastarych kamieni, mieszczących się w najgłębszej grocie Diamento-Góry.

Wprawdzie dostęp do tej groty był zamurowany, nikt tam nie wchodził i nikt owego kamienia ani napisu nie widział, a jednak wszyscy w przepowiednię wierzą, a najwięcej ponoć — sam Szary Władca!

— Jakaż to przepowiednia — gadajże prędzej, nim te szare zbiry sprzątną cię nam z pod nosa! — niecierpliwił się Bimbuś.

— Przepowiednia głosi upadek Szarego państwa, gdy Jasny Więzień wydostanie się na wolność!

— Mądra przepowiednia! Niby to Szary Władca nie ma dość straży i wojsk, by ustrzec Królewicza! — sarknął zawiedzionym głosem Bimbuś.

— Przepowiednia głosi dalej, iż stanie się to wówczas, gdy ostatnia celka podziemnego więzienia zostanie zajęta...

— Ach, jakie to wszystko naiwne! — złościł się pajacyk. — Przecież tej ostatniej celki mogą nigdy nie zapełnić!

— Istnieje odwieczne prawo w Szarej Krainie, iż każdy przybysz, który we wrogich zamiarach przybywa tutaj, musi być żywcem zamurowany w jednej z cel... Chyba że — zgodzi się dobrowolnie na służbę u naszego pana... Obecnie wszystkie celki są zajęte, oprócz jednej... I właśnie zjawił się nowy przybysz, który pragnie ratować Królewicza...

— Ach! Nasz Danuś! — wykrzyknęli razem Bimbuś i Misiołatek.

— Właśnie! I stąd wielki niepokój i zamieszanie w Szarym państwie. Stąd błysk nadziei dla nas, nieszczęśliwych potępieńców! — ciszej dodał szary rycerz.

— Sądzisz, że Danusia uwięzą? Zamurują? — dopytywał gwałtownie Bimbuś.

— Gdyby nie przepowiednia — pewnieby to zrobili. Ale właśnie chodzi o to, by celka została pustą!

— Więc co zrobią z naszym chłopcem?

— Będą się starali wciągnąć go do szeregów Szarego Władcy.

— A, niedoczekanie! Nasz Danuś, nasz kochany, złoty chłopiec w służbie u Tyrana, Okrutnika! O, nigdy!

— Nie mów tak! Nie znasz Szarego Władcy! Jest on nietylko zły i okrutny, lecz silny i — mądry! Użyje on wszystkich sposobów, by opłątać waszego chłopca. Ofiaruje mu skarby, potęgę...

— O, nic z tego! Żaden Polak na to nie łasy, a cóż dopiero nasz chłopiec! — z pewną chełpliwością zawołał pajacyk.

— Ofiaruje mu bogactwo i potęgę dla — Polski!

— O...! — zajęczał Bimbuś, ukrywając twarz w dłonie — o... w ten sposób może go otumanić!

— A gdy go skusi obietnicami dla ukochanej Ojczyzny, gdy otrzyma zgodę na swoją propozycję — wówczas...

— Co wówczas, na Boga?

— Wówczas... wszystko przepadło! Celka zostanie próżną... znów na wiele, wiele lat... Lecz — o Boże! Zdaje się, że zbliżają się już moi prześladowcy... Uchodźcie co prędzej, by was tu nie znaleziono. Dadzą wam bowiem innego stróża i nic nie będziecie mogli zrobić... Biegnijcie co żywo... Za siódmym kamieniem od węgła tego gmachu, skręćcie na lewo. Zatrzymajcie się przy pierwszej kępie krzewów... Znajduje się pod niemi niewielki otwór... prowadzi on do podziemi. Idźcie korytarzem wciąż naprzód, a śpieszcie co sił starczy. Może się wam uda przyjść na czas... uprzedzić chłopca, niech się nie da skusić... Prędzej, prędzej!

X. WIERNI PRZYJACIELE.

Bimbuś i Misiolatek, nagleni przez nieoczekiwanego sprzymierzeńca a nadewszystko przejęci obawą, by nie przybyć za późno, wybiegli, nie podziękowawszy nawet przygodnemu przyjacielowi i omal nie zetknęli się z licznym orszakiem szarych wojowników, którzy pośpiesznie dążyli do drzwi, za którymi znajdował się zbuntowany rycerz.

— Misiołat! Zbieraj nogi! — naglił pajacyk — Bo jak te szare smoki załatwią się z tym biedakiem, niezawodnie nas szukać będą!

— Oj, byleby tylko znaleźć ten otwór do podziemi! — jęczał niedźwiadek.

— Już się tym nie kłopocz! O, widzisz! Te krzaczki... Prędzej, prędzej...

Zdyszani, z bijącemi głośno sercami dopadli nasi przyjaciele krzaków w chwili, gdy szara gromada z hałasem wytoczyła się z budynku, rozbiegając się na wszystkie strony.

— Szukają nas! — szepnął Bimbuś, drżącemi rękami rozgarniając krzaki.

— Jest! — krzyknął w tej chwili Misiołatek, znikając nagle w ciemnym otworze.

Za nim rzucił się głową naprzód Bimbuś...

— Aj! Aj! Aj! — zajęczał pajacyk. — Gdzie jestem? co się ze mną stało? Oj! Oj! Oj! Mój łeb! Misiołat! Zobacz! Mam go jeszcze na karku?!

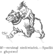

— Cicho bądź! — mruknął niedźwiadek. — Spadliśmy z dość wysoka. Ale to głupstwo!

— Tobie głupstwo, bo masz taki kożuch na sobie. Ale ja kości wszystkie połamałem.

— Nie gadaj! Spadłeś na mnie, więc ci miękko było, niby na pierzynie... A teraz pędźmy naprzód... Trzeba za wszelką cenę odnaleźć Danusia.

— Kiedy ja naprawdę nie mogę! — jęczał piskliwie Bimbuś, napróżno usiłując podnieść się — pewnie mam złamaną nogę.

— Więc uczep się moich kudłów — poniosę cię. Czasu do stracenia niema! — komenderował Misiołatek a Bimbuś, choć z wielkim trudem, wgramolił się na plecy niedźwiadka, który począł biec naprzód, nie zważając na ostre kamienie, raniące mu nogi, rozbijając często głowę w ciemnościach, potykając się i poślizgując na błotnistym gruncie!

— Misiołat! Czy ty długo tak możesz? — pytał Bimbuś, dręczony wyrzutami sumienia, iż swoją osobą przysparza ciężaru przyjacielowi.

— Póki nie znajdę naszego chłopca! — odparł niedźwiadek, nie ustając w biegu, choć znać było, iż ogarnia go coraz większe znużenie.

— Czekaj! Ja zejdę... będzie ci lżej. Ty sam pobiegniesz szybciej, a ja jakoś przykuśtykam się dalej... — namawiał pajacyk, ale Misiołat odburknął szorstko:

— Ale! Dużo ja zrobię sam, moim niedźwiedzim rozumem... Siedziałbyś lepiej i nie przeszkadzał...

— Odsapnij choć trochę!

— Nie można! Możemy się spóźnić!

Długi czas tak biegli. Misiołatek dygał ciężko, z trudem chwytając powietrze, nogi poczęły mu się plątać... chwilami niemal tracił przytomność... lecz nie zwalniał biegu, opanowany jedyną myślą: byle się nie spóźnić!

Wreszcie ciemności zaczęły się nieco rozjaśniać — w oddali zamigotało coś niby blade światełko.

— Misiołat! Misiołat! To pewnie już tu! — szeptał pajacyk, zapominając o bólu, który mu szarpał nogę, niby rozpalone kleszcze.

Niedźwiadek przystanął na chwilę, odsapnął, potem puścił się znów naprzód i po paru chwilach znaleźli się w szarym korytarzu, w którym przy mdłym świetle światełka, połyskującego z oddali, rozróżnić mogli po obydwóch stronach wygłębienia, niby celki, częściowo zamurowane... Po korytarzu przebiegały we wszystkie strony wielkie szczury o ludzkim wyglądzie, snuły się pająki, latały bezszelestnie nietoperze.

— Brrr... co za obrzydlistwo! — zdrygnął się Bimbuś. — A tam, w tych celkach, patrz! Toć ludzie są zamurowani!

— Nie mam czasu patrzeć... W ostatniej celce ma być nasz chłopiec... Musimy się do niego dostać, zanim go zamurują... Zawsze przyjemniej mu będzie... ginąć z nami! — mówił poczciwy niedźwiadek.

Bimbuś zamilkł i tylko wolną ręką gładził bure kudły, jakby chciał powiedzieć.

— Kochany, wierny przyjacielu! Naturalnie, że podzielimy los naszego chłopca!

Mijali szybko jedną celkę za drugą; Misiołatek wpadał na szczury, które umykały mu z pod nóg, roztrącał nietoperze, chmarami całemi zastępujące mu drogę, sapał, mruczał, biegnąc niestrudzenie naprzód, aż wreszcie... na samym końcu ukazała się ostatnia celka!

Tu już i Bimbuś nie mógł wytrzymać; sycząc z bólu, zeskoczył z grzbietu niedźwiadka i podskakując na jednej nodze, śpieszył do miejsca, gdzie mieli nadzieję znaleźć chłopca.

— Danusiu! Danusiu! To my, twoi przyjaciele! Jesteśmy przy Tobie! — wołał, wpadając do celki, przy której, niby na straży, stały dwa wielkie szczury.

— Danusiu! Chłopcze nasz złoty! — ryczał Misiołatek, wtaczając się za pajacykiem.

Lecz nagle obaj zamilkli i znieruchomieli... Niby lód serca im zmroził — a mózgiem szarpnęły rozpalone szczypce: — cela była pusta!

Spojrzeli na siebie zbielałemi z bólu, rozpaczy i przerażenia oczami.

— Więc jednak go skusił! — jęknął Bimbuś, opadając ciężko na wilgotną, błotnistą ziemię.

— Nie, to niemożliwe! — z mocą zawołał Misiołatek — Danuś nie poszedł na służbę do Szarego Władcy!

— A jednak go niema!

— Niema! — powtórzył niedźwiadek i nagle, obaj przyjaciele, objąwszy się ramionami, zapłakali, powtarzając rozpaczliwie:

— Niema! Niema Danusia!

I długo rozlegały się po ciemnym, wilgotnym więzieniu szlochy wiernych przyjaciół, opłakujących nieszczęsną dolę chłopca!

Gdy nagle...

XI. W NIEWOLI

Opasany szczelnie zwojami polipa, wysuniętego z chmury, niby w objęciach olbrzymiego węża, Danuś mknął w górę z zawrotną szybkością.

Nie było mowy o jakichkolwiek usiłowaniach oswobodzenia się z tych uścisków, wówczas bowiem groziła mu śmierć niechybna przy upadku w niezmierzone przestrzenie. Z początku swej niespodziewanej podróży kilkakrotnie wzywał Bimbusia i Misiołatka, wydobywając z piersi głos najsilniejszy, na jaki się mógł zdobyć. Nie liczył zresztą na pomoc swoich przyjaciół i pragnął tylko dać im znać o swojem porwaniu. Nie był jednak pewnym, czy usłyszeli jego wołanie, w chwili bowiem, gdy go unoszono w górę, powstał taki szum, świst i huk, iż wydawało mu się niepodobieństwem, by jego głos mógł dotrzeć do Bimbusia lub Misiołatka.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, iż dostał się we władzę Szarego Władcy i że grozi mu poważne niebezpieczeństwo.

— Co oni ze mną zrobią? — myślał i chwilami ciekawość brała górę nad wszystkiemi innemi uczuciami, ale zaraz porywała go złość wielka na siebie samego.

— Com ja za wódz!? Com ja za żołnierz!? — robił sobie gorzkie wymówki. — Wchodzić do nieprzyjacielskiego kraju i nie zbadać okolicy! Przypuszczać, że Szara Kraina, której zadaniem jest walczyć ze wszystkimi, zostawi swe granice otwarte i niestrzeżone, by w nie mógł wejść każdy, kto tylko chce!? Na to trzeba być...

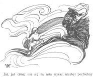

Już, już cisnął mu się na usta wyraz, niezbyt pochlebny dla niego, lecz wnet się powstrzymał, myśląc zupełnie słusznie:

— Na co się zda wymyślanie? Dużo mi ono pomoże! Raczej myśleć, jakby naprawić zło, które się stało.

Ale najmędrsze myślenie narazie nic pomóc nie mogło. Unoszono go wbrew jego woli; mknął w górę, to znów gwałtownie opuszczał się w dół, otaczały go wciąż ciężkie, ciemne chmury, że nie wiedział, czy to noc już, czy dzień jeszcze. Szum, świst i huk nie ustawał, jak podczas najstraszniejszej burzy, co, naturalnie, nie pomagało zupełnie do zebrania myśli i ułożenia jakiegoś planu działania.

Jak długo trwała ta szalona jazda, Danuś nie umiałby określić: wydawało mu się, iż trwa to całą wieczność, a znów czasami wyglądało, jak mała chwilka.

Wreszcie lot począł się wyraźnie obniżać, szybkość zmniejszać, chmury nie były już tak gęste i coś, niby mdłe światło dnia pochmurnego przeświecać poczęło tu i owdzie.

Chłopiec zrozumiał, że zbliża się kres jego podróży: serce poczęło mu bić silniej a oczekiwanie niewiadomych losów wzbudziło w nim jakieś dziwne, nieznane uczucie.

— Czyżbym się bał? — zapytywał się w duchu i zaraz dzielna żołnierska dusza obruszyła się gniewnie.—Bać? Czego? Ileż to razy śmierć nam w oczy zaglądała w niekończonych walkach z bolszewikami lub z Prusakami! Bać się?! Tego nie zna żołnierz polski.

Ale żołnierzyk polski nie lubi, gdy ginąć musi marnie, nie spełniwszy tego, co zrobić zamierzał... I zawsze żal młodego życia...

I tam, Mamusia...

Oj, coś wilgotnego spadło na różowy policzek.

Czyżby kropla deszczu z ciemnej chmury, co właśnie nad głową chłopca przeleciała?

Kropelka potoczyła się szybko aż padła na różową perełkę, którą Danuś dostał od Dobrej Pani — a tam zabłysła tak jakoś miło, serdecznie i jasno, iż chłopcu lżej się nagle na duszy zrobiło, otucha weń wstąpiła i bez śladu znikła chwila słabości.

— Dobrej sprawie służę! A dobro zawsze wkońcu zwyciężyć musi! — szepnął z mocą i na wszystko już zdecydowany, obserwował bacznie, co się wkoło niego działo.

Sploty, otaczające go wciąż, rozluźniły się nieco i wówczas przekonał się, iż siedzi jakby na siodełku, przy którem, z dwóch stron płyną, niby skrzydła, dwie chmury.

— Aeroplan najwyraźniej! — pomyślał chłopiec, a rozejrzawszy się w gęstej mgle, która nie przestawała go otaczać, chociaż stawała się rzadszą, dostrzegł mknącą koło siebie postać.

— Acha! Straż pograniczna! On to widocznie mnie przyłapał na granicy i prowadzi, jako swego jeńca.

Przyglądając się baczniej mknącej obok niego postaci, dostrzegł, iż jest ona zupełnie podobną do wojowników, którzy przybyli w poselstwie do krainy Złotego Serduszka. Taki sam szary płaszcz spływał z ramion, tworząc niemal całość z otaczającemi ich chmurami i taki sam hełm z czarnym pióropuszem zdobił mu głowę.

— Niezbyt wygodny strój dla lotnika; — pomyślał chłopiec, przyglądając się z zaciekawieniem swemu towarzyszowi. — Ale jaką rolę odgrywa i skąd się bierze ów wąż-polip, który mnie uwięził?

I ta zagadka została za chwilę rozstrzygnięta, gdyż właśnie w tej chwili zobaczył Danuś, jak wąż-polip, który zupełnie już wypuścił go ze swoich objęć, zwijać się począł ponad hełmem strażnika, kurczył się, zmniejszał, jakby go wciągały w siebie czarne pióra pióropusza, aż wreszcie zniknął.

Chłopiec zdumiał.

— Toż ten hełm — to cały arsenał najrozmaitszych sposobów walki! — pomyślał — Rycerze ze straży pogranicznej chowają w nim swoje polipy i mogą wyśmienicie spełniać swą służbę, będąc w niewielkiej nawet złości! Przytem, obserwując z wysokości, mogą obejmować duże przestrzenie bez obawy, aby cośkolwiek wymknęło się ich uwadze! Znakomite urządzenie!

I znów zadrgało niespokojnie serce chłopca.

— Mądry snać ten ich Szary Władca — i potężny!

I oto przeciwko niemu ktoś się porywa i z czem?

On, Danuś, dzielny wprawdzie żołnierz, ale w tej chwili nawet bez broni. A całą siłą jego — niezłomna wiara w słuszność sprawy, której służy!

W tej chwili chłopiec został gwałtownie wstrząśnięty, tak że omal nie spadł z siodełka: aparat zatrzymał się. Chmury zniknęły zupełnie, umilkł też szum i świst; wokół panowała cisza cmentarna i smutny półmrok ni to dnia, ni to zmierzchu.

Towarzysz chłopca, zeskoczywszy ze swego aparatu, skinieniem dał mu znak, by zrobił to samo. Danuś nie próbował opierać się, bo i poco zresztą? Zeskoczył więc również i szedł posłusznie za swoim przewodnikiem, który wielkiemi krokami posuwał się rodzajem korytarza kamiennego, zamkniętego szarem sklepieniem ruchomem, obniżającem się lub podnoszącem.

Wszędzie wiało pustką, wilgocią i grobowym smutkiem.

Jasna, pogodna natura chłopca, wtłoczona w ten martwy świat, kurczyła się i zżymała, znosząc niesłychane męczarnie.

— Toż tu żyć nie można! Toć gorzej, niż pustynia, bo tam przynajmniej słońce i przestrzeń, a tu brak wszystkiego: powietrza, światła — życia!

Zatrzymał się bezwiednie, jakby zbrakło mu odwagi iść dalej w ten zamarły świat. Lecz w tej chwili usłyszał rozlegające się tuż za sobą kroki i gdy się obejrzał, zobaczył drugą postać, spowitą w szary płaszcz, idącą miarowym krokiem za nim. Z pod nasuniętego na czoło hełmu wyglądała para oczu stalowych, bez blasku i, zda się, bez życia. Twarz, jakby pokryta szarym pyłem, była martwa i nieruchoma, tak iż cała postać wyglądała raczej na jakiś ruchomy aparat, niż na żywego człowieka.

— Jezus! Marja! Gdzie ja jestem? Dokąd mnie oni wiodą?!

Zimny pot wystąpił na czółko Danka, serce ścisnęło się boleśnie.

Do walki z wrogiem, choćby stokroć silniejszym, i owszem, chłopiec był zawsze gotów! Zginąć na polu chwały — toć to dla Polaka rzecz zwykła! Nie zadrży dzielne serce przed śmiercią bohaterską!

Ale ten świat kamieni, bez światła i słońca, ten świat martwych ludzi — jakieś cmentarzysko głuche, bez żadnego dźwięku... brrr... tu ginąć, zagrzebany za życia...

To za ciężko, za okropnie!

Więc znów opuściły siły naszego chłopca, zwątpienie i rozpacz wkradały mu się do duszy.

W tej chwili tuż nad uszkiem rozległ się szept. (A może tak mu się tylko zdawało?) Znany, kochany głos mówił serdecznie:

— Rozpoczęte dzieło trzeba doprowadzić do końca. Nie tracić nadziei, choćby się zdawało, że wszystko stracone. Trwać na stanowisku!

O, cóż za cudowna moc i siła płynie z tego głosu... Danuś już wie... to dalekie echo tego, co wpajała w jego młodą duszyczkę ukochana mateczka. I oto rozbrzmiały te słowa i niby źródło życiodajne, wlały weń nową energję i wiarę we własne siły. A jest to najpotężniejsza broń w niebezpieczeństwie!

Szara straż, idąca miarowym krokiem przed i za Danusiem, zmusiała go bez słowa i bez wyraźnego nakazu do maszerowania takim samym krokiem, bez chwili wytchnienia, bez możności rozejrzenia się.

Ale już pracowała jasna myśl chłopca i chwytała w okół siebie wszystko, co się nasuwało bystrym oczom.

A więc korytarz rozszerzał się stopniowo a po obydwóch stronach widać było jakieś tabliczki z napisami, których Danuś nie mógł odczytać, gdyż mijali je zbyt szybko, a przytem pisane były jakiemiś dziwnemi, nieznanemi chłopcu literami.

— Albo — groby, albo — cele więzienne! — zawyrokował chłopiec w duszy i znów dreszcz nim wstrząsnął.

On, wolny, swobodny, jak ptak, rozwijający się w słońcu i jasności, jak kwiat — będzie pędził życie podziemne, zamierając powoli w tęsknocie za swobodą, powietrzem i słońcem!

Korytarz rozszerzył się nagle, tworząc sklepioną salę, w której błąkało się mdłe światło, pozwalające rozróżnić ustawione pod ścianami kamienne ławy i stojące w pewnych odstępach nieruchome szare postacie, które chłopiec wziął w pierwszej chwili za posągi — a które, po uważniejszem przyjrzeniu się, okazały się takiemi samemi strażami, jak te, które wiodły Danusia.

Stały one przy wielkich, okutych drzwiach, umieszczonych w paru miejscach kamiennej sali.

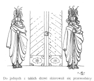

Do jednych z takich drzwi skierowali się przewodnicy chłopca, pociągając go za sobą.

Zazgrzytały ponuro podwoje, otwierając się przed przybyszami.

Danuś przestąpił próg z wysoko podniesioną główką, śmiałem spojrzeniem obejmując wnętrze niewielkiej salki, która, jak przypuszczał, będzie tylko przejściem do więzienia, jakie go zapewne czeka.

I rzeczywiście, salka miała wygląd kancelarji więziennej. Mroczna, wilgotna, duszna, mieściła kilka kamiennych stołów i stołków.

Na dużych półkach piętrzyły się stosy wielkich czarnych ksiąg.

Przy jednym ze stołów siedziało paru ludzi, zupełnie tak samo ubranych, jak ci mieszkańcy Szarej Krainy, z którymi dotąd miał do czynienia nasz chłopiec. To samo chmurne, wygasłe spojrzenie, ta sama ziemista, martwa twarz.

Czekano najwidoczniej na Danusia a wejście jego spowodowało pewien niepokój. Szarzy ludzie poruszyli się na swych kamiennych stołkach, powieki załopotały, jakby uderzyło w nie jakieś niepożądane światło, niektórzy podnosili ręce, jakby chroniąc obolałe oczy przed zbytnim blaskiem.

— Skąd przybywasz?—rozległo się pytanie, gdy chłopiec stanął przed stołem.

— Z Ziemi!

— To niemożliwe! Za silne blaski od ciebie biją! Mieszkańcy Ziemi nie są tacy jaśni!

— Jednak przebywam na Ziemi. Ale teraz byłem w Krainie Złotego Serduszka.

— A, to co innego!

Danuś zauważył, iż gdy wymawiał nazwę Słonecznej Krainy, twarze szarych ludzi mieniły się różnemi uczuciami: gniewu, lęku, nienawiści i żalu!

— Poco przybyłeś do naszego państwa?

Chłopiec zawahał się z odpowiedzią. Powiedzieć prawdę znaczyło narazić się na mściwy gniew Szarych ludzi, którzy zżymali się, usłyszawszy samą nazwę krainy, w której przebywał Danuś. A cóż dopiero, gdy im wyjawi cel swojej wyprawy?!

Skłamać więc? Nie! Chłopiec wogóle kłamstwem się brzydził, a w tej chwili rozumiał, że w tym świecie zła, jedyną niezwyciężoną bronią może być—niewzruszona czystość serca. A gdzież czystość serca bez prawdy?

— Przybywam, by dotrzeć do Królewicza Złote Serduszko! — rzekł spokojnie.

Szarzy ludzie spojrzeli na siebie z widocznym niepokojem; twarze ich stały się jeszcze ciemniejsze, a wygasłe oczy zamigotały, niby światełka fosforyczne.

— Znowu! — westchnął cichutko jeden z nich.

— Jesteś Rycerzem — Złotego Serduszka? — zabrzmiało znów pytanie.

W głosie pytającego znać było wielki wysiłek. Wyrazy ledwie przedostawały mu się przez gardło.

— Nie! Ale mam nadzieję nim zostać!

Te proste słowa chłopca wywołały takie zamieszanie wśród Szarych ludzi, iż Danuś począł ich podejrzewać, że potracili zmysły.

Wszyscy zerwali się ze swoich stołków; jedni pośpieszyli do ukrytych w ścianach drzwiczek, inni chwycili za jakieś dziwne narzędzia, któremi poczęli bić szybko w metalowe tabliczki.

O Danusiu wszyscy zdawali się zapominać, aż po pewnej chwili parę kamieni w posadzce poczęło się podnosić, odkrywając wejście, przez które wtargnął do sali Rycerz Chmurny we własnej osobie.

Chłopiec poznał go natychmiast, a i on zdawał sobie doskonale przypominać, w jakich warunkach spotkał złotowłosego Danusia, gdyż twarz jego wykrzywił grymas zaciętej nienawiści i złości.

— A, to ty wprowadzasz zamieszanie do naszego kraju? Jakiem prawem wdarłeś się do nas i czego tu chcesz?—pytał porywczo, stając w groźnej postawie przed chłopcem.

— Sami mnie tu przywiedliście, wbrew mojej woli unosząc mnie na jakimś sprytnym aparacie. A cel mojej wędrówki powiedziałem przed chwilą: pragnę dotrzeć do Królewicza Złote Serduszko.

Chmurny zazgrzytał zębami. Pieniąc się ze złości, mówił porywczo:

— A czy wiesz, co czeka śmiałka, który ośmiela się bez naszego zezwolenia dostać się do naszego państwa? I do tego w celu przyjścia z pomocą naszemu więźniowi, który jest największym wrogiem naszej krainy i czyha na jej zgubę?—Śmierć takiemu jest przeznaczona, śmierć okrutna!

— Ha, cóż! Dla żołnierza śmierć nie nowina!—spokojnie odparł chłopiec, patrząc jasnem wejrzeniem w gorejące ponuro oczy Chmurnego.

Ten zaśmiał się złym, okrutnym śmiechem.

— O, bohaterze z Ziemi Polskiej! Marzy ci się śmierć sławna, na polu bitwy, w obronie Ojczyzny! Wiem ja, wiem, że każdy z was uważa to za szczęście. Ale nic z tego! Inną śmiercią zginie śmiałek, który ośmiela się targać na wolę Szarego Władcy! Przejdzie on takie katusze i męczarnie, o jakich nikt z nędznych mieszkańców ziemi nie ma wyobrażenia!

— Dla dobrej sprawy gotów jestem na wszystko! — rzekł spokojnie chłopiec, chociaż serduszko zabiło mu, niby młot, a zły, szyderczy głos Chmurnego i jadowite spojrzenie szarych oczu mroziły mu krew w żyłach.

— Zabrać go! — rozkazał Chmurny, i natychmiast dwóch milczących strażników, poruszających się, jak nakręcone automaty, stanęło tuż koło chłopca.

XII. ŻYWE GROBY.

Danuś poczuł, iż podłoga wraz z nim zaczyna się zapadać, lecąc gdzieś w dół bez końca.

— To niby winda! — dodawał sobie odwagi Danuś, — Chmurny tą samą drogą dostał się na górę. Szare państwo rozpościera się widocznie nad ziemią, na ziemi, i pod ziemią!

Zapach stęchlizny owiewał chłopca coraz silniej; ubranie nasiąkało wilgocią, powietrze było coraz duszniejsze, tak że trudno było oddychać, a gdy wreszcie skończyło się to męczące opuszczanie się w dół i chłopiec, popchnięty przez eskortującą go straż, dotknął ziemi, poczuł, iż nogi toną mu w lepkiem, gęstem błocie.

Było niemal zupełnie ciemno, tylko zdaleka połyskiwały blade światełka, ku którym kierowali kroki chłopca dwaj jego towarzysze.

— Nieprzyjemnie tu, to prawda! Lecz nasi górnicy w kopalniach spędzają większość życia w takich samych, a może i gorszych podziemiach! — krzepił się chłopczyna w duchu, ale jednocześnie zęby mu szczękały, bo to i chłód był dojmujący i przenikliwy—i serce mroziły uczucia—nie strachu, ni lęku—broń Boże—lecz bezsilności i beznadziejności.

— Tylko że górnicy, po skończonej pracy, wydostają się na światło i słońce, wracają do swoich domów—rodzin—a ja?

Zakkało mu coś w duszy, żal straszny i tęsknota za tem wszystkiem, co opuścił, może na wieki, zapiekł w serduszku, aż z ust wyrwał się bezwiednie jęk...

To oprzytomniło chłopca; zdało mu się, iż błysnęły przed nim szydercze oczy Chmurnego, a tam gdzieś w oddali, w oddali, w błękitnawej mgiełce zamajaczyła smutna postać kobieca—tak, jakby Dobra Pani, a może — mamusia?

Złe moce wyszydzą jego słabość a w świecie dobra i słońca ukochane czoło zasnuje chmura smutku, że oto tak łatwo opadły skrzydełka, rwące się do pięknego czynu...

— Żaden dobry czyn nie zginie marnie! Zawsze z niego powstanie coś dobrego, co żyć i działać będzie! Więc jeżeli zginę za dobrą sprawę—śmierć moja przyczyni się do zwycięstwa innego, silniejszego i mądrzejszego ode mnie!

Nikłe światełka zbliżyły się znacznie, aż gdy zamigotały tuż nad głową Danusia, straż skręciła w boczny korytarz. Było w nim nieco jaśniej, więc chłopiec rozglądać się począł, chcąc zorjentować się, gdzie jest.

Szli teraz wolno, bardzo wolno; widocznie prowadzącym zależało na tem, by więzień mógł dobrze rozejrzeć się w tem, co go otacza.

A było to naprawdę przerażające: długi korytarz, ciągnący się, zda się bez końca, błotnisty, wilgotny, zatęchły, pełen był bezszelestnego ruchu. Co chwila z pod nóg wysuwał się wielki szczur, bijąc Danka mięsistym, gołym ogonem po łydkach, po ścianach łaziły potworne pająki, snując nici pajęcze, które raz po raz plątały się koło rąk, nóg i twarzy chłopca. Nad głową unosiły się gromady nietoperzy, doty-

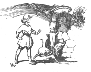

kając głowy i uderzając po policzkach Danka zimnemi błoniastemi skrzydłami i kosmatym tułowiem.

Wszystkie te stworzenia, z natury nie obdarzone miłym wyglądem, tem były wstrętniejsze, iż miały twarze ludzkie o tępym, bezmyślnym wyrazie i stalowych wygasłych oczach.

Ruchy ich szybkie, niespokojne, były jednak wszystkie celowe, zmierzające do wykonywania z góry nakreślonych czynności: szczury nosiły gliniaste błoto do wgłębienia w ścianie korytarza, w której znać było otwór w formie niszy, wysokości wzrostu człowieka. Nisza ta była już prawie całkowicie zamurowana, zapomocą owego gliniastego błota, twardniejącego pod wpływem specjalnego prądu, wytwarzanego przez ciągłe, miarowe machanie skrzydeł nietoperzy i spajane silnie nićmi, wysnuwanemi bezustannie przez pająki.

Obecnie szczury biedziły się, by zasklepić górny otwór...

Danuś, przechodząc właśnie koło tej niszy, zapuścił wzrok w ten otwór, jeszcze nie zamknięty i znieruchomiał ze zgrozy: w otworze widać było białą, jak papier twarzyczkę, okoloną złotemi puklami.

Pracownicy cmentarnego korytarza zadawali sobie trud niełada, by zamurować ten ostatni kawałek, łączący więzioną w niszy istotę ze światem. Zależało im na tem, by jak najszybciej zamknąć ten żywy grób!

— Oto jak giną ci, którzy ośmielają się występować przeciwko Szaremu Władcy! — rozległ się tuż koło naszego chłopca szyderczy głos. — To nie bohaterska śmierć na polu chwały — to powolne męczarnie... i koniec zawsze jednaki!

Danuś ze zgrozą odwrócił oczy lecz z drugiej strony korytarza natknął się na taki sam widok — i dalej cały szereg takich samych nisz, z więzionemi w nich istotami, żywcem zamurowywanemi... Było ich dużo, bardzo dużo! We wszystkich tylko otwory górne były jeszcze nie zasklepione i nad niemi właśnie z takim wysiłkiem pracowali wstrętni grabarze Szarego Władcy.

— Cóż? Jak ci się podoba nasz system więzienny? — mówił ten sam szyderczy głos. — Czy masz chęć tu zostać? Chodź dalej! Jest tam miejsce przygotowane i dla ciebie!

Uciec stąd, wyrwać się w jakikolwiek sposób! Ratunku jakiegoś, pomocy wzywało umęczone serduszko chłopca, niezdolnego wprost wytrzymać dłużej widoku zaciętego okrucieństwa mieszkańców Szarej Krainy.

— Uspokój się i patrz uważnie! — zaszeptała cichuteńko różowa perełka, drżąca i chwiejąca się na piersiach Danusia.

Więc chłopiec, położywszy zimną, jak lód, rączynę na podarku Dobrej Pani, pokrzepiony myślą, że ma przy sobie znak opiekuńczy tamtej drogiej mu, pięknej słonecznej krainy, uspokajając serce kołaczące, jak ptak, złapany w sidła — zatrzymał się, przyglądając się pilnie robocie potwornych stworzeń-ludzi. I oto spostrzegł, iż praca ich, doszedłszy do pewnego punktu, zatrzymywała się nagle... że co jakiś czas mur, tak pracowicie wznoszony, w pewnem miejscu poczynał przeświecać, pękać... Wówczas cała gromada rzuciła się, by go naprawić, lecz Danuś zdołał uchwycić wzrokiem w szczelinie rozstępującego się otworu, — promienne jasne — złote serduszko.

— Ach! — wyrwało mu się z ust. — Więc to Złote Rycerzyki! Więc jednak ciemne moce nie mogą znieść potęgi — Złotego Serduszka.

— Oto miejsce, przygotowane dla Ciebie — bohaterze! Zobaczymy, czy tak odważnie wstąpisz do swego grobu, jak odważnie wystąpiłeś przeciw niezwyciężonemu Naszemu Władcy — drwił ten sam zły głos.

W końcu korytarza mieściła się ostatnia nisza — pusta zupełnie. Tylko przed nią i po jej bokach stały zbite w gromadę olbrzymie szczurzyska, gotowe zacząć budowę — snuły się pająki i poruszały bezszelestnie nietoperze!

XIII. DIAMENTO - GÓRA.

Więc to dla mnie! Ja tu mam ginąć?!

Wzdrygnął się nasz chłopiec, zadrżał... lecz natychmiast przed oczami stanęły mu postacie tych młodziutkich obrońców ojczyzny, mordowanych okrutnie przez dzikiego wroga, przypomniało mu się bohaterstwo żołnierzyków polskich, znoszących najstraszniejsze tortury, z zaciętemi zębami, byle jęku nie wydać! Byle umrzeć, jak na dzielnego Polaka przystało!

— Ha, gdy tak trzeba, jestem gotów! — rzekł nieco drżącym, lecz spokojnym głosem, i postąpił parę kroków, w kierunku okrutnej niszy, gdy wtem — jakaś twarda ręka spoczęła mu ciężko na ramieniu.

— Hola, mały bohaterze! Tacy, jak ty, nie mogą ginąć tak marnie! Inny los ci przeznaczony! — rozległ się koło niego silny choć ponury głos.

Danuś odwrócił główkę i spotkał się z wejrzeniem czarnych oczu, które rzucały wokoło skry i kłuły, jak sztylety. Wielki, wspaniały, stał przed nim szary rycerz w zbroi usianej czarnemi diamentami, o twarzy pięknej zarazem i strasznej, młodej i starej, mądrej, a przebiegłej i złej.

— Szary Władca! — wyszeptał chłopiec.

— Tak, to ja! Wprawdzie wystąpiłeś przeciwko mnie i zasługujesz na najsurowszą karę; lecz że cenię odwagę i męstwo, gotów jestem darować ci winę... Ty zaś sam los sobie zgotujesz dalszy!

Chłopiec patrzył z niepokojem w twarz mocarza, który wypowiedział walkę całemu światu i miał nadzieję zwyciężyć... Tak właśnie, nie inaczej mógł wyglądać Władca—Zła! Potężny być musiał i silny, tak strasznie piękny, zły i okrutny!

— Jestem w twojej mocy, Szary Władco, więc rozkazów Twoich słuchać muszę!—rzekł po chwili, opanowawszy wzruszenie, jakie go ogarnęło na widok tej niezwykłej postaci.

— Nie rozkazywać ci przychodzę—i do niczego zmuszać nie chcę. Sam wybierzesz i zdecydujesz, jakim ma być Twój los! Chmurny pokazał ci to, co z mojej woli znajduje się pod jego kierunkiem i władzą. Zobaczyłeś siłę i potęgę, która zmiażdżyć potrafi każdy opór...

— Okrucieństwo i znęcanie się nad bezbronnymi nie są oznakami siły, a o potędze państwa nie świadczą przepełnione więzienia... W mojej ojczyźnie, w ukochanej przez każdego Polaka Polsce, uczą, iż nie jest prawdziwym Władcą ten, co władzę sprawuje przez gwałt i przemoc! — mówił chłopiec, śmiało patrząc w oczy wspaniałemu rycerzowi.

— W waszej Polsce krzewią się różne głupstwa, rozsiewane obficie przez tę śmieszną krainę, noszącą dziwaczną nazwę krainy Złotego Serduszka! Przebaczam ci jednak te różne niedorzeczności, z jakiemi przyszedłeś do nas, gdyż podoba mi się twoja śmiałość i — odwaga. Doprawdy, szkoda takiego zucha, by miał dla głupich mrzonek ginąć w moich podziemiach. — Chcę cię wyratować, ale zrobić tego nie mogę wbrew twej woli! Widzisz, u mnie swoboda przekonań stoi ponad wszystkiem!

Danuś spojrzał z niedowierzaniem w surową, zaciętą twarz Szarego Władcy: ten tyran, despota mówi o swobodzie przekonań, a przecież dąży wyraźnie, by wszystkich nagiąć do swej woli, nad wszystkiemi i wszystkiem zapanować, zniszczyć, co nie jest jego światem, a na opornych ma straszne katusze, nieludzkie męczarnie!

— Naopowiadali ci o mnie niestworzonych rzeczy i stąd Twoje niedowierzanie! — mówił tymczasem Szary Władca, wyraźnie starając się ująć sobie chłopca. — Ale jesteś za mądrym na to, by wydawać sąd, nie sprawdziwszy sam wszystkiego!

— Wszystko, co słyszałem o tobie, Szary Władco, niczem jest w porównaniu z okrucieństwem, jakie mi na wstępie do twojej Krainy pokazano! — rzekł Danuś.

— Lecz nie widziałeś mojej potęgi i jej źródeł. Gdy je zobaczysz, moje więzienia wydadzą ci się rzeczą naturalną. Kto włada takiemi skarbami, jak ja, musi żelazną ręką trzymać wszystko w karbach, by nic nie uronić, owszem, wciąż przysparzać! Pójdziesz ze mną; pokażę ci, skąd pochodzi moja władza i dokąd sięga! Zobaczysz niezłomne, niewzruszalne fundamenty mego państwa, których nic zburzyć nie jest w stanie!

Mówiąc to, Szary Władca skinął nieznacznie dłonią i natychmiast jedna ze ścian ponurego korytarza rozstąpiła się, tworząc obszerne, wygodne przejście, przez które otwierał się widok na duże obszary, wprawdzie równie ponure i szare, jak wszystko, co się znajdowało w tej krainie, które jednak w porównaniu z podziemnym, wilgotnym, zatęchłym korytarzem wydały się Danusiowi niemal piękne!

Odetchnął też pełną piersią, gdy, idąc posłusznie za Szarym Władcą, znalazł się na otwartej przestrzeni.

— Jakie to dziwne! Opuszczałem się windą dość długo na dół; sądziłem, że jestem co najmniej na kilka pięter pod zienią, a tymczasem zaledwie nikła ściana dzieli to ponure więzienie od żywego świata. Lecz jakim sposobem jedno, nieznaczne skinienie ręki otworzyło tę ścianę. Jestem przekonany, że w murze nie było śladu drzwi—rozmyślał chłopiec. Ale nie znalazł odpowiedzi, gdyż w tej chwili uwagę pochłonął nadciągający z szybkością wichru wehikuł, nieco podobny do samochodu, tylko znacznie krótszy, wyższy i zaopatrzony z boków w rodzaj stalowych skrzydeł, chwilowo złożonych, jak u ptaka podczas spoczynku.

Szary Władca skinął na chłopca, by wsiadł z nim do tego dziwnego aparatu, a Danuś z pewnem zakłopotaniem spoglądał na stalowe pudło, nie mając pojęcia, w jaki sposób można się do niego dostać. W tej chwili jednak poczuł, iż unosi się lekko w górę i bez żadnego ze swej strony wysiłku znalazł się obok Szarego Władcy wewnątrz stalowego jakby pancerza, który natychmiast pomknął z błyskawiczną szybkością naprzód.

Wszystko, co przewijało się w szalonym pędzie przed oczami chłopca, było niezmiennie szare i smutne, jakby do tej krainy nie zaglądało nigdy słońce, co maluje świat nieskończoną ilością barw i świateł. Wraz ze świstem wiatru dolatywały odgłosy, niby warczenie olbrzymich maszyn, huki niezliczonych młotów, hałasy i wrzawa, jakie wydaje z siebie zawsze skupienie ludzi na niewielkiej przestrzeni. Ani razu jednak czułe ucho chłopca nie uchwyciło dźwięku miłego, harmonijnego, ani śladu muzyki czy śpiewu, tylko ogłuszający turkot, huk, trzask i wrzask!

W pewnej chwili pojazd, nie kierowany pozornie przez nikogo — bez szofera, woźnicy, kierownika — zatrzymał się na mgnienie oka. — Oba skrzydła rozwinęły się z chrzęstem i z głośnym turkotem uniosły w górę aparat i podróżnych.

Szalony pęd oszołomił Danusia chwilowo tak, iż nie widział nic wokoło i nie zdawał sobie sprawy z wysokości, na którą wznosił go dziwny aparat — będący jednocześnie niesłychanie szybkim samochodem i posłusznym, z wielką spra-

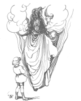

wnością działającym samolotem. Po pewnym dopiero czasie chłopiec oprzytomniał i starał się rozejrzeć i zorjentować w sytuacji. Lecz wzrok jego natknął się zaraz na stalowe, zimne oczy Szarego Władcy, który patrzył na chłopca ironicznie.

— A co? Nieprzyzwyczajony jesteś do podobnej jazdy? Tam u was na ziemi takich rzeczy niema! Wasze przyrządy, w porównaniu z mojemi, to dziecinne zabawki!

Danuś wyprostował się, podniósł główkę i starając się przyjąć obojętną minę, powtórzył spokojnym głosem zasłyszane w gronie swoich najbliższych zdanie:

— Wszystkie te wynalazki nie zbawią świata, gdy w nim nie zapanuje — prawda i sprawiedliwość!

Zdawało się chłopcu, iż Potężny Władca zazgrzytał zębami, usłyszawszy te słowa, lecz w tej chwili aparat drgnął gwałtownie, zatrzymał się, a potem z wielką szybkością opuszczać się począł na dół. Danuś wysłał zaciekawiony wzrok przed siebie, w przestrzeń, jaka się roztaczała poniżej podróżnych, a to, co zobaczył, pochłonęło całkowicie jego uwagę.

Opuszczający się niemal prostopadle, osobliwy statek powietrzny zmierzał wprost ku szczytom gór, wznoszących się ostremi konturami w przestrzeń powietrzną... Wielkie, czarne, ponure rozsiadły się w krąg, jakby straż trzymając wokół wznoszący się między niemi, niższej i mniejszej na objętość, lecz zdającej się być tu panią wszechwładną.

Czarna, jak inne, lśniła przedziwnemi blaskami, rzucającemi refleksy na góry sąsiadki, odbijającemi się jakby ciągłe, niegasnące błyskawice w szarem sklepieniu gęstych chmur, zwisających niby sufit, ruchomy i zmienny nad głowami górskich olbrzymów.

— Diamento-Góra! — oznajmił Szary Władca, a w głowie jego brzmiała bezgraniczna pycha, poczucia własnej potęgi i coś, jakby — miłość, gwałtowna, namiętna. — Diamento-Góra! Mój skarbiec i źródło mej potęgi! Chodź ze mną i patrz... Przysięgam, że na całym świecie niema podobnego cudu!

W tej chwili statek powietrzny zatrzymał się i Szary Władca wraz z Danusiem wyszedł na skalistą platformę, z której wiodły w głąb korytarza, wykutego z czarnego marmuru, wznoszące się wzwyż marmurowe schody.

Szybkiemi, wielkiemi krokami szedł Szary Władca po schodach, a Danuś zaledwie mógł za nim podążyć, wyciągając nogi, by robić jak największe kroki i broń Boże, nie dać po sobie poznać zmęczenia. W tym pośpiechu nie miał nawet czasu przyjrzeć się temu, co mijał, choć pobieżnie rzucane spojrzenia napotykały wciąż coś nowego i niezwykłego. Lecz Szary Władca nie pozwolił się przyjrzeć niczemu, jakby chciał olśnić swego towarzysza niespodziewanie ukazanym mu widokiem.

I rzeczywiście, gdy z ostatnim stopniem skończył się korytarz, Szary Władca ujął twardą dłonią ramię chłopca i wciągnął go na taras, mieszczący się na samym szczycie.

— Patrz!

Przed zdumionemi oczami chłopca otwierał się widok zaiste niezwykły. Wokół sterczały złomy, usiane przepysznemi czarnemi diamentami, niebywałej wielkości, z których biły oślepiające blaski, rzucające smugi świetlne na spiedrzie góry i oblewające je światłem, nie mogącem się równać ani z blaskiem słońca, ani ze sztucznem światłem lamp elektrycznych — jakieś inne było to światło, ponure, smutne a dziwnie przenikliwe i aż bolesne.

— To moje słońce! — triumfalnie mówił Szary Władca. — Jam go stworzył i ja go zasilam wciąż nową mocą. Zastępuje mi ono wasze słońce, od którego jesteście zależni, kapryśne, samowolne, nie słuchające nikogo, trzymające pod swoją władzą wszystko i wszystkich! Tem ja rządzę i kieruję, jak mi się podoba! Głupią jasność waszego słońca zaćmiłem mojemi chmurami, które nie przepuszczają ani jednego promyka.

— Więc dlatego u ciebie tak szaro i ponuro! — rzekł Danuś, nie mogąc jeszcze oswoić się z dziwnem światłem, promieniującem z Diamento-Góry.

— Czyż nie widzisz, iż tu fabrykuję tyle światła, ile tylko mieć pragnę?

— Ale ono nie daje ciepła, nie tworzy życia!

Szary Władca zaśmiał się szyderczo.

— Ciepło fabrykuję gdzieindziej i mam go dosyć, by udzielić życia tym roślinom, które mi są potrzebne. Wszystko, co zechcę, stwarzam sam zapomocą skarbów, nagromadzonych w moim skarbcu. Cały ten świat, roztaczający się pod i przed nami, to moje dzieło i pod moją jest władzą. Spójrz! Z tego szczytu, choć nie jest najwyższy, obejrzeć możesz wszystko!

Szarym płaszczem zatoczył krąg i natychmiast przed oszołomionym chłopcem roztoczył się nowy widok: kamienne ściany gór stały się przezroczyste, jak szkło i widać było przez nie wnętrza, przedstawiające oddzielne jakby ule ludzkie, będące w nieustannym ruchu, bez chwili wytchnienia poruszające nieskończone kółka olbrzymich maszyn.

— Tu się wyrabia ciepło, zastępujące ciepło słoneczne. Patrz! Złomy czarnych diamentów, rozbijane olbrzymiemi młotami, wytwarzają żar, który zostaje rozprowadzony rurami po całem mojem państwie. Specjalni ludzie wymierzają gdzie i ile trzeba ciepła, i tam go doprowadzają. O, patrz! Ten młot rozpala się do czerwoności...

— Ach!—ludzie, którzy go trzymają, padają! Widocznie poparzyli się! — krzyknął Danuś.

— To nic! Mam na ich miejsce innych! A tam kują broń dla moich wojowników. Dalej fabrykują nici, któremi opasany jest cały mój kraj. Służą one do chwytania wszelkich odgłosów i do sprowadzania ich w jedno miejsce. — U was są nędzne telefony, telegrafy bez drutu, ale o tem urządzeniu ani się ludziom śni jeszcze... Każdy z tych warsztatów,— to nadzwyczajny wynalazek, który mi zabezpiecza władzę nad światem. Przez nie zmiażdżę wszystkich i wszystko, co mi stanie na drodze!

Danuś patrzył, słuchał i było mu coraz ciężej, coraz smutniej, coraz rozpaczliwiej!

Szary Władca, w rozwianym płaszczu na szczycie góry, będącej zbiorowiskiem bajecznych skarbów, wydawał mu się jakąś potęgą nie do zwyciężenia,—potęgą, która zdolna jest wszystko przytłoczyć, powalić... Pełen był pychy bez granic i uwielbienia dla samego siebie!

Diamenty, wielkie, bezcenne diamenty, olśniewające, płonące ponurym blaskiem, słały się u stóp Szarego Władcy, jak niewzruszone, twarde fundamenty jego siły, — wierne, pokorne oddane służki jego zamysłów!

XIV. POKUSA.

Ty jeden widzisz te cuda, które przed tobą otworzyłem. Ty jeden możesz poznać tajemnice mego potężnego państwa! — mówił Szary Władca, śledząc bacznie uczucia, które się malowały na twarzy chłopca. — Ty, mój więzień, skazany za swe śmiałe przestępstwo na karę okrutną! Prawa mojej krainy nie znają litości dla tych, którzy granice Szarego państwa przekraczają we wrogich zamiarach. Lecz prawo nie może dosięgnąć tego, kto stoi u mego boku! Chcę cię ocalić, wyrwać prawu, które nie ma wyjątków!

— Wdzięczny Ci jestem za to, o Panie! Lecz dziwi mnie, że zajmujesz się moją nic nie znaczącą osobą... Cóż ja znaczę wobec twojej potęgi bezgranicznej? — mówił szczerze Danuś, czując się wobec tego wszystkiego, co się snuło przed nim, bezsilnym, słabym, bez żadnego znaczenia, nie zdolnym zaważyć nic na szalach walki z tym potężnym światem. Uczucie to chwytał chciwie Szary Władca i błyski triumfu zamigotały w stalowych oczach.

— W moich rękach wszystko nabiera potęgi i mocy! I ty staniesz się wielkim i potężnym, gdy zechcę! A chcę tego, bo mi się podobałeś! Stań przy moim boku a razem zawojujemy świat!

— Dziwne to! Tyś przecie taki wielki, a ja, co mogę? Dzieckiem jestem i nie mam nic, ale to nic, coby się przydało tak potężnemu władcy. Więc czemu mam przypisać twoją łaskawość? — pytał chłopiec, patrząc badawczo w stalowe oczy.

Po bladej twarzy przemknęły, jak błyskawica, blaski jakieś, nadające jej przez chwilę wyraz zły i okrutny. Ale zaraz zgasły i zagościła na niej znowu nieugięta siła i duma!

— Powiedziałem: podobałeś mi się! Widzisz, istoty wielkie są zwykle samotne! I ja nim jestem! Pełno koło mnie służalców, niewolników. Lecz chciałbym mieć — przyjaciela!

Niech cię nie dziwi, że wybieram ciebie, małego, jak powiadasz i bez znaczenia! Mam władzę, by zrobić cię prawie równym sobie! Zrobię cię panem Diamento-Góry! Szafarzem skarbów tu nagromadzonych!

— Jakto? I mógłbym tem wszystkiem rozporządzać? Tak, jakbym chciał? — ze zdumieniem pytał chłopiec.

— Naturalnie! Byłbyś tu panem wszechwładnym! Mógłbyś rozdawać te skarby, rozrzucać... jakbyś tylko zechciał...

— Czy i na ziemię, ludziom — mógłbym je dawać? — coraz niepewniej zadawał pytania Danuś.

W głowie mu się mąciło: tyle bogactw, tyle skarbów! Rzucić to wszystko, oddać Polsce! Ach! Jaką bogatą byłaby jego Ojczyzna!

Lecz ten Szary Władca jest złym i okrutnym! Czyż więc jest możliwe, aby z jego rąk wyszło coś dobrego? A może, może nie jest on taki zły?... Może tylko go nie rozumieją — może jest — oczerniany niesłusznie?

Podniósł błękitne oczęta, obejmując niemi postać Szarego Władcy, który stał przed nim wyprostowany, dumny, silny i wspaniały! Z pięknych rysów twarzy znikł wyraz okrucieństwa i złości, oczy patrzyły z dumą na roztaczający się przed nim świat, na ustach wykwitł uśmiech.

Danuś patrzył zdumiony, zaledwie mogąc poznać w tej pięknej postaci nieubłaganego wroga krainy Złotego Serduszka. Zrodziły się w nim wątpliwości... ogarnęła niepewność...

— Kim właściwie jesteś? — zapytał drżącym głosem.

— Tym, który jest wszędzie... Przenikam do najodleglejszych zakątków, zjawiam się tam, gdzie mnie się zupełnie nie spodziewają, sprawuję władzę nad wszystkimi: zarówno nad tymi, którzy mi służą, jak nad tymi, którzy się mnie wypierają. Zdobywam serca i dusze, i z nich wykuwam potęgę, z którą nic zrównać się nie może... Moją jest większa część świata a będzie niezadługo moim — świat cały!

Potężnie i wspaniale brzmiał jego głos, odbijał się od skał, wznosił się ku górze i opadał w dół, przenikając do najcianiejszych zaułków. Przez chwil kilka zagłuszał wszystkie inne odgłosy, królując niepodzielnie nad olbrzymiemi obszarami, roztaczającemi się u stóp dumnego Władcy. Zda się, iż wszystko zamarło, wsłuchując się w ten głos, zaprzestało na chwilę wszelkich wysiłków, wszelkiej pracy.

Jest wszędzie.... przenika wszędzie... Dobra Pani mówiła, to samo... I głos jej był także potężny i słuchali go wszyscy w takiem samem milczeniu...

— Gdy staniesz się moim przyjacielem — dowiesz się całej prawdy.... Nie wszystko to, co się wydaje pięknem, jest takiem wistocie... Czyż możesz wiedzieć, czy wszystko to, co ci o mnie mówili moi wrogowie, jest prawdą? Lecz prawdą jest to, na co w tej chwili patrzysz, co masz przed oczami... prawdą jest moja potęga i moje bogactwo... I tem chcę się podzielić z tobą, gdy staniesz przy mnie...

— A czego żądasz wzamian ode mnie? — zapytał Danuś, coraz bardziej niezdecydowany i niepewny.

— Ach, bagatelki! Rzuć to, co ci przeszkadza widzieć mnie takim, jakim jestem wistocie! Rzuć ten zaczarowany kamyk, zawieszony na twej szyi! A potem...

— Nigdy! — wykrzyknął Danuś, przyciskając drżącą ręką dar Dobrej Pani. — Nigdy! — powtórzył i poczuł nagle, iż z nikłej, skromniutkiej perełki spływa na niego moc i siła.

Twarz Szarego Władcy skurczyła się, tworząc wielkie bruzdy, oczy zapadły w głąb i jakby z jam czarnych połyskiwały dziko. Stał się nagle odrażającym i strasznym! Aż Danuś, spojrzawszy nań, cofnął się przestraszony. Lecz Szary Władca, opanowawszy gniew, przybrał znów swą dawną, piękną postać i ująwszy chłopca za ramię, poprowadził go na sam brzeg tarasu.

— Spojrzyj w dół! — rozkazał.

A gdy Danuś, spełniając nakaz, opuścił wzrok, przed oczami jego zajaśniały nagle rozległe, jasne przestrzenie, złocące się łanami pszenicznemi, zieleniejące szmaragdem łąk, siniejące linjami ciemnych borów, szumiące spławnemi rzekami, poprzeplatane pięknemi miastami, ze strzelistemi wieżycami kościołów, schludnemi wioskami o słomianych strzechach i biało bielonych ścianach, poprzerzynane drogami, przez które biegły w nieustannym trudzie sapiące lokomotywy, ciągnące nieskończone wagony za sobą... A po tych przestrzeniach snuły się, jak pracowite mrówki, tłumy ludzkie, zabiegliwe, pracowite, ciche... zdejmujące kornie czapki przed przydrożnemi krzyżami, raz po raz chylące swe utrudzone czoła na progach świątyń...

Poznał chłopiec te przestrzenie, jedyne w świecie, najmilsze, najukochańsze; ogarnął je wzrokiem miłosnym, wyciągnął ramiona w nieukojonej tęsknocie, szepcąc, jak słowa modlitwy:

— O, Polsko! Ojczyzno moja najdroższa!

— Patrz! Żyzne pola w większej części leżą odłogiem... nieuprawne... Wioski zniszczone wojną, popalone — i nie odbudowane... Wielkie fabryki nieczynne... A ludzie... ludzie... widzisz ilu ich boso chodzi, obdarci, głodni, niezadowoleni... jak łatwo trafić do nich mogą podszepty wrogów twej Polski... A tam żołnierze... dzielne serca w ich piersiach biją, to prawda. Lecz brak im wszystkiego — ciepłej odzieży, pożywnej strawy, broni, naboi... Jakże łatwo wróg potężny, bogaty i zasobny we wszystko zmóc ich może... Spójrz! Oto rzucam jeden z moich kamieni... Widzisz, co się dzieje? Tysiące, dziesiątki, setki tysięcy rąk wyciąga się do niego... biją się, brat brata odpycha... gotowi są mordować się... Gdybyś ty był szafarzem tych skarbów, gdybyś dał Polsce wszystkie te bogactwa — stałaby się potężną i niezwyciężoną... W odbudowanych wioskach zamieszkaliby ludzie syci i zadowoleni, nie byłoby kawałka ziemi, któraby nie dawała bogatych plonów, nie byłoby niezadowolonych, głodnych, bezdomnych...

Cóż twój nędzny klejnocik znaczy wobec moich skarbów? I czy godzi się odtrącać możność uszczęśliwienia twej

Ojczyzny, którą tak kochasz... Twoich współbraci, cierpiących nędzę, głód?...

Gdy mi odmówisz, oddam władzę nad Diamento-Górą Chmurnemu. On nienawidzi ludzi... więc rzucać im będzie, tak, jak ja przed chwilą, okruchy skarbów, które, miast szczęście im dawać, wzniecać będą ustawiczne kłótnie, waśnie, bójki... W pogoni za temi rzadkiemi klejnotami, twoi bracia zatracać będą serca, sumienia, życie może... A Polska, nękana niedostatkiem, cierpieć i ginąć będzie!

Chłopiec słuchał słów, zapadających mu do mózgu i serca, słuchał i patrzył na swą ukochaną Polskę, której swem dziecięcem sercem ślubował tyle razy wierną służbę! Życie dla niej dać — to jego prawo i obowiązek — każdy czyn, każdą myśl jej poświęcić — tego każda polska matka uczy swoje dziecko... Wyratować umiłowaną z niedoli, ach, to szczęście o jakiem marzyć nawet trudno.

Więc czemuż na usta chłopca wybiec nie może słowo zgody? Czemu ręka nie sięga po drżącą na piersiach perełkę, by ją rzucić pod nogi Szarego Władcy, wzamian za jego skarby?

— Wybieraj! — nalegał Szary Władca, stalowemi oczami i całą swą postawą rozkazując chłopcu. — Wybieraj: czy dać Twej Ojczyźnie szczęście — czy ginąć zdala od niej, bez żadnego dla niej pożytku?

Co robić? Na co się zdecydować? Kogo się poradzić? Zapytać?

— Wybieraj! — groźnie już zagrzmiał nad chłopcem głos Szarego Władcy.

Czarne diamenty błyszczały, migotały, rozsiewając wokoło blaski, które wpadały do duszy chłopca palącemi promieniami, sprawiając mu ból i udrękę... Ciągnęły ku sobie i odpychały zarazem... Skąd się tu wzięły? Skąd powstały? Jakiemi sposobami zgromadził je w swych rękach Szary Władca?

— Jeżeli się zgadzasz — rzuć swoją perłę, a natychmiast zrobię cię jedynym panem Diamento-Góry! — kusił Szary

Władca, płomiennym wzrokiem obejmując drżącą postać chłopca, którego dłoń bezwiednie podniosła się do klejnocika, zawieszonego na jego szyi przez Dobrą Panią...

Łezka Alusi, łezka współczucia i miłości dla bohaterskich dzieci lwowskich, zamieniona w perełkę, zaświeciła jasno, zamigotała... Czyż ręka Danusia zgasi ją, zniszczy?

— Rzuć ją prędzej! — nalegał Szary Władca, a twarz jego drżała niecierpliwością i tłumionym przemocą gniewem, który, jak burza, nadciągał już z jego porywczego, okrutnego serca.

— Zanim rzucę moją perłę, muszę wiedzieć, czem są twoje diamenty? — spytał chłopiec, podnosząc jasny wzrok na Szarego Władcę.

— Są one mojem dziełem. Widzisz te tłumy szarych moich niewolników, którzy dniem i nocą zbierają na ziemi serca, opanowane przez złość, zawiść, podłość! Przetapiam je, hartuję w wielkiej mojej kuźni — i dobywam z nich siłę, potrzebną dla moich celów... Nie zbraknie mi ich dotąd, dopóki na ziemi gości złość, zawiść, krzywda, podłość i inne uczucia, które z nich powstają... A im więcej ich będzie na ziemi, tem większą będzie moja potęga!

— Ach, więc skarby twe z takiego źródła pochodzą! — wykrzyknął Danuś — I takie to bogactwo miałbym nieść w darze mojej Polsce! O, nigdy! Prawdy, sprawiedliwości, miłości potrzebuje moja ojczyzna, a nie twoich skarbów, zrodzonych ze złości i nienawiści! Nigdy, słyszysz, nigdy, jednego dobrego uczucia nie poświęcę dla największego bogactwa! — z mocą mówił chłopiec.

Twarz Szarego Władcy stała się jak popiół — oczy rzucały błyskawice... Zewsząd nadciągnęły nagle czarne chmury i otoczyły go wieńcem, tworząc z nim jakby jedną całość.

— Odmawiasz? — krzyknął, a głos jego brzmiał, jak grom.

— Tak! — spokojnie odparł chłopiec.

— Więc zginiesz okrutnie!

— Jestem gotów! — brzmiała spokojna odpowiedź, choć małe serduszko kołatało w piersi, jak ptaszę, schwytane w sidła.

Co się później stało, z tego zaledwie sobie mógł chłopiec zdać sprawę. Po jego odpowiedzi straszny hałas zapanował wokoło: huczał, niby huragan wściekły głos Szarego Władcy, wtórowały mu grzmoty i akompanjowały dolatujące zdala jęki i wrzaski.

W pewnej chwili poczuł Danuś, iż jakieś potężne ramię chwyta go, unosi, a potem z całej siły rzuca w dół...

Począł zlatywać z zawrotną szybkością...

XV. ZBUDZONE SERCE.

Ginę... Lecę w przepaść! — przebiegło, niby błyskawica, przez głowę chłopca i zaraz potem przesunęły się w mgnieniu oka obrazy twarzy ukochanych, najbliższych — cudnej polskiej ziemi — wojska walczącego... Złoty Królewicz... okrutne więzienie...

Nagle, właśnie w chwili gdy Danuś spodziewał się miażdżącego upadku, zatrzymał się i poczuł pod nogami błotnisty, lepki grunt; owiało go zimne, zatęchłe, powietrze...

— Gdzie jestem?

Wokoło niego było zupełnie ciemno, a gdy wyciągnął ręce, dotknął lodowatych, ociekających wilgocią ścian... W pewnej chwili gdzieś w pobliżu rozległ się niby jęk, niby szlochanie.

— Ach! Więc jestem w więzieniu — w celi, przeznaczonej dla mnie... U wejścia stoją potworne szczury i rozpoczną natychmiast swą okrutną robotę... Niezadługo oddzieli mnie od całego świata żyjącego twardy, nieprzebyty mur — żywy grób... Ha, trudno! Ileż to razy polscy rycerze ginęli w męczarniach najstraszniejszych... Każdy prawy polak zawsze przełoży śmierć, choćby najokrutniejszą, nad zdradę. A czyż nie popełniłbym zdrady, gdybym przyjął propozycję Szarego Władcy? — rozmyślał chłopiec, krzepiąc się, jak mógł, choć przejmowała go groza, a serduszko ściskało się boleśnie.

Gdy nagle... o nogi jego otarło się jakieś włochate stworzenie a ręki dotknęło coś miękkiego, zimnego.

Chłopiec wzdrygnął się z obrzydzeniem.

— Szczury... nietoperze... Ach! to będą jedyni moi towarzysze... do czasu, gdy wogóle nikt mi w mym grobie towarzyszyć nie będzie!

— Danusiu! Drogi, jedyny chłopcze!

Co to jest? Kto go woła! Czyżby to jego wierni towarzysze? Bimbuś? Misiołatek? Nie, to niemożliwe! Skądby się tu wzięli?

— Jesteś więc z nami! Szary okrutnik nie zatruł Twej duszy! Nie przekupił cię zwodnemi obietnicami!—mówił tymczasem głos Bimbusia, gdy kudłaty niedźwiadek tulił swój łeb, mokry od łez, do kolan chłopca, pomrukując nabrzmiałym łzami głosem:

— Drogi chłopcze! Mój ty jedyny!

Nie ulegało żadnej wątpliwości: wierni towarzysze znaleźli się koło chłopca w najcięższej godzinie, ich oddane serca pośpieszyły, by krzepić znękaną duszyczkę Danusia.

— Bimbuś! Misiołatek! przyjaciele drodzy!? O, jakże się cieszę, że tu jesteście!—mówił chłopiec, obejmując serdecznie obydwóch. — Lecz jakim sposobem mnie znaleźliście? Skąd się tu wzięliście?

Pajacyk, wycałowawszy chłopca z wielkiej radości na wszystkie boki, w krótkich słowach opowiedział mu o przygodach swoich i Misiołatka, i o dziwnej przepowiedni.

— Z tego, że jesteś w tej celi można wnioskować, że Szary Czarownik nie zmógł cię! A więc wedle przepowiedni, chwila oswobodzenia Królewicza Złotego Serduszka jest bliska! — kończył opowiadanie.

— Chwała Bogu! Milej żołnierzowi umierać, gdy wie, że śmierć jego nie pójdzie na marne! — z westchnieniem ulgi rzekł Danuś. — Ale słuchajcie! Mnie niezadługo zamurują: o, widzicie, jak w ciemnościach uwijają się szczury, znosząc materjał na mur... Niektóre już rozpoczęły robotę... Jeżeli zo-

staniecie tu dłużej, czeka was ten sam los, co mnie. Uciekajcie więc, póki czas!

— Nigdy! — zawołali razem niedźwiadek i pajacyk. — Nigdy! Nie opuścimy przyjaciela w nieszczęściu! Zginiemy razem z Tobą!

— Jesteście dzielni i wierni towarzysze! Dzięki wam za szczere chęci! Lecz ofiary przyjąć nie mogę! Musicie wyjść stąd i uciekać jaknajspieszniej!

— Nie! Tego nie zrobimy! Postanowiliśmy podzielić los twój!

— To byłoby nierozsądne! Jedna ofiara, wedle przepowiedni, wystarcza, by uratować Królewicza... Nie trzeba naprożno tracić życia... Przytem, mam do was prośbę! Musicie wrócić na ziemię... Tam moja mateczka martwi się o mnie. Niechaj osłodą jej będzie wieść, iż syn jej zginął w sprawie słusznej i sprawiedliwej!

— O, Danusiu! Jak możesz żądać, byśmy cię opuścili w tej chwili? — zapłakał Bimbuś.

— Nie! Nie! Ja zostanę z Tobą! Nic po mnie bez ciebie. Pozwól mi zostać! — błagał Misiołatek.

Od pewnej chwili jeden z olbrzymich szczurów, stojący niby na warcie przy wejściu do celi, zwróciwszy swą potworną głowę w stronę rozmawiających, spoglądał na nich swemi bezmyślnemi, wyłupiastemi oczami i zdawał się przysłuchiwać temu, co mówią; z początku jakby zdziwiony, potem zaniepokojony. W miarę, jak biegły słowa, pełne przywiązania i poświęcenia coś, niby światełko świadomości zamigotało w bezmyślnych oczach. Straszna szara twarz ludzka, tkwiąca w szczurzym łbie, straciła wyraz martwoty: odbijał się na niej wielki wysiłek i niesłychana męka.

Bezwiednie wsunął się potworny szczur głębiej w niszę, przysuwając łeb coraz bliżej, by nie uronić ani jednego wyrazu.

— Przyjaciele moi! Nie osłabiajcie we mnie serca! Opuśćcie mnie i wracajcie na ziemię. Stokroć lżej mi będzie z myślą, iż moja nadroższa mateczka przez was otrzyma moje ostatnie słowa. Zanieście jej odemnie ten pocałunek!

To mówiąc, Danuś nachylił się i przytuliwszy swą pobladłą twarzyczkę do kudłatego łba niedźwiadka, drżącemi usteczkami złożył na niej pocałunek a z błękitnych oczu potoczyły się, niby dwa brylanty, dwie czyste łzy; spłynęły po burym futrze i padły na nadstawiony, zasłuchany łeb szczura!

Westchnienie niezmiernej ulgi wyrwało się z gardła potwornego stworzenia, oczy rozbłysły ludzkim blaskiem.

— Dzięki ci, wybawicielu! — zawołał szczur, wyciągając złożone, jak do modlitwy, łapy do zdumionego chłopca. — Szlachetne uczucia, które przepełniają twoje dziecięce serduszko, przełamały zaklęcie Szarego Władcy, który za karę, iż chciałem wyzwolić się pod z jego władzy, odebrał mi myśl i czucie; zmieniając w bezdusznego potwornego niewolnika! — Lecz nie ustawaj w pracy! Wyzwoliłeś mnie, wyzwolić możesz i innych! Tylko nie trać czasu!

— Cóż mogę zrobić, gdy jestem więźniem, który za czas jakiś będzie zamurowany, a więc obezwładniony zupełnie? — rzekł Danuś smutnie.

— Straż, pilnująca twej celi, jest bezmyślna i głupia. Kazali jej pilnować, by ktoś był w celi — a was jest tu trzech!

Gdy jeden zostanie — dwóch może wymknąć się swobodnie! — podpowiadał szczur.

— A gdy wyjdę stąd, zdołamże wybawić innych od ich cierpień? — z nadzieją w głosie pytał chłopiec.

— Jeżeli ci starczy odwagi — tak!

W tej chwili wielki korytarz więzienny wypełnił się niebywałą wrzawą, jakby straszna nawałnica z piorunami grzmotami, wpadła tu i hulała. Wyły i świszczały wichry, zawodząc i jęcząc, raz po raz rozlegał się huk, jakby całe góry rozpadały się i toczyły swe wielkie głazy w przepaście, rozlegały się okrutne chichoty, wrzaski i okrzyki bojowe, a ponad wszystko huczał straszny, przenikający wszędzie potężny głos, mrożący krew w żyłach.

— Śmierć Jasnemu Więźniowi!

— Śpiesz, na Boga! Przyszła godzina, w której Królewicz Złote Serduszko zostanie uratowany, lub — zwycięży Szary Władca. Naprzód! Bóg z tobą!

XVI. WALKA.

Danuś wypchnięty ze swego więzienia, znalazł się w samym środku szalejącej nawałnicy. Otoczyły go zupełne ciemności, porywał co chwila jakiś prąd huraganowy, niosący wciąż nowe rozkazy.

— Zamurować natychmiast ostatniego więźnia! — brzmiał rozkaz.

— Śpiesz ciągle naprzód! — rozlegał się koło chłopca szept.

— Wszystkie hufce w stronę więzienia Królewicza! — rozkazywał znów ktoś.

Danusia opuściła zupełnie obawa i przygnębienie. Bohaterska odwaga, nieodłączna towarzyszka żołnierza polskiego w czasie walki, opanowała go całkowicie.

— Bóg i Ojczyzna! — krzyknął z zapałem i rzucił się naprzód.

Cóż że broni niema, cóż że wróg po tysiąckroć silniejszy? Z nim jest zapał, który stwarza cuda, z nim słuszna sprawa, z nim myśl szlachetna i serce prawe!..

Ciemno wciąż wokoło, czarno: huczy piekielna wrzawa, ryczą wojenne rozkazy, walą się i grzmią gromy, lecz już gdzieś błyska coś niby światełko, jakieś odgłosy powstają, niby chrzęst skrzydeł husarskich, niby dźwięk szabli polskiej, wiernej przyjaciółki żołnierzyka...

W tej chwili tuż przed chłopcem z ogłuszającym łoskotem padł głaz wielki i rozpadł się na niezliczone części, podnosząc w górę olbrzymi słup kurzawy,—za nim jedne po drugim pękały inne na wszystkie strony, straszne groźne, ziejące śmiercią.

Lecz to nie straszyło chłopca, mogła groza ścinać mu serduszko na widok okrutnego więzienia, lecz wrzawa wojenna, toć to nie nowina dla dziecka polskiej ojczyzny, którą bronią tylko piersi jej wiernych synów!

Więc biegł naprzód, roztrącając wszystko po drodze, krwawiąc stopy o ostre kamienie, paląc ręce rozpalonemi odłamkami głazów, przyjmując i oddając razy od niewidzialnych nieprzyjaciół..

Ktoś dał mu w rękę jego szabelkę—w drugą karabinek—a koło niego biegło wielu innych żołnierzy—przyjaciół, lecz ciemności nie pozwalały ich rozpoznać.

Ach! Podstępny wróg podciął mu nogi—padł.. Niemoc go ogarnęła, lecz na chwilę tylko! Zrywa się zaraz, bo w sercu woła mu głos:

— Ratować prawdę! Ratować dobro! Ratować światło! I biegnie dalej, poraniony, zakrwawiony, śmiertelnie już znużony.

Oto wznosi się przed nim mur szary, twardy, zda się nieprzebyty. Za nim błyska coraz silniej światło.

Zwalić tę zaporę!

Rozmachnął się z całej siły kolbą—uderza raz, drugi, trzeci.. Ramię omdlewa, lecz nic to! Ściana poczyna pękać, two-

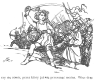

rzy się otwór, przez który już się przesunąć można. Więc drąc w strzępy ubranie, szarpiąc skórę, przedziera się... A przed nim nowy mur! Nowy wysiłek!

Światło coraz silniejsze, bliższe sił mu dodaje. Lecz ataki wroga podwajają się, wściekłość wzmaga się z każdą chwilą. Wprawdzie chłopiec widzi już dokładnie, że nie jest sam; walczą z nim, koło niego postacie znane i ukochane. Walczą praojcowie w skóry odziani, z łukami w rękach, zbrojni rycerze od stóp do stóp zbroją okryci, z ciężkiemi mieczami w dłoniach, migają ułańskie czapki ukochanego księcia, obok krótkie kożuszki, pasami przepasane i rogatywki powstańcze, błękitnieją to znów szarzeją skromne mundury żołnierza Wyzwolonej, Niepodległej Polski...

Lecz nawała wraża, ach! jak bardzo przerasta ich liczebnością! A w pomoc im przychodzą rozpętane żywioły, wojują z niemi ciemności, które nie pozwalają przeniknąć wroga.

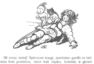

Sił coraz mniej! Spieczone wargi, zaschnięte gardło ze świstem łowi powietrze, serce wali ciężko, boleśnie, w głowie huczy, szumi...

— Wytrwaj!—szepce głos jakiś. — Z tobą słuszna sprawa!

— Wytrwać! Wytrwać! — z twardym uporem powtarza chłopiec i biegnie wciąż naprzód, na pół przytomny, na pół żywy, rozwala wciąż nowe zapory i coraz, coraz bliżej jest światła!

Lecz okrutny pocisk dosięga go, powala na ziemię — rani, rozszarpuje ręce, nogi. Powstać nie podobna, więc czołga się z niesłychanym wysiłkiem...

Coraz silniejsze światło razi czarne hufce, które cofają się ze strasznym wrzaskiem i rykiem, śląc za czołgającym się z największym wysiłkiem, wciąż nowe pociski.

Koło chłopca niema już nikogo: zginęli wszyscy czy opuścili go?

— Gdy mnie zabiją, kto oswobodzi królewicza? — drga niespokojne pytanie i dodaje sił zamierającemu sercu.

Lecz coraz trudniej poruszać się: krew uchodzi, oczy pokrywa mgła: chyba przyjdzie zamrzeć, nie doszedłszy do celu.

— Polsce trzeba dobra, prawdy, sprawiedliwości, światła! — brzmią, niby dalekie echo słowa, które tak często chłopiec słyszał z ust ukochanych.

A dobro, sprawiedliwość, prawda, światło, słońce, więzione przez potężnego wroga, ma zginąć bez pomocy? Nie! Nie! Jeszcze kilka wysiłków! Jeszcze trochę! Jeszcze chwila!

Nieszczęście! Nowy mur wznosi się przed chłopcem! Czyż zdoła go przebyć, poraniony śmiertelnie, omdlewający z bólu i znużenia żołnierzyk - dziecko?

Unosi złotą główkę; błękitne oczęta zachodzą mgłą łzawą. A tam z za ostatniego muru biegną przepiękne promienie złociste, jasne, ożywcze, spływają ku błękitnym źrenicom, niosąc wizję jasnej, słodkiej postaci.

— Trzeba, synku — dla Polski! — szepcą usta.

I chłopiec podnosi się; niezdolny unieść w górę karabina, rzuca się ostatnim wysiłkiem, ciężarem własnego ciała przebija mur i pada... lecz już po tamtej stronie!

XVII. ZWYCIĘSTWO ŚWIATŁA.

Gdy padła ostatnia zapora, wiążąca królewicza Złote Serduszko, strzeliły zewsząd przejasne promienie, zalewając przestrzenie, dotąd szare, ciemne, zimne.

Z trzaskiem kruszyć i padać poczęły zapory, któremi Szary Władca odgrodzić chciał życiodajne światło, by go nie dopuścić do swej krainy mroków i cieni.

Pieśń radosna, weselna rozbrzmiała naokół przepiękną pieśnią wszystkich tworów, powracających do życia pod tchnieniem słonecznym.

Z jaskini, podziemi, nor i więzień występowały postacie wybladłe, wynędzniałe, nieśmiałe, niepewne i zatrwożone. Jedne chowały się znów po norach, inne usiłowały wznieść swe oczy, niezdolne do życia w świetle, ku życiodajnym promieniom.

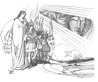

Przepięknemu hymnowi życia towarzyszyły trwożliwe szepty i jęki:

— Co z nami będzie? Gdzie się podziejemy? Czemu opuścił nas nasz Pan i Władca? Och, okrutną będzie zemsta zdradzonego przez nas Królewicza! Co robić mamy? Gdzie się skryć?

— Kto z was pragnie żyć w świetle, prawdzie i sprawiedliwości, niechaj przyjdzie do mnie!—rozległ się słodki głos, wznoszący się ponad pieśń radosną, przenikający w najgłębsze podziemia i najciemniejsze nory.

Promienny, jaśniejący pięknością, ukazał się wyzwolony z pęt Szarego Władcy królewicz Złote Serduszko, wyciągając miłośnie ramiona do drżących, zestrachanych, nieufnych tłumów.

Uśmiechnięta słodko, szczęśliwa, pełna miłości stała przy nim Dobra Pani, promiennym wzrokiem dodając odwagi zbłąkanym, oniemielonym mieszkańcom szarej krainy.

Huf Złotych rycerzy, jasnych, zapatrzonych radośnie w królewicza, rósł z każdą chwilą, śpiesząc z okrutnych więzień do swego ukochanego pana.

Szare twarze rozjaśniały się, udręczone oczy nabierały blasku, pękały więzy, łączące szare tłumy z ich tyranem, i oto buchnęła z tysięcy piersi wielka potężna pieśń wyzwolenia!

Opętane, obałamucone przez Szarego Władcę serca wracały do krainy dobra i słońca!

XVIII. RYCERZ ZŁOTEGO SERDUSZKA.

Zapatrzony w te cuda, Danuś leżał na miękkiej murawie, brocząc obficie krwią. Obok niego klęczał Bimbuś, starając się nieudarnie opatrywać rany, przykładając do nich zimne, świeże liście. Z drugiej strony Misiołatek lizał opadające bezwładnie, blade ręce chłopca.

— Taki jestem szczęśliwy! — szepnął blademi usteczkami chłopiec. — Patrzcie! Ciemna, straszna i okrutna kraina, gdzie rodziło się i lęgło zło, zmieniła się w cudny kraj słońca i światła! Nie będzie już knowań podstępnych, zdrady, okrucieństwa! Nie będzie krzywdy, zawiści, nikczemności!

— Ach! Co mi z tego, gdy ty od nas odchodzisz! — jęczał Bimbuś, nie mogąc powstrzymać łez, płynących ciurkiem po dużej twarzy.

— Nie mów tak! Cóż ja?! Głupstwo! Tyla jest innych! A wrogów pokonaliśmy! Ach, gdyby tak jeszcze można było zobaczyć mateńkę!

W tej chwili jasność wielka spłynęła na chłopca i jego towarzyszów, i nagle otoczył ich jasny huf Złotych Rycerzyków, wiodących Królewicza. Lekkim krokiem, niby płynąc zbliżała się wraz z niemi Dobra Pani.

— Tyżeś jest moim zbawcą? — zapytał Królewicz, uśmiechając się serdecznie do chłopca.

— Ach! Sam w to wierzyć nie mogę! Gdzieżbym ja tak wielkiej rzeczy mógł dokonać? — szepnął słabiutkim głosem Danuś, nie mogąc oderwać oczu od promiennej postaci.

— Twe miłujące serce wiodło cię do zwycięstwa — rozległ się słodki głos Dobrej Pani. — Więc że jak złoto czyste twe serduszko a umiłowanie ojczyzny bohaterem cię zrobiło, jesteś Rycerzem Złotego Serduszka!

Rozległy się wokoło radosne okrzyki.

— Niech żyje Rycerz Złotego Serduszka! — wołano a echo roznosiło triumfalne głosy hen, daleko, może aż na ziemię naszą, aż do Polski miłej!

W tej chwili przed jasny tłum wystąpiły dwie figurki pocieszne, pajacyk z chwiejącą się głową i bury niedźwiadek, z potarganemi kudłami. Nie dzielili ogólnej radości, miny mieli zafrasowane, oczy zasmucone.

— Ach! — wołał Bimbuś — Dajecie naszemu małemu przyjacielowi zaszczyty i godności, — lecz cóż mu po nich, gdy okrutny wróg pokaleczył go srodze tak, iż życie zeń ucieka! Ratujcie go rączej, bo nam zemrze!

— Dobra pani! Ratuj nam naszego chłopca! — zaryczał wielkim głosem Misiołatek.

— Uspokójcie się, poczciwcy! W naszej krainie nikt nie może cierpieć! Spójrzyjcie tylko!

Właśnie w tej chwili Jasnotek przykładał Danusiowi do ust złoty kubek z wodą ze źródła życia. Chłopiec wypił go chciwie i wnet porwał się z ziemi, zdrów i cały.

Wówczas obaj nasi przyjaciele, nie posiadając się z radości, krzyczeć poczęli co siły:

— Niech żyje nasz Rycerz!

Dobra pani wzięła z rąk Królewicza jaśniejące, jak słońce, Złote Serduszko, które rozbłysło niby żywe, cudnemi blaskami, siejącemi wokół miłość i szczęście.

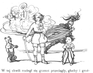

W tej chwili rozległ się grzmot przeciągły, głuchy i groźny. Za nim drugi, trzeci... W powietrzu wnet po nim zagrzmiał głos pełen wściekłości.

— Zwyciężyliście tym razem! Lecz ja nie zginąłem! Jeszcze się z sobą zmierzymy!

Przybladła jasność słoneczna, pospuszczały powiędłe główki kwiaty, bujnie rozkwitłe, pożółkła nagle soczysta trawa, zcichły radosne pienie, powiało chłodem i smutkiem. Tylko Złote Serduszko w rękach Dobrej pani gorzało czystym, nieznączonym płomieniem, dając świadectwo, iż mu nie straszne są żadne pogróżki.

— Władca Zła nie zginął, niestety. I nie chce zrzec się swej władzy! Pokonany, odchodzi, by czyhać z ukrycia na chwilę, gdy znów rozpocznie swą niszczycielską robotę! — mówiła Dobra pani. — W waszej mocy jest, Rycerze Złotego Serduszka, by moc jego nie wskrzesła nigdy!

— Chłopcze polski — mówiła dalej, kładąc swą białą, niby kwiat lilji rękę, na jasnej główce Danusia — twoje dziecięce serduszko zawiodło cię przez wrota poznania do krain, w których wiele, wiele rzeczy ukazało się twoim zdumionym oczom. Z krain tych niesiesz dla swojej ojczyzny dar wielki — zdobyłeś Złote Serduszko! Jest w nim szczęście i potęga twej ojczyzny! Lecz strzec go musisz, by nie zatraciło blasku, by zawsze płonęło jasnym, świętym płomieniem — miłości! W piersi twej ukryte, w naszej krainie na jaw wydobyte, niech ci będzie przewodnikiem i drogowskazem!

Ze słodkim uśmiechem pochyliła się nad chłopcem. Królewicz uśmiechał się doń serdecznie, huf Złotych Rycerzy, zawodził pieśń przepiękną.

— Wracaj na ziemię.—Most Słonecznych Uśmiechów zawsze łączyć cię z nami będzie... A teraz żegnaj nam, drogi chłopcze!

Pieśń brzmiała wciąż ciszej...

Liljowe dłonie przypinały na piersiach Złote Serduszko... jasna twarz pochyliła się nisko nad chłopcem, a cała postać jakby rozpływała się w różowej mgle.

XIX. ZAKOŃCZENIE.

Lecz nie! Jasna postać nie znika. Danuś czuje słodki pocałunek na swoim czole, patrzą nań serdecznie kochane oczy, a głos znany tak dobrze niby dalszy ciąg słodkiej pieśni, szepce do uszka.

— Gdzież to bywał mój rycerzyk? Z jakich krajów nadzwyczajnych powraca?

— Ach — matusiu! Czy to ty, czy Dobra Pani? — pyta na pół przytomnie chłopiec.

— Cóż to, synuś mnie nie poznaje?

— Już, już poznaję! I tak się cieszę, tak bardzo cieszę, że jestem znów z Tobą. O, bo, Matuś! Odbyłem nadzwyczajną podróż. I wiesz: zostałem rycerzem Złotego Serduszka! — opowiadał chłopiec przytulając się serdecznie do matki.

Ale zaraz obejrzał się niespokojnie: a może mu się to wszystko śniło? Lecz nie! Bimbuś i Misiołatek siedzieli na otomanie z minami, świadczącemi najwyraźniej, iż odbywali przed chwilą tą niezwykłą podróż. A co najważniejsza z lewej strony na kurteczce jaśniało śliczne złote serduszko!

Chłopiec uśmiechnął się do matki i wskazując na serduszko, zapytał:

— Prawda? to od — Dobrej Pani! — Ach, Matuś! Tyle, tyle widziałem i tyle się dowiedziałem. Aż mi się w głowie mąci i nie wiem, czy to wszystko prawda, czy bajka?

— Widzisz, synku, w każdej bajce jest wiele, wiele prawdy. A prawda, ach, jak często wydaje się bajką!

— Ale Rycerzem jestem?

— Jesteś, jeżeli ślubowałeś służbę i wierność potężnej Pani, nad wszystko umiłowanej, ponad życie i wszystkie dobra wyższej — Polski!

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Część pierwsza.

I. Tajemniczy gość 1
II. W nieznanej krainie 5
III. Siostry Wygodnickie 12
IV. Przygoda Misiołatka 18
V. Za wrotami Poznania 23
VI. Bimbuś i Misiołatek 29
VII. Słoneczne uśmiechy 33
VIII. Kwiat Dzuzia 37
IX. Poselstwo 41
X. Zdradliwe zamiary 46
XI. Posłuchanie 51
XII. Napad 58
XIII. Odwrót szarych rycerzy 62
XIV. Nawrócony 67
XV. Opowiadanie Jasnotka 74

Część druga.

I. Postanowienie 81
II. Perełka Alast 84
III. Porwanie 86
IV. W poszukiwaniu 91
V. Fortel Bimbusia 95
VI. Szary Władca 101
VII. Śmiech Bimbusia 105
VIII. Sztuki Bimbusia 115
IX. Przepowiednia 121
X. Wierni przyjaciele 124
XI. W niewoli 128
XII. Żywe groby 137
XIII. Diamentu-Góra 141
XIV. Pokusa 149
XV. Zbudzone serce 153
XVI. Walka 159
XVII. Zwycięstwo światła 163
XVIII. Rycerz Złotego Serduszka 165
XIX. Zakończenie 168